

Karol Kolmo

Orotog,

Władca

Północnego

Cienia

Śnieżna biała dal Ziemi Północy. Tu żyły tylko elfy. Elfy i olbrzymie morsy, takie co to swymi ogromnymi kłami umiały łamać przybrzeżne lody. Gdzieś za horyzontem srebrzysta tęcza na niebie słabo świeciła. I było tak za dnia i w środku nocy. Tu po prostu Eryle, bogini nocy, nie witała. Tak jakby te ziemie były zapomniane bogom. Tukmaki na te ziemie wołali: przedsiónek piekieł. I choć tu zawsze zimno było, lecz ta martwa cisza budziła zawsze tylko przestach i dreszcze zgrozy, bo martwota to przecież była i najpewniej śmierci się tu można było tylko spodziewać. Przestach tych, co tu z rzadka zapędzali się. Tak jak ci dwaj. Jacyś potężni to jednak musieli być włodarze, bo mieli ze sobą cały orszak ludzi. Oni dwaj, smukli młodzianie, na ciężkich koniach, a ich ludzie na psich zaprzęgach. Mróz dziś jednak był tak srogi, że psy z zaprzęgów skomlały tylko po cichu. Na te batogi co im grzbiety raniły, na te ludzkie zawołania, by jeszcze szybciej, jeszcze dalej brnąć w tę pustkę białego szaleństwa.

- Wasza Królewska Mość, czy, Panie, nie zimno ci?

Ten z wyglądu starszy krzyknął do swego towarzysza.

- Miałeś mi, Atagr, mówić po imieniu. Wszak za przyjaciela cię zawsze uważałem. Tu nie ma dworu, tu nie ma kamaryli. Jesteśmy tylko my dwaj. My dwaj i siły przyrody. No ... I może ta garstka ludzi, co z nami się tu znalazła. - młodzian, który to mówił, wskazał temu drugiemu te psie zaprzęgi, które przed nimi były o kilkadziesiąt łokci na przodzie.
- Dobrze, Panie. Hm ... To znaczy, Orotogu. Więc, czy ci nie zimno?
- Nie, przyjacielu. Pojedziemy jeszcze z dwie staje w głąb tego ładu. Może zwiadowcy znajdą trop białego niedźwiedzia. Chciałbym na swe urodziny zdobyć tak cenne trofeum. Nawet jeśli z twoją pomocą.
- Widzi mi się, że dziś z tego planu nic nie wyniknie. Tak jakby niedźwiedzie wiedziały, że to one dziś mogą się stać łowną zwierzyną.

Młodzieńcy brnęli na koniach za psami. To nie był wysoki śnieg, ale i tak konie niezmiernie trudziły się. Biała piana ciekła im po wędzisku. Specjalnie wzięli ciężkie i nie wysokie konie. Takie tu w tych warunkach najlepiej sobie radziły. A pomimo tego, umęczone już dzisiaj były okrutnie. I to najpewniej sprawi, że za chwilę może zrezygnują z tej pogoni za niedźwiedziami. Ale oczywiście zdecyduje, jak zawsze, książę Orotog.

- Co mi radzisz? - spytał Orotog.
- Mamy jeszcze dwa dni w zapasie. Jutro możemy spróbować raz jeszcze. Niedźwiedzie nam nie uciekną. I tak będziesz miał swą cenną zdobycz.

- Wiesz, ja muszę. Mistrz Kapa rzekł mi, iż futro białego niedźwiedzia mnie będzie chroniło. Najlepiej chroniło. Ważne jest jednak to, bym go sam zdobył. Prawie tak dobrze będzie chroniło, jak jego zakłęcia.
- Orotogu, wydaje mi się, iż, Panie,... to znaczy, wydaje mi się, iż za bardzo mu zawierasz. Mój ojciec, książę Regent nie ma o nim dobrego zdania. Zresztą sam wiesz o tym najlepiej.
- Wiem, wiem. Regentowi nie podoba się to moje przywiązanie do starego Kapy.

Nagle jakieś zamieszanie z przodu przerwało ich rozmowę. Wyraźnie jakaś postać na koniu zbliżała się do przodu tej karawany. Atagr krzyknął:

- Pozwól, że zobaczę, co się to dzieje?

Książę Orotog skinął ręką na znak zgody. Wtedy to Atagr spiął konia i ruszył, by dostać się na czoło kawalkady. Tak też się stało po chwili, że kilkadziesiąt łokci, o które wyprzedzały ich psie zaprzęgi pokonał bardzo szybko. Gdy był już na przedzie wyraźnie dostrzegł, iż ta postać na koniu, co dojeżdżała do nich, to był jeden ze zwiadowców. Gdy w końcu dotarł on do karawany, Atagr już tam na niego czekał.

- Wasza książęca Mość, natknęliśmy się na osadę elfów. - rzekł zwiadowca.
- Gdzie? - Atagr był bardzo rzeczowy.
- Jakieś dwie staje stąd, bardziej na wschód. To jest jakiś zgromadzenie lub miejsce, gdzie elfy medytują i kontemplują samotność. Są przyjaźnie nastawieni. W pobliżu ich osady mały lasek rośnie. To stamtąd pewnie zbierają susz leśny na paleniska.
- A co z niedźwiedziami, czy znaleźliście jakiś trop?
- Nie, Panie. Znaleźliśmy tylko tę osadę elfów. Niedźwiedzie z rana zwykły żerować. Nie teraz. Wydaje się, że grozi nam zamieć śnieżna.
- Czy to jest niebezpieczne?
- Tak, Panie. Tu, na tej pustce, jesteśmy nieosłonięci. Razem z zamiecią zimny wiatr sprowadzą tu bogowie. A to już może być dla nas groźne. Dla nas, i dla naszych psów.
- Więc powiedz, co robić? Musimy się ochronić, a przede wszystkim ochronić księcia delfina.
- Radzę, Panie, przeczekać zamieć w osadzie elfów. Za godzinę kawalkada nasza powinna spokojnie dotrzeć do siedziby elfów. Do tego czasu najpewniej jeszcze zamieć się nie zacznie. Lecz każda zwłoka będzie już niebezpieczna.
- Dobrze więc. Będiesz przewodnikiem. - rzekł Atagr do zwiadowcy. - Jedziemy za nim. Z nerwem. - krzyknął jeszcze Atagr do ludzi z czoła karawany. - Za godzinę będziemy już grzać się przy palenisku. - Krzyknął jeszcze raz do nich, tak by pobudzić ich do tego trudu. Ludzie ci bowiem, tak

jak i ich psy, byli już mocno zmęczeni tą dzisiejszą wędrówką.

Atagr zostawił ludzi i skierował się do Orotoga, który był kilkanaście łokci z tyłu czoła. Nie mógł on najpewniej słyszeć, co Atagr rozprawiał ze zwiadowcą, lecz doskonale już słyszał rozkazy Atagra dla ludzi z psich zaprzęgów.

- Jedziemy do osady elfów – rzekł z siodła Atagr do Orotoroga.
- Po co?
- Dla twego bezpieczeństwa. Śnieżyca ma być. Jesteśmy tu nieosłonięci. Bez ognia, wydani na zimno. Gdyby ci się coś stało, Panie, ojciec by mnie najpewniej oddał katu, i to pomimo tego, że jego najukochańszy syn.
- Jak zwykle przesadzasz. Damy sobie radę, ale dobrze, jedźmy do tych elfów. Będę miał możliwość po raz pierwszy w życiu przekonać się, co to za istoty. Czy oni mocno do ludzi są podobni?
- Powiadają, Panie, że są drobni, lecz wielkiej siły duchowej. Ja też jeszcze żadnego elfa nie widziałem dotąd, choć jestem od ciebie znacznie starszy. W Wendzie chyba nie ma żadnego elfa. A w Poledzie tym bardziej. Jednego starego gнома żeś widział onegdaj, lecz gnomy szpetne są, a elfy przeciwnie. Podobno urodziwi ci oni wielce. To znacznie starsza rasa od nas ludzi.
- Ja nawet gнома nie widziałem jeszcze na oczy – Orotog jakby smutny był z tego powodu.

Ruszyli więc powoli za zwiadowcą. On już to dobrze znał drogę do celu. Za staję, dwie ta rozległa biała pustka miała się zmienić w nieco bardziej zalesiony teren. Książę Orotog właściwie wymusił siłą na Regencie Kowdlarze tę swoją męską przygodę. Początkowo stary Kowdlar ani myślał zgodzić się na to. Miał za sobą nawet wolę samej królowej matki. Lecz Orotog uparł się, i był w tym tak podobny do swego ojca, w tym zapamiętaniu, iż w końcu skruszył opór żelaznego Kowdlara. Oto sam Mistrz Kapa wywróżył delfinowi, iż, nim stanie się w pełni dorosłym, musi zdobyć dla siebie futro białego niedźwiedzia. Jeszcze rok miał przeminąć, gdy w końcu Orotog dorośnie w pełni i stanie się panem, królem Ulandii. Ale już co najmniej od dwóch lat młodzieniec ten coraz pewniejszy był siebie, Regent też coraz częściej przychylił się do jego woli. O dziwo, jak mogli to dobrze ocenić dworzanie, decyzje te, które od delfina wychodziły, były mądre i nie przynosiły ujmy młodemu następcy tronu. A w rzeczy samej mówiły tylko o tym, iż nowy król wydaje się, iż będzie godny swego monarszego tronu. Lecz ta wyprawa na zimne ziemie elfów była wybitnie ryzykowna. Może i jednak Kowdlar doszedł w końcu do wniosku, iż nawet przyszłemu królowi konieczne jest przeżyć inicjację w dorosłość. Tak by stał się on w pełni mężczyzną i wojownikiem. I chyba tylko dlatego byli oni teraz, i Atagr, i Orotog, na tych pokrytych białym i mroźnym puchem ziemiach.

Ta osada elfów, tych kilka drewnianych chat, tworzyła rodzaj pierścienia, w środku którego kilka wielkich głazów leżało, ale tak zmyślnie niczym budowla, niczym

starannie zaplanowana przestrzeń.

Elfy, które wyszły im na spotkanie, w samej rzeczy, jak to już Atagr Orotogowi rzekł, niżsi byli od ludzi. Sięgali może tak do piersi ludziom i to ci już nieco wyżsi. Szczuli takowoż byli, znacznie szczuplejsi i drobniejsi od ludzi. W swej urodzie do małych ludzkich chłopców by ich można było porównać. A ręce mieli takie piękne, niczym ręce, które podobne miały tylko panny ludzkie wywodzące się z arystokracji. Włosy jasne, jak len, jak słoneczniki.

Przed wjazdem w tę skromną siedzibę elfów, rodzajem bramy, ich przywódca już czekał na karawanę, ale przede wszystkim to na delfina. Bowiem zwiadowcy już uprzedzili elfy, że to sam następca tronu Ulandii zajedzie w ich progi. Ten elf jasną sutannę miał ubraną opasaną brązową szarfą. Najpewniej były to symbole jego dostojności i przywództwa tej grupy elfów żyjących na uboczu świata. A że zimno było, z tej przyczyny głowę w wełnianym kapturze miał schowaną.

Jako to z daleka książę Orotog i Atagr mogli zobaczyć tę małą grupę elfów, co na nich czekała. Jednak nie to delfina zaciekało. Największe zdziwienie spowodował u niego ów krąg wielkich głazów, co na wewnętrznym dziedzińcu osady elfów leżał. Książę nie kryjąc zdumienia, rzekł w pewnym momencie do Atagra:

- Widzisz to? - ruchem ręki wskazał mu olbrzymie kamienie.
- Ach. Tak. To mi się wydaje pewnie jest związane z ich jakimś kultem. Może to rodzaj świątyni jest? - Atagr odgarnął włosy z czoła.
- Aha, świątyni? No tak, najpewniej masz rację. Bo cóż to by mogło być innego? Chyba nie dla ozdoby je tam położyli?

Powoli już dojeżdżali do bramy. Gdy konie przystanęły przy drewnianych wierzejach, na powitanie usłyszeli od, chyba najważniejszego, elfa:

- Witaj, o Panie. Potomku boga Re, władco Północnego Cienia. Czym może nasz zakon służyć Ci? Powiedz, a uczynimy to z radością.

Na to przywitanie jednak to nie Orotog odezwał się, lecz książę Atagr:

- Jego Królewska Mość, książę Orotog, pragnąłby tu zyskać azyl i odpoczynek, schronienie przed burzą śnieżną, która to najpewniej nastąpi za jakiś czas. A potem, jeśli nam tej gościny użyjecie, nasz Pan i cały jego orszak opuści was z rana i pozostawi w pokoju.

Na te słowa ten sam elf rzekł od razu :

- Będzie to dla nas zaszczytem, Panie – tu skłonił się Orotogowi i zaprosił ręką, by cała ta kawalkada wjechała na wewnętrzny dziedziniec tej osady.

Orotog bacznie przyglądał się elfom, sycił swój wzrok, bo piękne są to zaprawdę

istoty. Były tam, pośród tej grupy elfów skupionej wokół swego przywódcy, dwie lub trzy samice. Z urody podobne do malutkich ludzkich dziewczynek.

Jako to cały orszak już po chwili był w wewnętrznym dziedzińcu. Psy zaprzęgowe zaczęły dokazywać, niby cieszyły się, że zyskały wytchnienie. Piszcząc poczęły i radośnie szczekać. Gwardianie, którzy chronili Jego Wysokość, od razu zaczęli wymieniać głośno między sobą opinie. Oni to również pierwszy raz w życiu na własne oczy zobaczyli elfy. I tylko brzęk mieczy świadczył o tym, iż to wyśmienici wojownicy byli. Ich okazałe mięśnie, które by mogły o tym zaświadczyć, schowane były w futrzane odziewki. Lecz byli to zaprawdę wybrańcy z wybrańców, sam książę Regent Kowdlar osobiście wybrał ich, każdego z osobna, po to by ochraniać następcę tronu Ulandii.

Orotog i Atagr zeskoczyli sprawnie, choć po czubki przecież byli opatuleni w futra, ze swych wierzchowców. Ten sam elf, który ich przed bramą witał, cały czas był w pobliżu i pilnował swych dostojnych gości. Książę Atagr w końcu spytał się go szczerze:

- Jak cię zwa, elfie. Książę delfin z pewnością chciałby wiedzieć, u kogo gości?

Słyszając to, Orotog się niemal zaśmiał, tak jakby przyjaciel jego, Atagr, powiedział coś do śmiechu. Elf zaś ten zmieszał się i szybko odpowiedział:

- Przepraszam, wielmożów, zwa mnie Lutyret, Dziewiąty Elf Zakonu Czarnego Elfa.
- O! Zakonu Czarnego Elfa? - niespodziewanie odezwał się sam Orotog.
- Tak, właśnie, Szlachetny książę. Zakonu Czarnego Elfa.
- To przecież w tym zakonie kształcił się w magii Mistrz Kapa – mówił Orotog. - Czy słyszałeś, elfie, o takim uczniu?
- Było, Wasza Wysokość, kilku ludzi pośród naszych uczniów, lecz podejrzewam, Panie, że inne miano musieli oni nosić w naszym zakonie. Nie pamiętam nikogo o imieniu Kapa.
- No, w rzeczy samej, chyba masz rację, elfie – przyznał delfin. - Tak, tak, ty musisz mieć rację. Ale to podaj mi imienia tych ludzi, których znasz z Zakonu Czarnego Elfa. - I tu dała znać znowuż nieustępliwość syna Amargadeusza. Choćby po nitce od kłębka on chciał poznać prawdę, całą prawdę.
- Wasza Wysokość sam znałem dwóch ludzi. Byli to Xyto i Burt, uczyli się, by zyskać oni miano Mistrzów Magii, lecz jak znam ich losy, to udali się na ziemię królestwa Spoka, ziemi Trautonów.

Zapanowała cisza. Orotog jakby przemyślał odpowiedź Lutyreta, a Atagr nie miał śmiałości wchodzić delfinowi w słowo.

- Mówisz, królestwo Spoka? Ale kiedy to było? Podaj choć przybliżony termin-

Orotog znów zaczął napierać.

- Było to, Wasza Wysokość, ponad dwa dekambry temu. Tak, więcej niż trzydzieści lat temu. - mówił elf.
- Atagr, ile lat Mistrz Kapa służy memu królestwu? - tym razem Orotog zwrócił się do swego druha.
- Będzie to, Panie, mniej niż dwa dekambry. Mniej więcej wtedy, gdy to ja się narodziłem, wtedy to on został głównym magiem twego Szlachetnego ojca. Wiem to od swego rodzica, często wspominał to, iż Mistrz Kapa kiedyś uratował mi życie. Gdy byłem jeszcze oseskiem to było.
- Hm... - Orotog głośno westchnął. - To by się więc nawet zgadzało. Nieprawdaż, elfie?

Weszli w końcu do jednej z chat. Do tej najokazalszej. Gwardianie i ludzie z otoczenia księcia delfina zostali na razie na zewnątrz. Póki co pozostaną jeszcze na mrozie. Ale stały tam w obejściu chyba dwie stajnie lub stodoły. Najpewniej to tam będą się oni mogli w końcu ulokować. I co najważniejsze ogrzać się. Na szczęście mieli oni wszyscy odpowiednie szaty. Futra i wełniane odziewki.

W chacie, dość ciasnej jednak, bo w końcu gospodarze byli przecież dość lichej postury, było jednak ciepło. W centralnej izbie olbrzymie palenisko stało. Ogień buchał wręcz wprost na gliniane klepisko. Były tam dwie samice elfów, lecz gdy Lutyret wszedł wraz ze swymi dostojnymi gośćmi do środka szybko wyszły.

Praktycznie Lutyret skinął tylko ręką, a tamte, jakby to dla nich nie była pierwszozna, wzięły wełniane włóczki, które na stole leżały, i opuściły tę ciepłą izbę gospodarczą.

- Wasza Królewska Mość, racz, Panie, usiąść na tej ławie. Ogrzej się, Panie, spokojnie. - powiedział elf.
- Za mną, Atagrze, za mną – Orotog zdjął rękawice. Zdjął też jedną z warstw futer, które miał na sobie. Podobnie uczynił i księżę Atagr. Usiedli więc koło siebie. A ciepły żar z paleniska zaczął ich stopniowo ogrzewać. Coraz cieplej i cieplej. Tymczasem elf nalał z garnca, który stał przy palenisku jakiś płyn. To był bulion.
- Wasza Wysokość, i ty, Panie – elf podał Orotogowi terakotowy kubek – napijcie się. To Wam ogrzeje ciało od wewnątrz. - Podeszedł do paleniska i do drugiego kubka nalał trochę bulionu. Następnie podał go Atagrowi.
- O, dobre, z czego ta zupa? – rzekł po chwili wyraźnie zadowolony delfin.
- Panie, z foczej piersi. Najlepsze to na zziębnięte nogi. Energia chi tego płynu ogrzewa członki, ręce i nogi. Ręce można ogrzać nad paleniskiem, lecz nogi to co innego.
- To prawda, elfie, w rzeczy samej – odezwał się Atagr. - czuję jak ciepła fala dochodzi do mych stóp. A ty, Panie, co czujesz? - słowa te syn Kowdlara skierował do Orotoga.
- Ja czuję dziwne ciepło w dołku pod żebrami. To dobrze, elfie? Czy to jest

normalne? - Orotog jakby był trochę zaniepokojony.

- Dobrze, Wasza Wysokość. To twój potrójny ogrzewacz doładowuje się i, Panie, ciągnie chi z tego bulionu, którym się raczysz. - Lutyret uspokoił Orotoga. Przynajmniej takie miał intencje.
- A cóż to takiego, ten potrójny ogrzewacz ? - młodzieńki delfin widać było, że zaciekał się wielce. Tak mocno, że aż pokraśniał cały na licu. Słowa elfa jeszcze bardziej rozbudziły żądzę wiedzy u młodziana, bo to była najpewniej dla niego nowość
- Panie, to takie miejsce w ciele, gdzie najwięcej energii chi jest zgromadzonej. To tam ma siedzibę nasze wewnętrzne czucie, nasze wewnętrzne dziecko.

Orotog zmieszał się trochę, i niby chciał się zamaskować z tego, do jakiej konfuzji doprowadziły go słowa mądrego elfa. Dlatego skupił się na picciu ciepłej zupy. Atagr udawał, że nic nie kojarzy, że nie widzi, iż delfina aż rozpięra z tej ogromnej ciekawości. Było pewnym, że Orotog już za chwilę będzie dalej dopytywał elfa. Na razie jednak pili zgodnie ciepły posiłek. Zgodnie i w zupełnej ciszy.

- Panie, powracając jednak do twego pytania o Zakon Czarnego Elfa - to pierwszy Lutyret przerwał ciężką ciszę.
- No, no. - Orotog go zachęcił.
- Otóż, Wasza Królewska Mość, my elfy żyjemy znacznie dłużej od was, ludzi. Dla mnie dwa, trzy a nawet cztery dekamby to nie aż tak dużo, jak dla was. Ja byłem w Zakonie przez dwa dekamby, swoją naukę skończyłem ponad dwadzieścia lat temu. Być może powiesz mi, Panie, coś o wyglądzie tego Mistrza Kapy? Bo ja pamiętam, iż Xyto był wysokim blondynem. Zaś Burt miał wyraźne zakola oraz tendencję do tycia, nawet pomimo tego, iż w Zakonie jedliśmy tylko warzywa i zioła.
- Z tego wynika, iż mógłby to być Xyto, Panie – Atagr wszedł w słowo elfowi.
- Xyto? Hm ... Ciekawe to więc, dlaczego zmienił miano? - Orotog zaczął się zastanawiać głośno. - Czyżby miał coś do ukrycia? Powiedz mi, elfie, czy ten cały Xyto zhańbił się może czymś lub może coś złego zrobił? - Orotog tak jakby coś przeczuwał. Jakby szukał przyczyny tej zmiany tożsamości Kapy.
- Wasza Wysokość, pamiętam jak przez mgłę, iż rzeczywiście Rada Starszych rozpatrywała kiedyś, czy można dopuścić Xyto do końcowych ślubów. Tylko teraz nie pamiętam, czym to motywowano. Nie wiem też, czy w końcu to Xyto został dopuszczony lub nie do tych błogosławieństw. Po prostu nie było to dla mnie ważne, nie pamiętam tego.
- Czy chcesz mi przez to powiedzieć, elfie, że te ostateczne śluby są tak ważne? - Orotog odstawił pusty kubek na klepisko.
- O tak, Wasza Wysokość. Bez tych ślubów i błogosławieństw nie można przeprowadzać gro ceremoniałów i rytuałów magicznych. Bez tego ostatecznego szlif, bez tej końcowej inicjacji nie można z powodzeniem

- czerpać całej siły z Planu Astralnego . - Lutyret poprawił swe loki.
- A może to, Panie, jednak nie Kapa? - Atagr znów zwrócił się do delfina.
 - Ja coś czuję, druhu, że Kapa ukrywa przed nami całą prawdę o sobie. - powiedział na to Orotog. - Choć, trzeba to przyznać, ja nie pamiętam, by Kapa jako mag zawiódł kiedyś mnie lub księcia Regenta. Może ty coś pamiętasz, Atagrze?
 - Musiałbyś , Panie, spytać się mego ojca. Ja nie pomnę żadnej wpadki Mistrza Kapy. Przynajmniej na polu magii. Choć my, książę, przecież niewiele wiemy w tym względzie. Może Kapa to jakoś maskuje?
 - Może? - wyrwało się Orotogowi. - Masz tam, elfie, jeszcze trochę tej zupy, bo teraz czuję, że i mnie do nóg zaczęła napływać fala gorąca?

Kowdlar siedział przed swym kryształowym lustrem. Niedobrze się dzisiaj czuł, czuł nudności. Nawet nie zjadł porządnego śniadania. Może to i nawet dobre było dla niego. Bardzo, bardzo się zestarzał, odkąd jego syn, Atagr, dopełnił rycerskich ślubów, a było to ładnych parę lat temu, przytył okrutnie, może nawet ze trzydzieści, albo czterdzieści pundów. Od kilku już lat nie dosiadał już praktycznie wierzchowców, wszędzie poruszał się w mahoniowej lektyce, a te kilkadziesiąt kroków, które musiał codziennie wykonać, by na przykład poruszać się w swej kancelarii lub nawet w alkowie, wspierał się z trudnością na pięknej, zrobionej z kła mamuta, lasce. Odkąd rządzenie Ulandią spadło praktycznie na jego barki, odkąd został Regentem, rzadko bywał w swej posiadłości na prowincji w Średnich Lasach w Poledzie. To tam znudzona księżna Teborna starzała się samotnie, w towarzystwie jedynie swej służby i ulubionej psiarni. Miała tych psów kilka, tak jakby to miało jej zastąpić kontakty z równymi sobie. Był teraz w połowie piątego dekambrą i czuł się też adekwatnie do wieku bardzo starym. Nigdy by nawet nie przypuścił, służąc Amargadeuszowi w wielu bitwach, że dożyje tak sędziwego wieku. Lecz los tak chciał, chcieli tak bogowie. A może to bogini czasu, Chronora, zapomniała o nim? A może to dusze tych, których pozbawił życia w licznych wojennych potyczkach, nie pozwalały mu w spokojnie pożegnać się z tym łez padole? On teraz cierpiał. Był zniedołężniałym. Dla niego, prawdziwego rycerza, był to dopust boży. Już by wołał zginąć w równej walce, niż teraz powoli męczyć się, jeszcze kilka lat i będzie już zupełnie wegetować. Tak myślał czasami, że dobrze to już, iż za rok jego służba i misja dopełni się zupełnie, kiedy to książę Orotog zostanie w końcu koronowanym władcą Ulandii. Jeszcze został rok, cały rok, pełny rok. Spojrzał w błyszczące kryształem górskim lustro. Starzec przed nim siedział. Siwe, przerzedzone włosy, biała broda, i cierpienie w oczach. Oto był on, książę Regent, pierwszy wśród równych sobie. A miał przecież wszystko. Wszelkie dobra tego świata mogły należeć teraz do niego. Jego majątek sięgał setek tysięcy złotych talentów. Jedyne dobra królewskie

przewyższały te majątki wszelkie, które zgromadził żelazny Regent. I cóż z tego? Do kurhanu jedynie weźmie swój miecz, jedynie Kapatokę.

Na szczęście miał swego dziedzica. Książę Atagr stał się najbliższym druhem młodziutkiego delfina. Kowdlar sprzyjał temu. Był zadowolony, iż następca tronu przyjaźni się z synem. Atagr uczył królewicza w rzemiośle rycerskim. Czytał mu nawet księgi filozofów, które zgromadzone były licznie w bibliotece Szkolnicy, której przewodził Dostojny Nauczyciel Królewski Erej. Ogólnie nad rozwojem księcia Orotoga czuwał wprawdzie Erej, lecz, co sam mu mówił Atagr, często czytali oni, młodzieńcy, razem mądre księgi, a potem zawzięcie dyskutowali o nich. Oczywiście, Atagr był znacznie starszy od delfina, o ponad dziesięć lat, ale to tylko jedynie imponowało synowi Amargadeusza. Orotog już bowiem tak bardzo palił się do tej dorosłości. Zaprawdę, biedny to chłopak, nie wie, co czyni. Myślał sobie tak czasami stary Kowdlar. Nie wie, co go będzie czekać, i to nawet pomimo jego królewskiego rodowodu. Lecz staremu Regentowi już było wszystko jedno, już chciał tylko spoczynku, więc nie czynił żadnych przeszkód młodziutkiemu delfinowi.

Kowdlar jeszcze raz, teraz już niechętnie, a nawet z pewnym niesmakiem, popatrzał na swe odbicie w kryształowym lustrze. Grzebykiem z masy koralowej poprawił swe siwe włosy, tym samym grzebykiem przyczesał brodę. Przypomniało mu się przy tym, właśnie wtedy gdy poprawiał włosy, iż ma dziś wizytę u baronowej Geldery. Jej piękna córka, pogrobowiec, Alekda, była tym powodem, dla którego staremu Regentowi chciało się jeszcze żyć wśród ludzi. Jego skrywanym marzeniem było, by córka Elubedy złączyła się związkiem z jego Atagrem. Dawał sobie jeszcze rok na to. Ten ostatni rok na urzędzie. Baronowa Geldera bowiem jakby niechętnym okiem patrzyła na taki związek jej córki, i to nawet pomimo że Atagr, książę Atagr był praktycznie najlepszą partią w całym królestwie. Lecz ona bogata była, i niepotrzebne jej już majątki były, jej córce nic w życiu nie zabraknie. Sama zaś widziała swą córę, tak szczęśliwie, lecz jako główną kapłankę Świątyni Isztar, którą od podstaw stworzył w Wendzie Mistrz Kapa. On to, jako główny kapłan świątyni, szczerze namawiał wdowę, by Alekda, jako pogrobowiec, związała swe życie w służbie świątyni. Panowała bowiem taka tradycja, że dzieci w ten sposób zrodzone, choć nie był to jakiś specjalny precedens wczasach, gdy tak wiele było wojen, poświęcać na służbę bogom. Na razie Alekda nie skończyła jeszcze szesnastu wiosen. Lecz dziewczicą będąc, tym bardziej nadawała się na kapłankę Isztar. Kapłanki Isztar wymagane było, by były dziewczicami, pomimo nawet tego, że przecież bogini ta była patronką płodności. A same kapłanki i strażniczki świątyni celebrowały zwykle obrzędy płodności, nadzorowały rytualne orgie. Same zaś musiały być tak niewinne jak lilia jest, tak nieskalane jak nenufary w błotnych stawach.

Pójdzie więc dzisiaj jeszcze do Geldery. Już kilku niewolników czekało z jego ulubioną czerwoną, mahoniową lektyką. Teraz już tylko tak się przemieszczał. Gdy jechał zaś, bardzo to rzadko bywało, do Poledy, wówczas miał do dyspozycji odpowiednie powozy. Każdy ozdobiony jego herbem, każdy bogato zdobiony; niech kmiotki wiedzą, kto to jedzie. Najważniejszy człowiek w Ulandii.

Zobaczy więc dzisiaj tę buzię, która w samej rzeczy dużo mu przypominała twarz

Elubedy. Lecz jakże piękna ona była, taka niewieścia, kobieca, urokliwa. Piękne by miał księżę Regent jeszcze wnuki, choć pewnie mało miał szans, nawet pomimo ewentualnego sukcesu w małżeńskich negocjacjach, by doczekać się ich tu na tym świecie.

Zobaczyli ją w końcu. Tylko dla tego, iż słońce zaszło za chmurę. Szła powoli i dostojnie, u boku dwójka małych niedźwiedziątek. Jej białe futro prawie wtapiało się w biel wszechobecnego śniegu. Zwiadowcy byli nieco z boku, kilku gwardian też było, by w razie czego pomóc delfinowi. A on przecież miał zrobić tylko jedno. Posłać jej śmiertelny bełt, prosto z zamka kuszy.

Wtem! Niedźwiedzica zatrzymała się. Zaczęła węszyć. Najpewniej doszedł do niej w końcu zapach jej śmiertelnego wroga. Człowieka.

Warknęła ku swym dzieciom, a te, niby w popłochu, tulić się do niej poczęły. Sama zaś stanęła na dwóch nogach, i jeszcze bardziej zaczęła węszyć, podobnie jak psy to robią, gdy szukają śladu.

- Śpieszmy się, gdy się rozeźli będzie naprawdę niebezpieczna, masz dobrą pozycję do strzału. - powiedział przygarbiony Atagr.

Byli oboje w rodzaju zagłębienia. Następca tronu miał już przygotowaną do strzału kuszę. Mierzył. Mierzył już przez chwilę. Lecz tak jakby nie umiał się zdecydować.

- Żal tak zabijać matkę dzieciom, nie uważasz? - Orotog syknął cicho ku Atagrowi.
- To tylko zwierzę, kolejne twoje trofeum – odpowiedział Atagr.
- To może ty ją zabij, ja czuję, że nie mogę.

Orotog zrobił gest, jakby chciał oddać kuszę. Lecz wtedy to Atagr niemal z siłą odsunął kuszę od siebie, i mocno włożył ją ponownie w ręce delfina.

- Masz ją ustrzelić. To twój obowiązek – powiedział do delfina poważnie, niemal z groźbą, tak jak nauczyciel mówi uczniom, gdy te dokazują zanadto.
- Hm ... Może zasadźmy się na samca? Z samcem to co innego? - wyczuć było wyraźnie, że Orotog się waha, że ma jakieś opory.
- Strzelaj już, bo zaraz to ona nas upoluje.

Minęła kolejna chwila zwłoki. Atagr w duchu już sobie pomyślał, iż nic z tego już dzisiaj nie będzie. Zachnął się niemal do siebie, że niby to Orotog dzieciak jeszcze, baba, nie mężczyzna. Lecz też w tej chwili zabrzmiał świst wypuszczanego bełtu. Orotog do celu miał z pięćdziesiąt łokci. Lecz oto co za piękny strzał to ci był w rzeczy samej.

Bełt utkwił niedźwiedzicy prosto w oku. Chwilę to ona stała jeszcze na swych łapach, i tak jakby chciała wyrwać strzałę z oka. Lecz po następnych kilkunastu sekundach przewróciła się, potem jakiś charkot się z jej paszczy wydobył. Małe niedźwiadki były przerażone. Co stało się z ich matką? Lecz niedźwiedzica już teraz leżała bez życia.

- Brawo, Orotog, brawo książę – to gwardianie zaczęli głośno wyrażać swój aplauz.

Orotog był mocno zmieszany. Na jego licu pojawił się rumieniec. Atagr to jedynie mógł dojrzeć, lecz już tylko on. Delfin szybko się opanował. Wstali z tej śnieżnej kryjówki i ruszyli prosto do martwego niedźwiedzia.

Gdy tak, krok za krokiem, byli coraz bliżej, małe niedźwiadki skupione wokół swej matki, co bez życia leżała, zaczęły histerycznie pisać, jakby chciały ją zmobilizować, by je obroniła. Lecz na nic to się zdało. Gwardianie, co byli kilka kroków za delfinem już nieśli drewniane pałki. Pewnie po to by dobić maluchy.

- Żal mi tych maluchów – nagle odezwał się Orotog.

Niedźwiadki coraz mocniej pisały. A oni byli coraz bliżej.

- Cóż chcesz, w naturze malcy równie często giną. Niedźwiedzicom bowiem grożą nie tylko ludzie, mają też swych naturalnych wrogów. No choćby tygrysy lub olbrzymie morsy.
- Nie mamy miejsca dla nich, lecz gdybym miał możliwość, wziąłbym je do Wendy – smutno powiedział następca tronu.
- Wiesz, one i tak już są za duże, by je udomowić. Na zawsze pozostałyby dzikie i nieujarzmione. Próżne starania. - rzekł Atagr.

W tej to chwili małe niedźwiadki, widząc że matka się nie rusza, odbiegły w popłochu od tego miejsca kaźni, napuszyły się przy tym mocno, jakby starając się być większe, przybrały postawę obronną. Wyszczrzyły kły. Można było dojrzeć, że już mają całkiem groźne zęby.

Orotog uklęknął przy niedźwiedzicy. Próbował wyciągnąć bełt z jej oka. Lecz na nic to się zdało. Pocisk bowiem tak głęboko utknał w ciele niedźwiedzia. Najpewniej przyczyną śmierci były uszkodzenia w mózgu niedźwiedzicy.

- Dobry strzał – powiedział Atagr z nieukrywaną zazdrością. - Taki zdarza się jeden na dziesięć oddanych.
- Racja – przytaknął delfin. - Ja miałem dużo szczęścia, a ona pecha. Udał mi się strzał, który normalnie nie wychodzi nawet na strzelnicy, w ogrodzie królewskim.

Usłyszeli nagłe piski i przeraźliwy jazgot. To gwardianie dobijali pałkami niedźwiadki. Już po chwili zapanowała martwa cisza. Orotog nie odwrócił się nawet, by zobaczyć swych ludzi w akcji. I tak wiedział on, wiedział i Atagr, że niedźwiadki już dołączyły do swej matki w innym świecie.

- Piękne będziesz miał futro – powiedział Atagr.
- Będzie mnie ochraniać – przytaknął Orotog. - A my dzisiaj wieczorem przy ognisku posmakujemy niedźwiedziego ozora. Podobno to wielki rarytas. Lecz rzadko gości nawet na królewskich stołach.
- Jak powiadają starzy ludzie, kto zje niedźwiedzi ozór, staje się nieustraszony niczym sam niedźwiedź. - Atagr pomógł wstać z klęczek Orotogowi. Strzała jednak nadal tkwiła w oku. Lecz, co najważniejsze, futro było w całości. Będzie więc tym bardziej cennym trofeum.

Gdy lektyka dochodziła do pałacu baronowej Geldery, słońce powoli zachodziło już. Nawet trochę chłodniej się zrobiło. Delikatna bryza łagodziła teraz to dotkliwie uczucie upału gorącego lata. Księżę Regent dotkliwie odczuwał ciepło pory letniej. Męczył się przy tym okrutnie i stale miał pragnienie. Lecz pił tylko źródlaną wodę, czasami sok z winogron, nigdy nie gasił pragnienia alkoholowym trunkiem. Teraz wręcz nie umiał sobie tego wytłumaczyć, jak mógł drzewiej w tak ciepłą porę roku oddawać się z Elubedą notorycznym pijaństwom. Dzisiaj by już czegoś takiego nie wytrzymał. Lecz czas nas przecież uczy pokory.

W końcu oto stanęli u bram pałacowych. W tej części Wendy arystokracja miała swe liczne wille, mniejsze i większe. Nawet sam Kowdlar myślał, by tu zakupić jakiś mały pałacyk. Wprawdzie mieszkał on ci w samym Zamku Królewskim, ale przecież za rok, rok z niewielkim okładem zmieni się to przecież radykalnie. Wtedy będzie potrzebował jakiegoś lokum, gdzie będzie mógł z synem i żoną mieszkać. A dawna rezydencja, którą miał nim zostać Regentem, zasiedlona była przez rodzinę księcia Ulekga, równie sędziwego jak księżę Regent, dawnego posła Amargadeusza na ziemię Oforyki.

W końcu z dużym trudem Kowdlar wyszedł ze swej mahoniowej lektyki. Już to służba Geldery czekała tam na niego. Jakiś młody niewolnik starał się pomóc sędziwemu Regentowi wejść do środka budynku.

W samym środku to już Geldera czekała.

Była ubrana w atlasową suknię koloru pomarańczowego. Ten kolor sprawił jakiś przyływ sił u Kowdlara. Zakrzyknął on nie więc niemal na powitanie:

- Niech bogowie Cię wspierają, droga przyjaciółko.
- Witam, witam, Regencie. Czekałam dziś na tve przybycie.

Uścisnęli się na powitanie i razem skierowali się do sal pałacowych. Kowdlar mocno utykał i szedł dość powoli. Lecz Geldera, pomna na to, nie forsowała tempa. Mieli wszak do pokonania tylko jeden korytarz. Już po chwili Kowdlar usadowił się na drewnianym fotelu, a Geldera usiadła na niewielkiej sofie. Ostрым głosem rzekła do służebnego, by ten przyniósł czarę z czystą, pitną wodą.

- Ekscelencjo, czym mogę ci służyć, Panie? - powiedziała z pewnym uśmiechem na twarzy.
- Pani, wszak wiesz dobrze, iż interesuje mnie, z uwagi na moją przyjaźń z twym mężem, jak Ci się wiedzie? - Kowdlar mówił powoli, tak jakby cedził słowa. - Chciałbym, by tobie oraz twej córce, Alekdzie, życie się układało godnie.

W tej to chwili ich rozmowę przerwało wejście służącego. Niósł on w rękach sporą wazę napełnioną po brzegi źródlaną wodą.

- Dziękuję ci. Przynieś dla mojego gościa napar z hibiskusa. Napijesz się, książę, mojej herbatki? - Ostatnie zdanie Geldera skierowała do Kowdlara.
- Tylko nie za gorącą, Pani.
- Słyszałeś, Areh. Powiedz więc kucharzowi, by herbatkę schłodził. Co do twojej milej i zawsze oczekiwanej z radością wizyty, Panie. - znów mówiła do Kowdlara- To uspokoję ciebie. Wszystko jest jak należy. Duchy opiekunowie naszego rodu na pewno jednak przychylnie patrzą na twe starania, by nam, mnie i mej córce, nic nie brakowało. Jeśli mój zmarły małżonek gdzieś tam z góry patrzy na to, to musi być szczerze kontent z tego, że w ten sposób kultywujesz tę wielką przyjaźń między wami.
- A gdzie to jest Alekda? Czy ona w domu?
- Tak, książę. Boleści głowy nabyła. Chyba się nie obrazisz, że Cię nie przywitała. Naprawdę źle się czuje, i to od samego rana. Leży w swym łóżku i oczy ma przewiązane czarną opaską. Jedyne to daje jej jakąś ulgę.
- Biedactwo – cisnęło się na usta Kowdlarowi.
- Mistrz Kapa, który był u nas zeszłego tygodnia, stwierdził, bo córka od jakiegoś czasu ma te bóle, iż to pewnie stąd, iż kobietą się stała.
- Aha. Cóż to oznacza?
- No, Pani, miała pierwszy okres pół roku temu. - Geldera uśmiechnęła się nadto sztucznie.
- Aha. Aha. Ale to chyba dość późno. Normalnie, chyba, popraw mnie Pani, niewiasty w młodszym wieku to mają.- Kowdlar nie dostrzegł w jej zachowaniu ni trochę ironii.
- No, właśnie dlatego te bóle. Najpewniej coś jest nie tak. Nie tak jak powinno.- mówiła z pasją Geldera.
- Lopeoda ci tu przyśle.

- A on ci, Panie, jeszcze służy?
- No stary jest. Ale, jak to mówią, im starszy medyk tym lepszy. - powiedział Kowdlar. Podrapał się po swej siwej głowie i dodał. - On to chyba jest starszy nawet ode mnie. Ale teraz już nie ma prawie żadnych obowiązków. Jedynie dogląda zdrowia księcia delfina i mojego.
- I twego syna, szlachetnego Atagra.- Geldera go poprawiła.
- A nie. On to jest okaz zdrowia. Żadnej boleści w życiu nie miał. Zwykłego kataru też nie doświadczył. - Kowdlar jakże dumny był, gdy mówił te słowa.
- Niebawem – wyrwało się z ust Gelderze. - A królowa Matka? U kogo ona się leczy?
- Ach, i królowa Matka, masz rację, Pani. Królowa Matka też u niego się leczy, w samej rzeczy. - przyznał nieco zbity z pantałyku Kowdlar.

Służebny w końcu przyniósł napar z hibiskusa. Położył go na ławie i wyszedł bez słowa. Geldera zrobiła zachęcający gest w stronę Regenta. Sama zaś naląła sobie wody do drewnianego kubka.

Kowdlar upił mały łyk naparu. Bardzo odświeżający to był napitek. Kowdlar poczuł nawet, iż opuszcza go pewna słabość, jaką czuł od rana w końcach stóp.

- Czy to jedynie hibiskus, czy może jakaś mieszanka? - spytał się, tak jakby chciał uzyskać recepturę napoju.
- To mojej matki mieszanka. Dostaję ją w pudełku, sama więc nie wiem, co tam jest.
- Ach. Orzeźwia mnie ten napój. Uważaj, droga przyjaciółko, bo z uwagi na twoją herbatkę częściej tu będę u ciebie gościł. - uśmiechnął się przy tym.
- Zapraszam, Regencie, zawsze zapraszam – powiedziała Geldera przytomnie.
- Wiesz jednak, Pani, jaki jest główny powód mej wizyty u ciebie?
- Domyślam się, Panie. - Geldera jeszcze raz upiła łyk ze swego kubka.

Jakoś tak ciemno się zrobiło. Przez okna było doskonale widać, iż słońce schowało się za ciemne chmury. Powiał też chłodniejszy wiaterek od dworza.

- Doskonale wiesz o tym, że ja z twym zmarłym mężem stworzyliśmy przymierze braterstwa. Ślubowaliśmy sobie przyjaźń do samej śmierci. I, w rzeczy samej, tak też i się stało.
- Wiem, wiem, księżę, doskonale o tym wiem. Nie tylko mi o tym mówił Elubed, lecz i inni ludzie, ci, którzy was obu znali. - Geldera powoli sączyła wodę.
- Otóż, Elubed nie dożył narodzin swej córki. Lecz, wiedz, moja droga przyjaciółko, iż gdyby tak się stało, najpewniej chciałby on tego, co i ja teraz chcę z całej mocy.
- To znaczy? - spytała niepewnie.

- By nasze rody połączyły się węzłem pokrewieństwa.
- To znaczy? - tak jakby Geldera na rozumiała, do czego zmierza Kowdlar.
- Chodzi mi o to, by nasze dzieci wzięły ze sobą śluby małżeńskie.
- Ach! O to ci, Panie, chodzi. O to! - Geldera niby posmutniała, zrobiła poważną minę. Zmieniła także pozycję na swej sofie. Tak jakby szykowała się do jakiejś batalii. A najpewniej chciała dobrze dobrać słowa, do tego co za chwilę powie.- Pamiętam, Panie, iż ostatnim razem, gdyś, Panie, gościł u mnie, też podnosiłeś tę kwestię.
- Więc, Pani, czyś przemyślała już tę sprawę? Zaprawdę godne to, by nasze rodziny połączyć.
- A czy, Panie, nasze dzieci także tego pragną? Może twój syn tak, choć i w to szczerze wątpię, lecz moja córka, wiem to na pewno, nie byłaby tym uszczęśliwiona. - Geldera zrobiła znowu tę samą kwaśną minę podstarzałej matrony. Wyszło przy tym , jak wiele zmarszczek miała ona na swym licu, co z pewnym niesmakiem mógł teraz stwierdzić Kowdlar.
- Pytałaś jej , Pani? Dzieci nie zawsze wiedzą, co dla nich najlepsze. Ja stosunkowo późno brałem śluby małżeńskie, podobnie jak i Elubed, i muszę ci powiedzieć, Pani, iż myślę, że nie było to dla mnie najlepsze. Prawdziwe szczęście znalazłem dopiero przy boku mej małżonki Teborny. Dlatego chciałbym , gdy jeszcze mogę, tak wpłynąć na mego syna, by nie powtarzał on mego błędu. - Kowdlar mówi szybko.
- Masz, Ekscelencjo, całkowitą rację, lecz radzę ci, Panie, znajdź dla swego syna inną kandydatkę na żonę. Nie będzie to wszak takie trudne dla ciebie, przecież twój syn to najlepsza partia w kraju. Jestem pewna, że wiele godnych, starych i szlachetnych domów w naszej Ulandii, a także i poza nią związałyby się chętnie z twoim rodowodem.
- Nie inaczej, o pani. Masz całkowitą rację. Lecz ja ponawiam moją propozycję właśnie tobie. - Na licu Kowdlara zagościł jakiś rumieniec uporu, zaciętrzewienia.
- Hm... Panie. Dziś ci nie dam ostatecznej odpowiedzi. - Tak jakby Geldera nieco zmiękła- Sama nie sprzyjam temu pomysłowi, jak widzisz, jestem z tobą zupełnie szczerą. Lecz nie chcę decydować w tej chwili ostatecznie. Być może ma córka będzie miała odmienne zdanie do mego. Lecz, zmartwię cię, do tej pory zwykła zgadzać się zawsze ze mną. Lecz, jak powiadam, zostaw mi, Panie, jeszcze trochę czasu do namysłu.- Geldera poprawiła fałdę swej sukni, odgarnęła do tyłu swe obfite włosy.

Kowdlar, słysząc to, niby bezwiednie, uśmiechnął się jednak do siebie. Ostatniego razu stanowisko Geldery było jednak bardziej radykalnie. Odnotować więc należy jakiś postęp w tej trudnej sprawie negocjacji małżeńskich. Tym chętniej więc Kowdlar rzucił się na tę herbatkę z hibiskusa. Pił więc tak, i uśmiechał się od ucha do ucha, uśmiechał się od ucha do ucha i pił orzeźwiający napar.

Lamart szedł z duszą na ramieniu na to spotkanie. Był najmłodszym dzieckiem w rodzinie rymarza Gertaka. Od samego urodzenia budził powszechny popłoch u swego ojca i matki Ody. Bo tak było, że jak on już się odezwał to innym szczęki odpadały. Polegało to na tym, iż we wszystkim, dosłownie we wszystkim, co życie niosło zawsze znajdował takie ziarno prawdy, na które nikt inny nie wpadł wcześniej. Miał więc od samego zarania żywota z tym tylko same kłopoty. Chłopcy są sąsiadów, jego rówieśnicy, mieli z tego niezły ubaw, bo gdy Lamart rzekł coś, to boki można było zrywać. I Lamart najczęściej bywał obiektem żartów i dowcipów. Lecz nic go to w sumie nie uczyło, bo to wynikało najpewniej głęboko z karmy tego nieboraka. Lecz oto, gdy nieco podrósł, gdy zaczął uczyć się w rzemieśle swego ojca, najczęściej dzieci szły śladem rodzica, jego sława doszła w końcu do Mistrza Kapy oraz do nauczycieli Szkolnicy Królewskiej, tym samym do Ereja. Lecz tym razem nie był to powód do żartów i docinków. Tylko Erej za namową Mistrza Kapy postanowił odbyć rozmowę z młodocianym Lamartem. Został więc on wezwany, by stawiał się osobiście przed obliczem Nauczyciela Królewskiego Ereja.

Miał jeszcze trochę drogi przed sobą, razem z rodzicami mieszkali w innej dzielnicy Wendy. W duchu myślał, że chyba niczego złego nie zrobił? Dlaczego to jednak tak szanowany obywatel Wendy chce z nim rozmawiać? Lecz takie to były czasy, że niczego nie można było być pewnym. A może go oddadzą katu na tortury? Nie, chyba jednak nie. Tak to sobie w duchu rozważał.

Przed wyjściem z domu, matka, Oda, odprawiła nad nim mały rytuał ochronny. Kopnęła go lekko lewym kolanem w prawe biodro. Jak mówią stare baby, najlepiej to chroni od kaprysu losu i nieszczęścia. Wprawdzie tak zwykło się żegnać mężów, co to na wojnę idą, ale przecież kto to może wiedzieć po co i na co to wzywają biednego Lamarta do samej szkolnica. Szkolnica Królewska budziła u ludzi mieszane odczucia. Jedni chwalili księcia Regenta, że to za jego rządzenia powstało to szlachetne zgromadzenie, w którym pobierali nauki co mądrzejsi ludzie w całej Ulandii. Nie zawsze to było równoznaczne z tym, iż było ich na to stać. Nie! Najczęściej to bowiem byli zupełnie ubodzy synowie rodzin chłopskich i ubogich stanów. I to, a owszem, bardzo się podobało gminowi. Z drugiej zaś strony krążyły i takie opinie, że Szkolnica kosztuje skarb królestwa zbyt wiele; że można by te pieniądze przeznaczyć na cele znacznie bardziej ważne dla kraju, dla Wendy. Może to też była lekka zazdrość tych, co nawet najmniejszych szans nie mieliby, by dostać się do takiego bractwa. Szaraczki buntowały się, iż ich kosztem inni, inteligentniejsi, znacznie inteligentniejsi mogą sobie kształtować dolę podług znacznie korzystniejszych reguł, niżli zwykły gmin, i kuć swój przyszły, najpewniej z tej przyczyny lepszy los.

Lamart więc tak szedł powoli, tak jakby chciał odwlec ten moment spotkania ze sławnym Erejem. A pogoda dziś była całkiem przyjemna. Nie było aż tak upalnie, lecz na tyle ciepło, iż można było rozkoszować się spacerem. Lekka bryza w plecy, tylko potęgowała ten efekt.

W pewnym momencie Lamart zobaczył jednak już budynek szkolnicy. Pozostało jeszcze może z ćwierć staj i będzie na miejscu. Droga zamieniła się w tym momencie z zalesioną alejkę. To między innymi tu uczniowie i nauczyciele szkolnicy zwykli się przechadzać i dyskutować równocześnie na ważne tematy.

Lamart podziwiał piękny, zwalisty gmach szkolnicy. Gdzieś tam, z drugiej strony wejścia do budynku dojrzał kilku, wydawać by się młodych, mężczyzn czy nawet tylko chłopców, którzy stali między platanami, kilku siedziało na drewnianych ławkach. Tak jakby trzymali oni wszyscy coś w dłoniach. Lamertowi się zdało, iż to księgi albo inne woluminy. Ludzie ci skupieni byli w kilku grupkach. I widać było, że rozmawiają o czymś w swoim gronie.

Sam gmach szkolnicy miał przynajmniej sześćdziesiąt łokci długości i szerokości, bo w formie sześcianu był on wybudowany. Do środka prowadziła amfilada schodowa. Jako to Lamart znalazł się w końcu u wejścia do szkolnicy. Jakiś młody mężczyzna stał wsparty o ścinę. W samej rzeczy miał w ręku rolkę księgi.

- Panie, gdzie znajdę Nauczyciela Królewskiego Ereja? - spytał się go z pewną tremą Lamart.
- W swym gabinecie najpewniej jest, chłopcze. Lecz cóż ty od niego możesz chcieć? - mężczyzna uśmiechnął się szczerze.
- Panie, mam się stawić u Nauczyciela. To on kazał mi tu przyjść.
- A, to w takim razie idź za złotą linią, ona doprowadzi cię do pokoju Ereja.

Po tej uwadze mężczyzny, Lamart zobaczył, iż rzeczywiście od schodów do budynku na posadzce biegnie kilka kolorowych linii. Była też tam złota linia.

Mężczyzna, mówiąc to, odwrócił się bokiem do Lamarta, jakby go chciał w ten sposób zlekceważyć. Nie usłyszał więc, najpewniej, słowa dziękuję, które mu posłał Lamart wchodząc do budynku szkolnicy.

W środku było mocno ponuro i ciemno, i to nawet pomimo tego, że palące się pochodnie wyznaczały drogę. To w środku wydawało się, że budowla jest jeszcze większa niż na zewnątrz. Lamart poczuł gęsią skórę na plecach. Strach, ogarnął go strach, a przecież nie należał do tych, co to bez powodu się boją. Koledzy często nazywali go dziwakiem, lecz nikt nigdy mu nie zarzucił tchórzostwa. A w tych czasach najbardziej przecież pogardzano strachliwymi ludźmi. Opanował się więc po chwili. To znaczy, tak mu się zdało. Bo to najlepszą metodą na stracha jest wmówienie sobie, swemu wewnętrznemu ja, przecież, że się człek niczego nie boi. W końcu złota linia skończyła się. Lamart stanął przed wielkimi dębowymi drzwiami.

Zapukał ostrożnie. Może zbyt delikatnie, tak jakby był babą nie chłopcem. Lecz oto usłyszał z wnętrza.

- Wejść! - silny głos męski.

Wszedł. Pojawił się znowu ten strach. Na trzęsących się nogach wszedł do środka.

Za drewnianym stołem siedział młody mężczyzna. Lamartowi się zdało, iż w sile wieku. Miał pogodną twarz i lekki trzydniowy zarost. Szaty purpurowe; właśnie jadł on coś; na paterze przed nim leżały owoce, a sam Erej żuł coś w ustach.

- Podejdz, chłopcze – powiedział Erej, nie przerywając jedzenia. - No, śmiało, śmiało- dodał szybko, bo widać było, iż chłopak jest mocno skonfundowany. -Bez obaw, chłopcze. Jak cię zwa?
- Ja, Panie, jaaaaa się nazywam Lamart.
- Ach to ty, w rzeczy samej. Słyszałem wiele o tobie. Podobno zadziwiasz swoje otoczenie. Ale nie martw się, wielu tak ma. I ja taki też byłem w twoim wieku – Erej wziął z patery winogrono i włożył go do ust, ale nie przestał mówić. - Nie chcę w tobie budzić przedwcześnie radości, a może smutku, jeśli boisz się opuścić swój rodzinny dom, ale jest taka szansa, iż stałbyś się członkiem nowej, tej naszej rodziny, którą postronni zwą Szkolnicą Królewską. - Erej znów sięgnął po owoc, widocznie zasmakował się w tym zupełnie. - Czy interesowałoby cię to? Dodam, iż po ukończeniu nauki w niej zyskałbyś zupełnie nowe możliwości w życiu, mógłbyś na przykład służyć Ulandii jako dworzanin lub poseł naszego już wkrótce króla Orotoga.

Słyszac to Lamart aż się uśmiechnął do siebie. On dworzaninem albo posłem? Nie chciało mu się w to wierzyć, był przecież synem rymarza i rymarzem miał zostać w przyszłości.

- Jak to, Panie, ja członkiem szkolnicy? - wydukał tylko z siebie.
- No ty, ty, ale...
- Tak, słucham, Panie?
- Musi to być twoja wola i decyzja oraz ... - tu Erej zawiesił nieco tembr głosu. - lecz wprzód musisz się jeszcze wykazać. Bo ja muszę mieć pewność, że przyjmuję właściwego człowieka.
- Co mam więc, Panie, uczynić?

Na te słowa Lamarta Erej wyciągnął z zza stołu dość sporą drewnianą klepsydrę. Pokazał ją Lamartowi i rzekł :

- Widzisz to?
- Tak, Panie.
- Zaraz odwrócę tę klepsydrę i zadam ci pytanie. Jeśli odpowiesz na nie, nim piasek się przesypie, przyjmę cię do naszej szkolnicy, bo wnoszę, iż chcesz być członkiem naszej elitarnej rodziny, nieprawdaż?

Na co Lamart zrobił głową gest potwierdzenia.

- Słuchaj więc. Jakie zadałbyś jedno, podkreślam jedno, pytanie o drogę do miasta jednemu z dwóch celników, dwóch braci, co stoją przy rogatkach miasta, przy rozwidleniu dróg. Jedna droga prowadzi do miasta, druga na manowce. Jednak wiadomo ci będzie, iż jeden z celników to łgarz i zawsze kłamie, a drugi mówi zawsze prawdę, i tylko ty nie wiesz który to który. Masz pięć minut na rozwiązanie tego. - To mówiąc Erej postawił klepsydrę; piasek powoli zaczął się przesypywać.

Lamart poczuł, że miękną mu nogi. Ciepło zaś w brzuchu zalewa mu serce. Miał dosłownie kilka minut. Zaczął gorączkowo myśleć. Zaczął analizować tę dziwną zagadkę, a piasek powoli, lecz nieubłaganie przesypywał się. Mijały minuty, mijały sekundy. Wtem! Coś go oświeciło. Krzyknął: -

- Wiem, Panie, wiem! – i aż sam się zdziwił ze swej radości.
- No to, powiedz mi, zostało ci jeszcze kilkadziesiąt sekund. Jak brzmi pytanie?
- Oto, Panie, spytałbym się dowolnego z tych dwóch celników: jaką drogę wskaże mi twój brat, bym mógł się dostać do miasta. Ale odpowiedzią właściwą byłaby wtedy droga przeciwna do tak wskazanej. - Lamart miał aż czerwone lico z emocji.
- No ... Niebawale! – Erej aż westchnął głośno z tej konfuzji, w jaką go wpędził chłopak swą odpowiedzią. -Dobrze... e, chłopcze, bardzo dobrze. To nie była łatwa zagadka, przyznaję. Mało który chłopak radzi sobie z nią w tak krótkim czasie. Więc miałem dla ciebie jeszcze jedną próbę, gdybyś tej nie odgadł. Ale ty sobie poradziłeś. Niebawale. Ile ty masz, chłopcze, lat? Powiedz mi.
- Dwanaście, Panie.

Na te słowa chłopaka Erej tylko się uśmiechnął, przypomniały mu się bowiem czasy, gdy mniej więcej w tym samym wieku zaczął służyć w domu Dyso, ojca Presurta Olanda, gdzie dobry los zetknął go z Cyganem Dziadem.

Erej wziął ze sterty papirusów kartkę, częściowo już zapisaną i dopisał coś do niej.

- Hm ... Chłopcze. Na razie będziesz chodził w czwartki i piątki do grupy Nauczyciela Jufe. Czy odpowiada ci to? Aha, jeśli się zgodzisz, dostaniesz dziesięć talentów na miesiąc, jako swoistą dietę. Ma to być oficjalnie pomoc dla uczniów spoza Wendy, na to by znaleźli kwatery oraz na dość drogie książki? I choć ty z Wendy, ale dostaniesz całą kwotę.
- Ile? Panie, to majątek. Mój ojciec za cały rok pracy dostaje pięć talentów. - Chłopak był zszokowany.
- Właśnie dlatego, Lamarcie, iż książki w dzisiejszych czasach sporo kosztują. My wprawdzie mamy własną bibliotekę bogato zaopatrzoną, ale doszliśmy do wniosku, ja i Mistrz Kapa, wiesz kto to? Iż każdy uczeń naszej szkolnicy powinien też mieć własne książki. To jak zgadzasz się? Jeśli daleko mieszkasz

- od szkolnicy, pomogę ci wynająć jakiś pokój w okolicy.
- Panie, tak, tak. Jestem zaszczycony. Dziękuję, dziękuję.
 - No, nie śpiesz się tak bardzo z podziękowaniami. Każdego bowiem nowego czeka półroczna próba. Jeśli się w tym czasie nie sprawdzisz, zrezygnujemy z ciebie. Jedynym teraz twoim obowiązkiem jest uważne czytanie zaleconych ksiąg, tych które ci zaleci Jufe albo ja osobiście. Musisz też przerwać praktykę u swego ojca, bo zostałeś teraz uczniem Królewskiej Szkolnicy w Wendzie. To wielce zaszczytne. A w ogóle, nie zapytałem, ty umiesz czytać? - Erej zrobił przy tym kwaśną minę.
 - Tak, Panie, umiem.
 - No, chłopcze, powodzenia, bystry jesteś wielce, więc myślę, że sobie poradzisz. Przypuszczam, że będziemy mieć wiele pociechy z ciebie, my, Nauczyciele, i nasza Ulandia. Naprawdę, mało było przed tobą tych, którzy rozwiązyali tę zagadkę tak szybko i przy pierwszym podejściu, a ty dałeś radę, niebywale! A ja chciałem ci dać tylko tym przyczka w nos. No brawo, brawo!

Mroźne ziemie elfów już dawno zostawili za sobą. Już od wczoraj byli na ziemiach królestwa Fluksji. Jeszcze dzień jazdy wierzchowcem i będą w Ulandii, a potem jeszcze jeden dzień i staną w końcu u bram Zamku Królewskiego w Wendzie. Orotogowi bardzo się śpieszyło, dlatego jechali praktycznie bez popasu. Wymieniali jedynie wierzchowce. Raz też nocowali na bagnach u wrót Fluksji, i to było wszystko. Atagr był mocno zmęczony. Atagr i jeszcze dziesięciu gwardian, którzy towarzyszyli królewiczowi jako obstawa. A sam Orotog był niewyciężony, ani trochę nie wykazywał zmęczenia. Czy to było z powodu tego, iż najmłodszym był w tej grupie, a może to siły jego ojca, Amargadeusza, objawiały się teraz w tej chwili próby. Bowiem i sam Amargadeusz był znany z tego, że dużo umiał znieść i przetrzymać w swoim czasie. Zaprawdę była to chwila próby dla wszystkich z wyjątkiem chyba tylko delfina. A on jeszcze żartował sobie, gdy rzadko przystawali. Młody delfin, widział to doskonale Atagr, jeśli miał jakieś chwile słabości, to tylko wtedy, gdy patrzył na swe juki, czy się nie poluzowały one, bowiem wioził w nich cenny skarb. Tak się przynajmniej zdawało Orotogowi. Była to pięknie wyprawiona, świeża jeszcze skóra i futro białej niedźwiedzicy. Atagr zaś trzymał w swych jukach także świeże dwa futerka małych niedźwiadków. I po to oni się zapędzili na skraj świata? Po zwykły skrawek futra, który równie dobrze można było kupić za dwa talenty na którymś z targów w Wendzie? Atagr nie mógł tego pojąć zaiste. Lecz wola Orotoga się wypełniła. Wyprawa, wydawało się teraz, iż powiodła się w całości. Najpewniej była to zasługa tylko i wyłącznie rośłych gwardian, którzy choćby nawet tylko pośrednio gwarantowali królewiczowi pełne bezpieczeństwo. Samo też polowanie na niedźwiedzia było mocno ustawione, niedźwiedzica nie miała żadnych szans; nawet, gdyby nie powiódł się mu ten piękny strzał, którym uśmiercił

niedźwiedzicę, to za plecami już byli gwardianie oraz książę Atagr. Oni najpewniej zrobiliby wszystko, by i tak Orotog mógł cieszyć się tym cennym trofeum, które teraz miał przy siodle.

Galopowali więc tak na swych rumakach po Solnym Trakcie, który prostą drogą prowadził do Ulandii. Z przodu był delfin, u jego boku Atagr, a kilka łokci za nimi gwardianie.

Nagle z przeciwka, dostrzegli to dokładnie, bo droga biegła prosto, między drzewami, lecz dobrze była oświetlona, jaką starą furę z dwoma ciężkimi końmi. Na ten widok, Orotog zwolnił bieg, wyciągnął rękę do swych ludzi i krzyknął:

- Zapytamy się ich – wskazał ręką dość jeszcze odległą furę- czy nie mają trochę czystej wody? Bo mi nasze wino coś zbrzydło.

Powoli więc jechali na koniach; fura była coraz bliżej. Już po chwili mogli się przekonać, iż końmi powoził jakiś mężczyzna w sile wieku, a obok niego na koźle siedziała starsza kobieta. Mieli oboje zaniedbane szaty. Atagrowi przeszło przez myśl, że on na pewno nie będzie pił od nich wody, już woli te trochę kwaśne wino, które miał w bukłaku przy siodle. W końcu, gdy się zrównali, Orotog krzyknął:

- Stać, coście za jedni?

Mężczyzna co to powoził furą zrobił gest pokorny ręką i skłonił się nisko, na tyle na ile mógł w tych warunkach.

- Dostojni Panowie, my wolni ludzie jesteśmy. Jam jest Poju, a to moja żona Mets. Jedziemy do miasta Hars, na jarmark świąteczny.

Wtem coś z tyl furę się poruszyło, stęknęło.

- A to co? - krzyknął znowu Orotog
- A to, Panie, kaleka, opiekujemy się nim.
- Jak to kaleka? - dziwił się delfin.
- Znaleźliśmy go dwa roki temu w tukmackich lasach.
- Co mu jest? Czemu on przykryty szmatami – na to włączył się Atagr.

Ci dwoje na furze jakby się zmieszali. Zrobili dziwne miny.

- Panowie, ktoś tego człowieka okaleczył. Wyłupił mu oczy, język odciął i wykastrował jak wałacha – mówił Poju. - Przygarnęliśmy go, bo długo by nie pożył. Teraz też ledwo dycha.
- Pokażcie go – powiedział Atagr.

Poju schylił się za siebie i odgarnął stare szmaty. I w rzeczy samej był tam ktoś, wtulony w kąt drewnianej fury. Trząsał się, raczej nie z zimna, lecz jakby coś przeżywał wewnątrz. Chudy był on ci, zarosnięty, lecz włosy miał pełne. Wysoki też musiał być, bo ledwo się mieścił w tym kącie, w którym teraz leżał. Łachmany tylko miał na ciele ubrane.

- Ty, człeku, jak cię zwa, mów tu zaraz? - powiedział Atagr.

Lecz odpowiedzią była cisza. Tę ciszę pierwszy przerwał Poju.

- On wam nie powie, Panie. Lecz słyszy, co do niego się mówi, nie może tylko opowiedzieć ci, Panie, słowem.
- To jak się z nim porozumiewacie? - powiedział Orotog.
- Panowie, on umie pisać. Z trudem mu to wychodzi, bo ślepy, ale jednak umie.
- To jak on się zwie, napisał wam, człowieku?

Na te słowa ta dziwna dwójka jeszcze bardziej się zmieszała, lecz Poju szybko się opanował i rzekł:

- Tego jednego nie chce zdradzić. Wiemy, że kiedyś był bardzo majątny i ustosunkowany, lecz zdradził nam, iż tyle złego uczynił, że bogowie pokarali go. Człowiek, którego uważał za pewno, okaleczył go i pozbawił fortuny. Wszystko sobie ów przywłaszczył, i porzucił tego biedaka w lesie, tak by go wilki pożarły.

Na obliczu księcia Orotoga pojawiło się współczucie.

- Wiecie kogo spotkaliście, tu na tej drodze? - powiedział.
- Nie, Panie, nie wiemy, kim jesteście.
- Jam jest Orotog syn Amargadeusza.

Na te słowa delfina ów kaleka nagle jakby wybuchnął spazmem płaczu, z piersi mu się wydarły jakieś kalekie dźwięki.

- Co mu? - na to rzekł Atagr.
- Nie wiem, Panie, nigdy się tak nie zachowywał. A ciebie, Wasza Królewska Mość, niech prowadzą w życiu bogowie. Wielki to dla nas zaszczyt.
- Macie to - Orotog rzucił Pojowi mieszek z dinarami. - Opiekujcie się dalej tym kaleką. A jeśli los tak sprawi, że dożyje on chwili, gdy na króla Ulandii już będę namaszczoney, przyjedźcie z nim do Wendy, wtedy uzyskacie dalszą pomoc.

- Dzięki ci, O panie, nasz przyszły władco – Poju cały skurczony zaczął pić peany zachwyty dla Orotoga. Trochę to zniesmaczyło Atagra, a także ludzi z obstawy królewicza. A i samego delfina to chyba zaczęło mierzć.
- Człowieku, czy macie świeżej wody w bukłakach? - Ortog rzekł z pewną niecierpliwością do nich.
- Matka, daj Jego Królewskiej Mości wody. - na to kobieta podała Poju skórzany worek. - Oto, Panie- rzekł Poju - najczystsza woda we Fluksji, sam ją osobiście zaczerpnąłem z górskiego strumyka.

Orotog wziął do ręki bukłak, otworzył go i zaczął pić łapczywie źródlaną wodę. Najpewniej był to najlepszy sort wody, bo młody delfin pił coraz więcej, aż część z tej wody płynęła mu po brodzie. Pozostali patrzeli na królewicza. A ten okaleczony człowiek w furze jakby cały czas płakał i zawodził coraz mocniej swym martwym językiem. I choć płakał, to z tych wyłupionych oczu nie mogła już wypłynąć żadna łza najmniejsza. Płakał więc tak po cichu i płakał tak bez nawet najmniejszej kropli łez.

Księga „O bycie kilka słów” leżała przy łóżku, lecz na podłodze. Oland chyba czytał ją wczoraj przed snem, a potem upuścił. Juta chodziła wokół jego posłania na palcach. Byle tylko cicho, byle go nie zbudzić. Dziwne się teraz rzeczy z nim działy. Odkąd mocno przytył, zdrowie mu zaczęło szwankować. Od pięciu lat skarżył się na narastające straszliwe bóle, szczególnie rano, w prawym boku. Bóle miał już od znacznie dawna, lecz nie tak intensywne jak teraz. Język miał stale obłożony, dziwne gazy męczyły go. Często tak było rano. Szczególnie na czczo. Ponadto biegunki miał lub, przeciwnie, zaparcia. Medyk Lopeod, który kiedyś go badał, stwierdził, że to najpewniej wątroba jest przyczyną jego problemów. Lecz na to nie ma skutecznego lekarstwa. Lopeod poradził Jucie, by podawała z rana mężowi świeży sok z pokrzywy i zalane gorącą wodą siemię lniane. Lecz radykalnej ulgi nie należy się spodziewać. Co szczególnie często podkreślał medyk. Teraz zaś od trzech tygodni Oland tak źle się czuł, że nie wychodził z łóża. Wszystkie jego obowiązki na urzędzie przejął Puto. To on praktycznie od pięciu, sześciu lat kierował pracami Presurta Królewskiego. Książę Regent dość nieprzychylnym okiem na to patrzył. Był on przecież znacznie starszy od barona Olanda i równie ciężko chory, lecz umiał się tak zorganizować, iż urząd swój cały czas sumiennie wykonywał. Lecz cóż było robić, skoro Oland wyznaczył na swego pełnomocnika byłego niewolnika, no to niech będzie taka jego wola.

Na szczęście w królestwie był pokój i dobrze się działo. Wojny już Ulandia nie prowadziła od wielu lat. A o Magu Uberyku od lat nie było żadnego słuchu. Gdzieś przepadł bez wieści. Może umarł, a może pogodził się już z tym, że nie będzie w Ulandii panował. Jedynym sukcesorem do korony i władzy był królewicz Orotog. I

wyglądało na to, że w samej rzeczy nic nie przeszkodzi koronacji Orotoga, którą wstępnie ustalono na miesiąc Koguta w roku Lwa, to jest za mniej więcej rok z okładem. Do tego czasu delfin już będzie w pełni dorosłym, i jak przepowiedziały wieszczki wyroczni Mory, będzie to dla niego najlepszy czas na to. Juta chciała poprawić mężowi zagłówek, lecz wtem Oland się jakby ocknął, wziął głęboki wdech i stęknął:

- Moja droga, czy była dziś poczta królewska? - spytał nagle; mówił z trudnością.
- A...a, rzeczywiście był goniec z listem od szambelana Obika – Juta przytaknęła
- Od Obika? - Oland się zdziwił. - Otwarłaś?
- Nie, nie otwierałam. Pieczęci królewskie miała. Musisz sam otworzyć. - Juta starała się poprawić Olandowi posłanie. Od tego mieli sługi, lecz teraz przy okazji to ona chciała to zrobić. Oland wspomógł się na jej ramieniu, i zmienił położenie swego już mocno otyłego ciała.
- To daj mi go, zbyt jeszcze słaby jestem, by pójść o własnych nogach do gabinetu. Dobrze, że tu w Pustyni Róży mamy ciepły klimat. Zawsze na to narzekałem, lecz teraz zimno mi wiecznie, i gdyby nie naturalne ciepło naszego lenna, to pewnie bym ciężej jeszcze znosił tę moją chorobę.

Juta na tę sugestię Olanda, wyszła z alkowy męża do kancelarii, jego gabinetu, gdzie leżała poczta. Juta wiele się nie zmieniła od czasów, gdy to młodziutki Oland starał się o nią. On mocno posunął się w latach, ona jakby była wiecznie młodą. Może piła jakiś tajny eliksir młodości? Oland często żartował, iż chyba matka jej, Jerna, zostawiła Jucie w spadku owo cudowne panaceum na zdrowie i urodę, i wieczną młodość. Na pewno Juta dbała o siebie, w przeciwieństwie do Olanda, który z wiekiem stawał się pomału hedonistą, chcącym czerpać z życia wszystko, co najlepsze, szczególnie rozsmakowywał się w jadle i napitku. Stąd jego stopniowe podupadanie na zdrowiu, które zaczęło się jeszcze za czasów panowania króla Amargadeusza. Teraz choroba przybrała swą ostrą fazę. Juta, pomna swego doświadczenia, czuła, że z Olandem nie jest dobrze. Była przygotowana nawet na najgorsze. Jemu nic nie mówiła, ale w swej alkowie, bo już od ładnych pięciu, sześciu lat spali osobno, czasami płakała późną nocą. Nie miała dzieci, nie wiedzieć dlaczego, bo medyk królewski Lopeod orzekł, iż nie widzi przyczyny tego. Nie miała dzieci, więc nie miała oparcia w najbliższych. Matka już nie żyła, rodzice Olanda także już pomarli. Został więc jej tylko Oland. A on teraz tak ciężko chory. Gdy on odejdzie, przyjdzie naprawdę zły czas dla baronowej Juty. Majątek ma, ale majątek to nie wszystko. Najgorsza w życiu jest samotność. Szczególnie zaś dla tych, którzy mieli zawsze w kimś wsparcie. Juta pomału myślała już o tym, iż gdyby tak się stało, że Oland przegra walkę z chorobą, ona zostawi Pustynię Róży nowemu lennikowi, a sama z majątkiem swym przeniesie się do stolicy, do Wendy. Osadzi się w jakimś godnym pałacyku i będzie tam żyła w cieniu dworu królewskiego, do czasu aż bogini Chronora przesypie też i jej klepsydrę życia.

Dlaczego do Wendy? Dlaczego w cieniu dworu królewskiego? Miała tam kilka przyjaciółek, które poznała w czasach, gdy Oland był jeszcze prężnym i aktywnym Presurtem Królewskim, wtedy to nawiązała kilka znajomości na dworze królewskim, które do dzisiaj podtrzymywała.

W tym czasie, gdy Juta poszła po list od Obika, Oland sięgnął, choć przyszło mu to z trudnością, po księgę, co na podłodze leżała. Była to księga napisana przez Cygana Dziada. Od kilku lat zaczęła się ona cieszyć wielką popularnością w kręgach arystokracji Ulandzkiej. Skrybowie wręcz nie nadążali z kopiowaniem jej. Mieli też przecież inne obowiązki, ale przepisywanie w liczne egzemplarze księgi „O bycie kilka słów” stało się praktycznie ich głównym zajęciem. Podobnie też i sam Presurt Królewski miał swoją kopię tego dzieła. Modą na dworze królewskim stało się, by żywo dyskutować niektóre akapity tych mądrości, co po sobie zostawił Cygan Dziad. I choć Oland wielce już był chory, jednak nie chciał pozostawać w tyle za innymi notablami królestwa. Dlatego, z trudem, bo z trudem, ale czytał to dzieło. I dzisiaj już z rana czytał tę księgę, i teraz miał zamiar to czynić. Nie umiał jeść, nie umiał pić, z trudem oddychał, lecz czytania takowoż nie umiał zaniechać.

Juta w końcu przyszła z powrotem, w rękę trzymała list od szambelana. Niby teraz była smutniejsza, niby poważniejsza. Podała Olandowi pismo, i wyszła bez słowa z komnaty. Oland z trudem rozłamał pieczęci królewskie.

Szanowny przyjacielu.

Jak już z pewnością dotarło to do ciebie, Jego Królewska Mość, ksiązę Orotog, powrócił z wyprawy z ziemi elfów. Jego przygoda skończyła się pełnym sukcesem. Ma już swoje cenne trofeum. Ksiązę zmężniał i nabrał pewności siebie. Piszę do Ciebie na wyraźną sugestię księcia delfina. Pragnie on dowiedzieć się o stan twego zdrowia. Czy poprawił się ? Czy lepiej się już czujesz? Ksiązę delfin ufa, że po jego koronacji, będziesz mógł dalej sprawować swój urząd. O czym mam Cię, w jego imieniu, poinformować, i zapewnić, że sprzyja temu całkowicie.

Przesyłam Ci, w osobnej paczce, pewien specjał, który myślę będzie Ci przydatny. To wyciąg z zielnej rośliny, z której korzenia ludy Helawitów tworzą cudowny ekstrakt. Pomocny jest wielce w chorobach duszy i ciała. Stosuj go trzy razy do dnia i raz na noc po jednej łyżce. Można go rozcieńczyć wodą. Jest przykry w smaku. Lecz to, co niedobre, jak mówią ludzie, przynosi zdrowie. Ja sam przy jego pomocy pozbyłem się uporczywego kataru z nosa. Lecz, wierząc mi, działa on na mnogi szereg ludzkich boleści.

Znaj więc, jak wysoko cenię tę naszą przyjaźń. Pamiętam zawsze i będę pamiętał, że to ty pierwszy wyciągnąłeś do mnie pomocną dłoń po śmierci naszego pana, króla Amargadeusza.

Twój oddany przyjaciel, Obik.

– Służba! - Oland w wielkim trudem zakrzyknął. Po prawdzie było to słabe

- zawodzenie, lecz służący dosłyszał głos swego pana.
- Tak, Panie – w drzwiach ukazała się głowa niewolnika.
 - Czy razem z listem od szambelana przyszła też jakaś paczka? - rzekł słabym głosem.
 - Tak, Panie. Byłem przy tym, gdy poczta nadeszła.
 - To, Jop, przynieś mi tu tę paczkę natychmiast.
 - Słucham, Jaśnie Pana.

W domu baronowej Geldery dzisiaj aż iskrzyło. Pokłóciły się. Ta smarkula, jak Geldera nazywała swą córkę, Alekdę, gdy ta robiła coś na przekorę, znowu się zbuntowała. Jej bunt polegał na tym, iż nie odzywała się do swej szanownej matki, a także odmówiła zjeść śniadanie i obiad. To najbardziej niepokoiło matkę, bo córa miała tendencję do zagładzania siebie. Nie pomagały groźby, nie pomagały krzyki, jak ta mała postanowiła coś, to dzielnie się tego trzymała. A powód tego był taki, iż Alekda oświadczyła dziś z rana, iż nie pójdzie na termin do świątyni Isztar w Wendzie. A przecież jeszcze tak niedawno to jeszcze ona sama wyrażała tę wolę, by zostać kapłanką Isztar. Dziś jednak młodej się odmieniło. Zdenerwowana Geldera cały czas w duchu analizowała, co też się stało córce, iż zmieniała swój dawny zamiar? A może ona się zakochała? Tylko w ten sposób matka mogła sobie wytłumaczyć tę zmianę stanowiska córki wobec swej przyszłości. A przecież Mistrz Kapa był już zamówiony na inicjacyjną ceremonię Alekdy. Wszyscy już byli przekonani co do wyboru Alkady. Jakże ja będę teraz świeciła oczyma przed każdym ze znajomych, gdy wyjdzie na to, że Alekdzie się odmieniło? Tak najpewniej myślała teraz Geldera. I na samą tę myśl aż jej cierpła skóra na łydkach. To była obawa przed całkowitą sromotą i przed ludzkimi językami, które najpewniej ich teraz nie oszczędzą. A przecież Geldera była wdową, może nie biedną, lecz samotną wdową, kto teraz je dwie obroni przed nieprzychylnością ludzi? Nie miały męskiego wsparcia. Książę Regent, owszem, był pomocny, przyjaciel domu, lecz nawet on nie uchroni je od powszechnego ostracyzmu. Jak one teraz będą mogły żyć tu w Wendzie? Owszem, mogłyby wyjechać gdzieś do majątku na głęboką prowincję. Lecz byłoby to równoznaczne z całkowitą rejteradą, przed kapitulacją przed złymi językami. A tego dumna Geldera nawet nie chciała do siebie dopuścić. Więc przyjdzie im teraz cierpieć. Cierpieć i zaciskać zęby. A może Alekda zmieni jeszcze zdanie? Matka desperacko uchwyciła się tej myśli. To przecież jeszcze dzieciak, ona sama dobrze nie wie, czego chce od życia.

Geldera, by uspokoić się nieco, wzięła się za haftowanie. Miała kilka jeszcze nie dokończonych takich prac. Najbardziej lubiła haftować chustki, a także małe obrusy pod terakotowe wielkie amfory. Teraz więc haftowała zawzięcie. Miała nadzieję, że to odpędzi natrętne złe myśli. A Alekda nie wychodziła ze swego pokoju. Geldera wcześniej co rusz posyłała w tamte rejony pałacu niewolnicę, by ta podsłuchiwała, co też robi panienska. Teraz jednak już było jej wszystko jedno. Pozwoliła nawet

niewolnicy oddalić się na wypoczynek.

Wtem jakiś łomot rozległ się w zachodnim skrzydle pałacu, tam mniej więcej, gdzie pokój swój miała Alekda. Gelderę wstrząsnął jakiś prąd przerażenia, jakiejś wewnętrznej intuicji. Rzuciła w kąt robótki, i wybiegła pośpiesznie z komnaty w kierunku pokoju swego dziecka. Widziała przy tym, iż Ojt i Hguy, dwaj niewolnicy służący w ogrodzie też tam już biegli, a byli oni na schodach. Pokój bowiem Alekdy był na piętrze.

Krzyknęła do nich jakby tak zupełnie bezwiednie:

- Biegnijcie do niej, czym prędzej. Szybko!

Ojt tylko kiwnął jej, że rozumie. I tym prędzej ruszyli obaj. Wyprzedzali przy tym Gelderę o dobrych kilkanaście sekund.

Jakoż i Geldera w końcu dotarła przed drzwi pokoju córki. W tym samym to czasie Ojt i Hguy wychodzili stamtąd.

- Nic się panience nie stało, Pani – powiedział Ojt.
- Odsuńcie się – rzekła Geldera i weszła z ogromną trwogą w sercu do swej córki.

A tam zobaczyła córkę całą otępiałą, siedzącą na drewnianej ławie. Głowę miała spuszczoną ku podłodze, nie ruszała się, i z trudnością łapała oddech. Geldera też to dobrze dostrzegła, iż na haku, na którym zwykła być umocowana pochodnia, by dać światło pod wieczór i nocą, zwisała rozerwana ni to lina ni szarfa, zrobiona najpewniej z prześcieradła.

- Co się stało, córuś? - Lecz mówiąc to, Geldera już dobrze się domyślała, co tu się przed chwilą stało.

Odpowiedzią była przeraźliwa cisza. Alkada najwyraźniej nadal się do niej nie odzywała.

- Córuś, coś ty zrobiła? - Geldera zaczęła płakać. - Powiedz mi, nie znęcaj się nade mną. - matka szlochała. Cicho zaczęła rękawem ozdobnej sukni przecierać załzawione oczy. Chwyciła się przy tym za głowę. Córka chyba to dostrzegła, bo zmiękła w końcu.
- Mamo, maaa ...mo, ja nie chcę iść służyć do świątyni Isztar. Za każdą cenę. Nawet za cenę życia ... - i znów zapanowała ciężka cisza. W końcu to matka ją przerwała.
- Dobrze, dziecko, już dobrze. Jeśli taka twa wola, to nie pójdiesz, masz moje słowo. Tylko, błagam cię, nigdy niem rób mi tak, jak teraz próbowałeś. Czy chcesz mnie zostawić samą na tym świecie? Czy jesteś tak okrutna? - Obie

zaczęły cicho płakać.

Orotog i Atagr siedzieli przy wspólnym posiłku. Pieczone przepiórki, posiłek godny królów. Młody Orotog wręcz ślinił się przy tym, podobnie i jego towarzysz. Kucharz królewski dzisiaj wykazał się sporym talentem. Brązowa przypalona skórka dopełniała swym słodkim tonem smak świeżo upieczonego mięsa. Na stole jeszcze oprócz pieczywa były dwie flaszki przedniego wina. Młody delfin nie był jakimś wielkim znawcą i smakoszem wina, lecz przy takim jadłe wręcz koniecznym było przepłukanie ust szlachetnym trunkiem.

- Wiesz, spytam się go o ten Zakon Czarnego Elfa – powiedział nagle Orotog.
- Mistrza Kapę? - Atagr niby nie zrozumiał.
- A kogo innego? - delfin się trochę zdenerwował. - Ciekawym jego reakcji. Jeśli coś ukrywa, powinien się zmieszać.
- Hm ..., magowie umieją kontrolować emocje. Z twojego planu może nic nie wyjść. Jeśli tyle lat się nie wydało. A mnie się jednak widzi, że on swoje wszystkie święcenia i błogosławieństwa uzyskał zgodnie z wymaganą procedurą. Ten elf, cośmy go spotkali, mógł nie znać wszystkich ludzi z Zakonu Czarnego Elfa.
- No tak, pewnie masz rację. Ale i tak spróbuję. - Orotog się zamyślił. - Choć, z drugiej strony, gdyby nie miał tych święceń, nie mógłby tak skutecznie i przez tyle lat wykonywać swej praktyki magicznej.
- No widzisz.

Psy, które leżały na kamiennej podłodze komnaty, podniosły czujnie głowy, zaczęły intensywnie węszyć. Dwa zaś z trzech dogów podbiegły pod same drzwi, tak jakby tam kogoś wyczuły. Na tą reakcję psów Orotog zareagował dziwnie. Zrobił gest ręką, by mówić ciszej, i wręcz szeptem powiedział:

- Mój drogi, chyba nas ktoś podsłuchuje. Pst...
- E... Chyba przesadzasz – powiedział również szeptem Atagr.
- Nie – cały czas szeptem. - Odkąd przyjechałem, stale ktoś za mną chodzi. Nocą aż się przestraszyłem. Pytałem gwardian, co pilnują mojej alkowy, ci nic jednak nie wiedzą.
- Widzisz, wydaje ci się. Jak cię ktoś może podsłuchiwać nocą, skoro pod drzwiami jest straż?
- A może to straż? Nie uważasz? – mówili wciąż szeptem. Orotog był przejęty. Lecz psy jakby się już uspokoiły. Ułożyły się znów przy nogach Orotoga i Atagra.
- To jest wykluczone. To są przecież najwierniejsi z najwierniejszych. Prędzej by

nastawali na swych rodziców, niż na ciebie lub na twą szanowną matkę, królową Sylandę.

Atagr uśmiechnął się w stronę Orotoga. Stuknęli się złotymi pucharami. To wino, co dzisiaj pili, pochodziło z Patery. To tam na słonecznych tarasach dojrzewały najśłodsze grona. To stamtąd pochodził najdoskonalszy trunek. Sam książę Regent, który był głównym konsumentem wina, gromadził całe lata najlepsze roczniki w piwnicach Zamku Królewskiego. Książę Regent ponadto zadbał już o to, by ci, co mieli koncesję na handel winem albo nawet pospolitym piwem, odprowadzali bajeczne podatki na konto królewskie. Pomnażał tym samym swój majątek, a także majątek królewicza. Lecz wszystko to najpewniej zmieni się po koronacji. Wówczas to wszystkie narzędzia i prerogatywy władzy przejmie młody król. Lecz na szczęście majątek Kowdlara już był tak bajecznie rozdęty, że nie wpłynie to żadną miarą na styl życia Kowdlara i jego syna, Atagra. A także ewentualnych potomków z ich linii. Oczywiście, jak mawiają ludzie, tylko śmierci można być pewnym. Gdyby ród Kowdlara popadł w jawny konflikt z rodem królewskim, z linii Arena, to różnie to może przecież być. Bywało, że król konfiskował całe majątki tym, którzy mu w jakiś sposób podpadli. Robił to i Amargadeusz wcześniej, może to zrobić w przyszłości jego syn, Orotog. Lecz takiej sytuacji już na szczęście nie doczeka leciwy w latach książę Kowdlar. Po prostu nie dożyje takiej ewentualnej sromoty.

- Druhu, może ja wypytam szambelana Obika? On jest przecież przełożonym służby królewskiej w Zamku Królewskim. Jeśli jest coś na rzeczy w twych podejrzeniach, on najpewniej będzie to, być może nawet nieświadomy rangi tego, wiedział. - powiedział już dość mętnym głosem, po spożyciu już dobrej kwarty wina, Atagr.
- Myślisz? - I Orotog miał już swoje wypite. - A może to ja jestem przeczulony? Ale dobrze, popytaj się Obika, a także setnika gwardian. Może tobie coś powiedzą, co boją się mnie powiedzieć? Zapewnij ich także o pełnym bezpieczeństwie z mojej strony, jeśli coś wiedzą ważnego w tej sprawie.

Książę Atagr miał wręcz przykazane przez księcia delfina, by prywatnie traktował go jak przyjaciela i mówił mu po imieniu. Jednak w momentach tych, gdy w ich obecności znajdowały się osoby trzecie, niezależnie od ich rangi i tytułów, niezależnie czy to byli włodarze lub zwykłe kmiecie, Atagr zawsze wtedy zwracał się do Orotoga jak do następcy tronu i do swego suwerena.

Lecz gdy razem biesiadowali, bawili się wtedy snadnie, nadużywając wtedy zwykłe wina, czasami piwa, lub nawet ostrej gorzały. Bywało wtedy nawet tak, iż Atagr, jako znacznie starszy, uczył młodego delfina, jak ma postępować z ludźmi. Orotogowi bowiem bardzo imponowało to u swego druha, że jest on już tak dojrzały i mężny. Sam już palił się do tego, by objąć władzę w swym królestwie. To książę Atagr pierwszy sprowadził jakiś czas temu do alkowy młodzieńczego delfina pierwszą nałożnicę. Co pochwalił nawet sam Kowdlar, gdy dowiedział się o tym od swych

zwykłych szpiegów.

- Potrzebowałem tej wyprawy na ziemie elfów. Nie mówiłem ci wcześniej dlaczego. - mówił Orotog.
- No tak, dla skóry niedźwiedzia – odpowiedział przytomnie Atagr.
- Ale nie wiesz po co mi ta skóra. Chcesz wiedzieć? Tylko zachowaj to dla siebie. - odpowiedzią był chwiejny gest głową.- A więc, chodzi o to, iż Mistrz Kapa mi powiedział, że Kojku, Przewodniczący Kopca Woli, takiej władzy wśród gnomów na Wyspach Gnomów ...
- Rozumiem – przytaknął Atagr.
- ...Tuż przed męczeńską śmiercią przeklął mego ojca, oraz cały ród z linii Arena.
- O!?! - zdziwił się mocno Atagr. - Nie wiedziałem. Ojciec mi nic nie mówił.
- No widzisz, mało kto wie o tym. Lecz Mistrz Kapa upiera się przy tym, i powiedział mi kiedyś, że jedynym remedium na to dla mnie i dla moich dzieci będzie zdobyte własnoręcznie futro z białego niedźwiedzia. Rozumiesz więc teraz, dlaczego wyruszyliśmy na tak niebezpieczną wyprawę. Ryzykowałem ja wielce, i wy, razem ze mną, także. Różnie to mogło się przecież skończyć.
- Ach to tak się rzeczy mają – już prawie że bełkotał Atagr.

Było już chyba tak, że oboje mieli dziś dość wypite. Przecież inaczej książę Orotog nie wyjawiłby tego sekretu Atagrowi. Choć przecież byli w przyjaźni, lecz nawet przyjaźń ma swoje granice. Teraz zaś Atagr zyskał niemałą przewagę, bo poznał tajemnicę, która być może zaważy kiedyś na jego losie lub losie Orotoga.

- Ponadto cały czas muszę się strzec przed wojownikami Okute. Oni mają wyrok śmierci dla mnie. - Orotog cały czas był szczery, winą było oczywiście to, iż miał już mocno w czubie.
- Tak,ojciec mi mówił. Lecz w naszym kraju wojowników Okute nie uświadczysz.
- Racja, ale i tak mam pewne obawy. - Orotog rzucił psom kawałki niedojedzonych przepiórek na kamienną posadzkę. A psy, jakby na to tylko czekały, rzuciły się łapczywie na mięso i kostki, robiąc niemało hałasu. - Zdradzę ci coś, co nie możesz rzec nawet swemu ojcu, księciu Regentowi. Przyrzeknij – Orotog chwycił prawą rękę Atagra.
- Przyrzekam – powiedział tamten poważnie.
- Jak zostanę królem, to wycofamy się z Wysp Gnomów, i oddam władzę na tych ziemiach z powrotem gnomom. Niech oni się tam sami rządzą. Przemyslałem to sobie. Ulandia ma i tak więcej kłopotów z tymi ziemiami niż pożytku.
- Hm ... Wielce to szlachetne z twojej strony – Atagr nie umiał jednak ukryć zaskoczenia. Aż podrapał się po swym podbródku.

- Pozostanie tam po nas jedynie grób Kodyny, oraz wiele nieprawości jakie uczyniliśmy tym istotom. - mówił zapamiętane Orotog.

Było ich najwyżej dziesięciu. Dziesięciu w różnym wieku. Siedzieli na granitowych siedziskach, rodzaju półek, które biegły z góry tej dość wielkiej sali ku dołowi. Na samym zaś dole był rodzaj podestu, na którym teraz stał nauczyciel Jufe. On stał, oni siedzieli i słuchali jego wywodów. Lamart w tym towarzystwie był najmłodszym. Nie tylko wiekiem, ale także stażem w tej szacownej szkolnicy. Już od prawie miesiąca przychodził regularnie w czwartki i piątki na rozmowy z nauczycielem, i oto teraz, dziś, został zaproszony oficjalnie przez Jufe na wykład. Tematem wykładu była geometria. Lamart dość szybko pogubił się w tym, co mówił wykładowca, lecz niby pewny swego udawał przed innymi tam zebranymi tak jak on uczniami, że wszystko pojmuje. Tak mu się przynajmniej zdawało, że to nikt się nie zorientował. Każdy uczeń siedział i słuchał, i nie robił notatek z wykładu, bowiem było to zakazane. Każdy miał kształtować i ćwiczyć swą pamięć. Te mądre słowa jakie padały tu z ust Jufe spowodowały szybko, iż Lamartowi zaczęło się kręcić w głowie. Najchętniej uciekłby stamtąd, i jedynie wstyd powstrzymywał go od tego. A Jufe zachowywał się tak, jakby prawil truizmy, jakby mówił do takich, co doskonale orientują się w tej dziedzinie, którą dzisiaj wykladał. Mówił lekko, ze swadą. Robił częste przerwy, modulował tembr swego głosu w zależności od tego, co mówił, co chciał przekazać. Często dokonywał porównań, pokazywał podobieństwa i różnice, robił przykłady czytelne dla słuchających go. Inni uczniowie, w przeciwieństwie do Lamarta, jakby doskonale bawili się przy tym. Oni pochłaniali wręcz wszystko to, co dzisiaj usłyszeli od Jufe tu na tej sali.

Jufe nie należał już do najmłodszych. Był znacznie starszy na przykład od Ereja, i także nie zajmował tak eksponowanego stanowiska jak Erej. Bo to przecież Erej obok Mistrza Kapy był najważniejszą osobą w tej Szkolnicy Królewskiej. Jufe był tylko szeregowym nauczycielem szkolnicy. Lecz i to przecież wielce znaczyło. Była to także intratna pozycja i rola. Już Mistrz Kapa zadbał o to, by w szkolnicy nauczali tylko wybitni i mądrzy Ulandczycy i nie tylko Ulandczycy. Wszyscy nauczający w szkolnicy byli starannie wybrani i wyselekcjonowani. Bez żadnego wyjątku. Każdy z nich miał już jakieś dokonania. Jedni napisali już swoje dzieła, inni byli rekomendowani, a jeszcze inni byli doskonale znani ze swego dorobku albo Erejowi, albo Mistrzowi Kapie. I takowoż było z Jufe. Jufe napisał dwie księgi, które cieszyły się głębokim poważaniem wśród magów i medyków. Były one często kopiowane przez skrybów, i miały zasięg nie tylko w całej Ulandii lecz także w innych krainach. Jufe miał dogłębną wiedzę. I, co ważne, chciał się nią dzielić. Co nie było aż tak częste w tych czasach, gdy ludzi wykształconych było jak na lekarstwo. Inną sprawą

było to, iż ze Skarbcza Królewskiego dostawał godziwą za to zapłatę. Można rzec nawet, że bardzo godziwą, bowiem wszyscy nauczyciele Szkolnicy Królewskiej byli wynagradzani hojnie z kiesy państwowej.

W pewnym momencie Jufe zamilkł i jakby zaczął się nad czymś zastanawiać. Po czym rzekł do zebranych uczniów.

- Geometria, moi drodzy jest najważniejsza. Geometria i logika. Obie zaś – zakaszłał, musiał chustką przetrzeć usta – obie zaś – kontynuował – oparte są na tak zwanych zdaniach podstawowych lub pierwotnych. Ktoś, kto zna te zdania, może wywieść z nich wszystko. Dawałem wam już dzisiaj przykłady zastosowania geometrii, mam nadzieję, że je zapamiętacie na długo. Teraz zaś przejdźmy do tych zdań pierwszych. Czy któryś z was zna choć jedno zdanie pierwsze? - Jufe niby nachylił się w stronę swych uczniów. Lecz nikt się nie zgłaszał. - A ty, chłopcze, jak ci na imię? - Jufe najwyraźniej zwrócił się teraz w stronę Lamarta. I choć znał jego imię, chciał pewnie, by i inni je poznali.
- Ja? - spytał bezradnie wskazany chłopak.
- Tak, ty.
- Mam na imię Lamart – powiedział speszony.
- No to wstań, Lamart, i powiedz, czy znasz jakieś zdanie pierwotne? Widzę, że bardzo uważnie przysłuchiwałeś się mojemu wykładowi – Jufe najwyraźniej się nabijał.
- Z geometrii? - Lamart czuł, że cały czerwienieje. Lecz nagle przypomniał sobie coś. - Może takie- wystrzelił szybko- ,iż suma kątów w trójkącie jest równa kątowi półpełnemu. - Mówiąc to, Lamart zobaczył, jak wielkie zdumienie sprawił swoją odpowiedzią nie tylko u Jufe, lecz także u innych zebranych w tej sali.
- No! Niebysza! - stwierdził z lekka zszokowany Jufe. - Zdawało mi się, że jesteś tu nie obecny duchem, gdym mówił swój wykład. No tak, ale to jest dobra odpowiedź. Dobrze, dobrze, Lamart. Tylko tak dalej. Czy zna ktoś jeszcze jakieś zdanie podstawowe? A ty usiądź na swoje miejsce. - Jufe zaczął rozglądać się, niby szukał odważnego. Lecz nikt nie podniósł ręki. - Wyobraźcie sobie dwie proste zawsze odległe od siebie o tę samą długość. Czy te proste się kiedyś przetną? - Jufe podniósł nieco ton głosu. - No, właśnie, to jest jedno ze dań pierwotnych. Oto dwie proste równoległe, to znaczy równo od siebie odległe, nigdy się nie przetną, innymi słowy nigdy nie będą miały punktu wspólnego...

Lamart czuł, że wzbudził powszechne zaciekawienie tych kilku wybrańców, co to dziś byli na wykładzie Jufe. Nauczyciel kontynuował wykład, lecz oto słuchacze niby zaczęły zerkać ukradkiem, co też robi ten, co wzbudził swą odpowiedzią zdumienie nauczyciela. Lamart więc czuł teraz te ukradkowe spojrzenia. Słuchaczami byli tylko chłopcy. W wieku kilkunastu lat, lecz najmłodszym w tej grupie był właśnie Lamart.

Część z nich pobierała nauki w Szkolnicy Królewskiej już od jakiegoś czasu, może roku albo dwóch, część jednak była zupełnie świeża, podobnie jak świeży był tu Lamart. Chyba stanowili oni razem grupę najbardziej niedoświadczonych uczniów, czyli stali w hierarchii szkolnicy najniżej.

Jufe kontynuował swój wykład, zupełnie niespieszony, tak jak to już pewnie robił nieraz. Widać było, że geometria jest jego pasją. Lamart zawsze się zastanawiał, po co ludziom znajomość arytmetyki lub nawet geometrii. Owszem, pasterz musi wiedzieć, ile ma owiec lub lam w stadzie, więc musi je stale zliczać i na nie baczyć, no ale na tym kończy się chyba zastosowanie tych bardzo wymyślnych nauk. W pewnym momencie Lamart zauważył, że chłopak, który siedział po jego prawej stronie na tej samej półce, bacznie mu się zaczął przypatrywać, lekceważąc tym samym nauczyciela. Uśmiechał się przy tym przyjaźnie, tak jakby chciał się zaznajomić. Był może starszy o rok lub dwa od Lamarta, lecz chyba tego samego wzrostu i postury. Był także równie chudy jak młody Lamart. Lamart się na to zmieszał. Choć chodził już praktycznie do szkolnicy od ponad miesiąca, lecz zauważył, że chłopcy tu tak jakby się izolowali od siebie wzajemnie, nikt dotąd nie chciał z nim rozmawiać, nikt oprócz nauczyciela Jufe. Jedynym przejawem jakiejś zażyłości w tej wspólnotce wiedzy było to, iż czasami uczniowie spacerowali razem w grupie z nauczycielem po skwerze, który znajdował się przy szkolnicy. Spacerowali i dyskutowali, najpewniej omawiali to, co było na wykładach.

Słońce wysoko wisiało, prawie że nad dachem szkolnicy. Chłopcy pomału rozchodzili się najpewniej do swych domów, bo wykład Jufe wieńczył ten ich dzisiejszy dzień w szkolnicy. I Lamart zdecydował się, że pójdzie już do domu. Gdy przechodził jednak koło jednego z platanów, usłyszał, że ktoś, dość cicho, mówi w jego stronę. Obejrzał się za siebie, ujrzał kilka łokci z tyłu tego samego chłopca, który siedział koło niego na wykładzie, i który się do niego na wykładzie uśmiechał:

- Ej, jak się czujesz po wykładzie? Wiem, że się zwiesz Lamart. Ja jestem Koli – chłopak już stał prawie przy Lamaracie.
- Miło mi – przytaknął Lamart.
- Jesteś tu nowy – stwierdził tamten. - Może się poznamy? Będziemy częściej się widywać, bo jesteśmy z tej samej grupy. Wszyscy tu są dla siebie tacy zimni – Koli nie musiał tego mówić Lamartowi, bo ten sam już doszedł do tej samej konkluzji. - Ja już rok tu chodzę, lecz według Mistrza Kapy nie jestem jeszcze godny, by przejść do wyższej grupy.
- Ja dopiero zacząłem.
- Podobno jesteś jakiś wielki bystrzak, podłyszałem rozmowę nauczyciela Ereja z Mistrzem Kapą o tobie. Ale zupełnie przypadkowo, nie myśl sobie, że ja donoszę na innych czy jestem jakąś plotkarą. O nie!
- A co oni o mnie mówili?- zaciekawił się Lamart.

- Erej mówił Mistrzowi Kapie, że ty jesteś jak nieoszlifowany jeszcze diament; że ty możesz wszystko pojąć, wszystko zrozumieć. Każdą rzecz, każdą prawidłowość.

Koło nich przechodzili inni uczniowie, lecz nikt tu się nie śpieszył. A Koli to była gaduła. Cały czas niemal trajkotał jak katarynka. Lamart tylko się przysłuchiwał, i potakiwał od czasu do czasu.

- Podobno władzę w Szkolnicy Królewskiej chcą przejąć w całości byli uczniowie Cygana Dziada – mówił Koli.
- Tak? A kto to jest ten Cygan Dziad? - spytał poważnie Lamart.
- Nie słyszałeś o Cyganie Dziadzie? Dziwne to, właśnie Królewski Nauczyciel Erej jest uczniem Cygana Dziada.
- Aa ... Nie wiedziałem. A gdzie żyje ów Cygan Dziad? Jest on Ulandczykiem czy Cyganem?
- No nie! - Koli aż stanął ze zdziwienia. - Jesteś chyba jedyną osobą w szkolnicy, która nie wie, kim był Cygan Dziad. On już nie żyje, lecz żyją jego uczniowie, i oni chcą wraz z Erejem, ich przywódcą, całkowicie przejąć władzę w Szkolnicy, i przede wszystkim przejąć fundusze tej szkolnicy.
- A kto im stoi na przeszkodzie? - przytomnie spytał Lamart.
- No właśnie, nominalny Rektor Szkolnicy i jego trzódka.
- To znaczy Mistrz Kapa, nieprawdaż? - Teraz to Lamart przystanął.
- Właśnie, wszechmocny Mistrz Kapa – uśmiechnął się Koli. - Radzę ci, bo mam tu większy staż niż ty, nigdy nie podpaść tu, w szkolnicy, Mistrzowi Kapie. On wszystkimi manipuluje, i tylko Erej, oraz kilku innych uczniów Cygana Dziada, umieją sobie z nim radzić. W ogólności Erej jest najbardziej lubianym nauczycielem Szkolnicy. Czas byś to poznał. Krąży taka fama w Szkolnicy, że Mistrz Kapa nie tylko jest biegły na Planie Astralnym, ale także porobił jakieś mętne pakty z bogami. Jedyną osobą w królestwie, z którą się jeszcze liczy Mistrz Kapa jest księżę Regent.

Lamart pomyślał sobie, że rzeczywiście Koli nie jest jakąś zwykłą plotkarą, jak sam o sobie mówi, że nie jest, tylko strasznie wielką plotkarą, jak teraz to mógł się on sam o tym przekonać. Ale w sumie Koli spodobał się Lamartowi, poczuł on do niego sympatię. Pomimo tego, że Koli wiecznie trajkotał, jednak miał bardzo przyjemny głos, i dobrze się go słuchało. On chyba zresztą wiedział o tym. Nie był to falset małego, lecz już piękny głos męski. Koli bowiem mutację miał już za sobą. Co, warto zauważyć, czekało w najbliższej przyszłości Lamarta.

- Powinieneś wiedzieć, że za jakiś czas będziesz się musiał określić, po której jesteś stronie. Dadzą ci jeszcze jakiś czas spokój, miesiąc albo dwa, a potem

się będziesz już musiał zdeklarować. Ja należę do stronników Ereja. - mówił zapamiętałe Koli, machał przy tym rękoma, jakby się chciał odgonić od komarów.

- Dlatego, myślę, masz takie trudności z przejściem do wyższej grupy? - domyślił się głośno Lamart.
- W samej rzeczy ująłeś to właściwie. Teraz bowiem przewagę ma jednak Mistrz Kapa, i to nie tylko w Szkolnicy Królewskiej, ale także w całej Wendzie. Stary już jest bardzo księżę Regent, a delfin Orotog jeszcze nie jest dopuszczany w kulisy i tajniki władzy.
- Stary, stary? Ale przecież i Mistrz Kapa jest także niemłody, czyż nie? - zdziwił się Lamart. Przystanęli. Słaby, chłodny wiatr z lekka uderzył ich w plecy.
- O idzie burza. - przytomnie stwierdził Koli. - Widzisz tam te czarne obłoki? - mówił dalej, wskazując palcem niebo nad Szkolnicą. - Co do Mistrza Kapy, jak ci już mówiłem, ludzie znający się na rzeczy twierdzą, iż zawarł on jakieś mętne układy z bogami, stąd bierze się jego dobra kondycja i nie widać po nim przeżytych lat. Ponoć dostaje o bogów jakieś maści czy napoje, które tak skutecznie go regenerują. - Tu Koli zaczął mówić niemal szeptem. - Tylko, proszę cię, nie zdradź nikomu, co ci tu mówię. Nie chcę wrócić do domu, bo z wiejskich kmiotków się wywodzę, a jakby doszło do ludzi Mistrza Kapy, co o nim mówię, to najpewniej by mnie wyrzucili ze szkolnicy. Praca na roli się mi już nie widzi. Przrzeknij, że nic nie powiesz. - Koli chwycił ramię Lamarta.
- Przrzekam, przrzekam. Nie martw się. Ja tu nikogo jeszcze nie znam, sam zaś mam nadzieję, że nie mówisz tego wszystkiego, by mnie sprawdzić? Może nauczyciele kazali ci mnie wypróbować? - Teraz to Lamart miał wątpliwości.
- Nie, jasne że nie. Wiesz, zostanemy przyjaciółmi - Koli najwyraźniej wyczuł bratnią duszę.

Przy tej deklaracji, Koli wysunął prawicę. Jako że Lamart nie miał tu żadnych znajomości, a od czegoś trzeba przecież zacząć, czuł on także pewną sympatię do Koliego, dlatego szybko uściśnął rękę teraz już przyjaciela.

Lecz rzeczywiście nieodwołanie nadchodziła powoli burza. Już to za chwilę poczuli na swych policzkach słabe kropelki deszczu. Wiatr również wzmógł się. Plantany na skwerze przed szkolnicą zaczęły bujać się powoli, tak aż liście im szumiały.

Zobaczyli jeszcze tylko, że odźwierny szkolnicy, Lokul, zamykał szybko okiennice. To był stary wiarus, co na wojnie stracił stopę, lecz że znał księcia Regenta z czasów, gdy ten zwykłym rycerzem był tylko, znał i był nawet w tamte czasy z nim po imieniu, dlatego dostał tę robotę w szkolnicy. To on pilnował, by wymieniać pochodnie w środku i by świece rozświetlać, gdy była po temu pora.

Chłopcy więc szybko ogarnęli się w sobie i ruszyli ku swym domom.

Oszalałe jaskółki latały między drzewami, nad tym małym kawałkiem placu, tam gdzie najwięcej ławek było przed szkolnicą. Burza! Burza! Oto zaraz Kerdolot pokaże maluczkim ludziom, iż to jego potęgi muszą się oni bać najbardziej.

Za ogrodzeniem, za płotem, Kowdlar mógł doskonale to dojrzeć, tabun koni pasł się na bogato trawiastej łące. Kowdlar z wysokości swej lektyki delektował się tym widokiem. Kilkoro z nich, raczej rumaki, podrywało się co jakiś czas i pędziło bez opamiętania przez całą przestrzeń łąki, a potem zatrzymywały się te konie kilkanaście łokci przed ogrodzeniem, aż kopyta ich wbijały się z sykiem w tę zieloną murawę. Wszystkie konie stanowiły część specjalnej hodowli. Kilka z nich już za parę dni opuści Ulandię, i zostanie przetransportowanych do sąsiedniej Fluksji, jako upominek od księcia delfina dla króla Norgula i jego córki. Książę Kowdlar był zainteresowany teraz Fluksją nie tylko dlatego, iż było to sąsiadujące z Ulandią królestwo, ale także dlatego, iż Norgul, choć był całkiem młody, miał już także dość dorodną córkę. Polora piętnaście lat właśnie w tym roku kończyła. Książę Regent zdołał już zainteresować Orotoga tą młodą księżniczką. Orotog dostał jej wierny portret oraz wymienili oni, młodzi, między sobą korespondencję.

Królowna miała piękny charakter pisma. Kowdlar to wiedział, bo nawet rzucił okiem na tę korespondencję. Oto sam Orotog mu ją pokazywał. Z portretu jej zaś widać było, że jest wielce urodziwa. To byłoby dobre dla Ulandii, dla królestwa, związać poprzez małżeństwo te dwa kraje. Tym bardziej okres bez wojny można by tym samym przedłużyć dowolnie. Dwa, a właściwie trzy wliczając w to Engorę, silnie związane królestwa byłyby murem nie do sforsowania dla jakichś zewnętrznych agresorów.

A i sam król Norgul sprzyjał temu związkowi. Nie miał on wojowniczego charakteru swego ojca, króla Alkareta. Wołał dyplomację od najazdów i rabowania sąsiednich ziem i krain. W każdym razie, posłowie już krążyli między Fluksją i Ulandią, i wszystko zmierzało do tego finału, iż książę Orotog poślubi księżniczkę Polorę. Kowdlar chciał, by to się stało, nim Orotog zostanie oficjalnie koronowany na władcę Ulandii. Wówczas to równocześnie i sama Polora razem ze swym mężem mogłaby też zostać koronowana.

Królowa Matka Sylanda, również życzliwie odnosiła się do tych matrymonialnych planów Regenta. Książę Orotog zaś był silnie związany uczuciowo z matką i zawsze bardzo liczył się z jej zdaniem.

Książę Kowdlar więc w swej lektyce przyglądał się koniom równocześnie zaś czekał na swego syna Atagra. I oto w końcu dojrzał młodego, który wierzchem dojeżdżał do Potrójnego Dębu, jak okoliczni to nazywali tę łąkę z koźmi oraz przylegający doń las.

- Witam cię, szlachetny ojczu – Atagr z pewnej odległości krzyknął do Kowdlara.
- Długo już tu czekam, miałaś być o drugiej – niemal warknął mu Kowdlar.
- Przepraszam, ojczu, lecz królewicz mnie nieco zatrzymał. Prędzej nie mogłem przybyć. A która to teraz?
- Trzecia już jest, dziecko, trzecia. No, ale skoro to sam królewicz cię zatrzymał.

To cię tłumaczy.

Kowdlar dał znak ręką, by niewolnicy położyli lektykę i odeszli na bok.

- Pomóż mi, synu – najwidoczniej chciał o własnych siłach wyjść z lektyki.
- Już ojciec – Atagr, który już wcześniej zszedł z konia, wsparł na swym ręku rodzica.

Już po chwili powoli zaczęli iść wzdłuż palisady; biegła tam dość zarośnięta zielskiem ścieżka. Przy czym Kowdlarowi sprawiało to wiele trudności. Szedł jednak dziarsko, niby walcząc ze swoją słabością, wsparty jedną ręką na lasce, drugą na barku syna. Tymczasem konie się nieco spłoszyły. Odbiegły z tego miejsca, bezpośrednio gdzie, za palisadą, dumny Regent spacerował ze swym potomkiem.

- Powiedz mi, synu, czy podoba ci się młoda Alekda?
- Córka Geldery? - Atagr chyba nie wiedział, do czego zmierza ojciec.
- No ta, ta sama – przytaknął Kowdlar. - Mówiłem ci już kiedyś, że widziałbym was dwoje jako rodzinę. I wiem, że się kiedyś spotykaliście, chodziliście razem na jarmarki.
- Pamiętam, ale z tego co mi wiadomo, to ona wybiera się jako kapłanka do świątyni Isztar.
- W tym sęk, że to już jest nieaktualne. - Kowdlar przystanął, tak jakby chciał odpocząć. Stanęli prawie że przed pniakiem dojrzałej jarzębiny, co tam rosła. Obok stała jeszcze wierzba, mocno pochylona ku ścieżce. Nieco dalej brzoza.

W oddali, widzieli to dobrze, grupa niewolników, nosiciele lektyki, zebrana pod wielkim kasztanowcem, dyskutowała o czymś zawzięcie. Było to doskonale widać, bo niektórzy z nich gestykulowali rękoma i pokrzykiwali do siebie wzajemnie. Do Kowdlara i Atagra jednak nie dochodził żaden odgłos, ale Kowdlar zrobił kwaśną minę do syna:-

- Patrz, chyba omawiają to, że ostatnio znów kilka pundów przytyłem – powiedział tonem wesołym do Atagra.
- Nie, ojciec. To ponoć wielka rewolta niewolników wybuchła w Engorze. Atapu II ledwo uszedł z życiem.
- Ten młody Eent, co to przybrał imię królewskie Atapu II ?– na twarzy Kowdlara pokazało się wielkie zdziwienie, aż wybrzuszyła się mu bruzda pod lewym okiem, tam gdzie kiedyś raniony był mieczem.
- Tak, a co szpiedzy ci jeszcze nie donieśli?
- Nie czytałem dzisiaj i wczoraj raportów. A skąd ty to wiesz?
- Wszyscy już wiedzą w Wendzie, popatrz, nawet twoi niewolnicy, tylko ty, ojciec, nic nie wiesz.

- Tak to jest, dziecko. To tak jak w tym powiedzeniu, że rogacz dowiaduje się o zdradach małżonki ostatni. Ja przecież powinienem wiedzieć pierwszy o takich sprawach. W końcu chodzi tu o bezpieczeństwo w naszym kraju. I choć Engora nie graniczy z nami, ale powstanie niewolników zawsze jest groźne, nawet za miedzą – mówił Kowdlar, również jednak zaczął uważnie obserwować tę grupę swych niewolników.
- Ojczy, nam nic nie grozi. U nas niewolnicy nie mają się tak źle.
- Dziecko, jak ty mało jeszcze wiesz, choć już za niedługo młodość ci się kończy. Synu, niewolnicy zawsze wszędzie mieli się źle i będą się mieli źle. Czy to w Engorze, czy w Spoka, czy nawet na Wyspach Gnomów. - Kowdlar puścił się ramienia syna i oparł się tą ręką sztachety płota. Drugą zaś ręką trzymał się kurczowo swej ozdobnej laski, tak by utrzymać równowagę i balans.
- Ja swoich niewolników traktuję dobrze – Atagr niby naprężył się w sobie.
- Oj, dziecko, dziecko. Uszy by ci spuchły, gdybyś usłyszał z rana, co twoi niewolnicy mówią o tobie i o służbie u ciebie. Pamiętaj, człeka można ukrzywdzić nawet zbędnym gestem lub krzywym uśmiechem, a tego im na pewno u ciebie nie zbrakło. Takich rzeczy ludzie nie umieją kontrolować. I nawet ty tego nie potrafisz, tym bardziej, że widzę, iż ty sobie z tego nawet nie zdajesz sprawę. I po cóż byli owi wszyscy nauczyciele, na czele z Erejem, których zatrudniałem dla ciebie, by cię mądrości nauczyli.

Atagr zrobił bezradną minę, niby się uśmiechał pod wąsem, niby coś obmyślał. Tymczasem Kowdlar znów się uczepił jego ramienia i poszli, lecz teraz to już z powrotem, w kierunku lektyki i tej grupki niewolników, którzy przed chwilą tak zawzięcie z sobą debatowali.

- Dlatego się tu spotkaliśmy, bowiem w Zamku, niestety, szambelan Obik wszędzie ma swoich szpiegów. Mówię: niestety. Gdyż dawniej był to bardzo sympatyczny i oddany bez reszty królowi Amaragadeuszowi człek, lecz to, co się z nim stało na stanowisku, które teraz piastuje, nie da się opisać żadną miarą.

Jakiś odważny ogier przebiegł nagle, trzy łokcie za parkanem, obok nich. Czarny był niby torf, piękny i silny ogromnie. Atagr aż obrócił się doń, by lepiej go zobaczyć. A to zwierzę, jakby czując, że jest podziwiane, zaczął donośnie rzeć i obracać głową.

- Chyba przesadzasz, ojczy. Taki miły człowiek – stwierdził Atagr.
- No tak, synu, widzę, że daremne były moje próby, byś wyrósł na mądrego człeka. I chociaż przeczytałeś wszystkie księgi, jakie sprowadziłem do naszej rodowej biblioteki w Poledzie, to nadal jesteś niedojrzały jak trzynastolatek. Niestety przekonuję się o tym boleśnie na każdym kroku. Lecz nic to, bo

zapomniałbym, po co cię tu wezwałem. - Kowdlar przystanął, wziął kilka głębszych oddechów. - Chodzi właśnie o Alekdę. Pójdiesz z wizytą do Geldery, po to jednak głównie, by spotkać się tam z Alekdą. Spróbuj zainteresować ją ponownie swoją osobą. Ty przecież umiesz rozmawiać z kobietami. Postaraj się. Tu chodzi o twoje przyszłe życie.

- Mam ją sobą zauroczyć? - Atagr uśmiechnął się.
- No widzisz, umiesz jednak kombinować. Pamiętaj, że jesteś najlepszą partią w królestwie. I ustępujesz pod tym względem jedynie delfinowi Orotogowi, ale ten najpewniej weźmie sobie za żonę jakąś królową, być może Polorę. Ty zaś masz wziąć za żonę córkę mego przyjaciela, Elubedy. To jest twój obowiązek. Pamiętaj, obowiązek.

Lurycjan, Mistrz prawa naturalnego. Tak zaczynała się księga, pierwsza księga, którą zakupił Lamart. Kosztowała go majątek, bo aż całych sześć talentów. Lecz i tak to była wielka okazja. Tak się bowiem stało, że wdowa po baronie Kurtu pozbywała się wszelkich dóbr w stolicy, tak by osiąść z pewnym majątkiem gdzieś na prowincji. Była to dawna dama dworu, bezpośrednio podwładna Zuberty. Jej mąż zaś był posłem króla Amargadeusza, który przewoził korespondencję królewską do Fluksji i Engory. Z tej też przyczyny księga owa dostała się więc Lamartowi prawie za bezcen. Jej kupno zawdzięcza tylko i jedynie sprytowi Koli, który dał cynk swemu nowemu przyjacielowi, że taka możliwość istnieje i należy się śpieszyć z kupnem, bo jak inni się dowiedzą, to Koli zresztą też zakupił kilka ksiąg od wdowy, bowiem zbiór barona był dość obfity.

Jako się bowiem to stało, uczniowie Królewskiej Szkolnicy mogli sobie pozwolić na zakup dość drogich woluminów. Na pewno nie mogli tego czynić często, ale raz na kwartał, i to nawet ci co uboższy, mogli sobie sprawić taki zakup. Koli najwyraźniej zrobił sobie mały zapasik w kiesie i zbierał co nieco, bo kupił od wdowy aż trzy woluminy. On, syn kmiotków, zapłacił za to chyba z dwadzieścia talentów. Było go na to stać. Jego rodzice w życiu nie widzieli na oczy takiej kwoty. I nigdy nie zbierali takiego dobra.

Lamart powoli obracał obręcz księgi. Na zszywanych papirusach były tam rzeczy przedziwne. Lurycjan bowiem w tej księdze opisywał i obrazował jak stworzone jest ciało ludzkie. Najciekawsze, oczywiście, były rysunki trzewi. Dodatkowo bogato opisane i wytłumaczone. Na pewno ta księga przyda się kiedyś, lecz teraz Lamart nawet nie umiał określić z przybliżeniem kiedy. Być może w którejś z wyższych grup. Na razie troską Lamarta było to, by spełnić wymagania nowicjatu, jakie nałożył na niego nauczyciel Erej. Doskonale przecież widział, jak Koli drży na samą myśl, iż mogą go skreślić z listy uczniów szkolnicy. To te talenty, to te złote talenty, które za tym stały, sprawiały, iż wszyscy uczniowie Szkolnicy Królewskiej starali się bardzo i

robili wszystko, co można było, by skończyć cały cykl nauczania i uzyskać dyplom Magistera Szkolnicy Królewskiej. Co wiązało się z licznymi przywilejami i zapewniało odpowiedni komfort życia w przyszłości. Było to niemal jak uzyskanie szlachectwa, a nawet jeszcze więcej, bowiem w Ulandii i na świecie nie brakowało przecież wielce zubożałej szlachty, a tytuł Magistera zapewniał jednak dobrobyt każdemu, kto się nim legitymował.

Lamart przypatrywał się księdze, to rozwijał ją lub zwijał, bacznie przyglądając się ilustracjom. Jednakowo miał też na dziś pewne zadanie, zadanie o którym cały czas myślał. Zadanie do rozwiązania, które podał mu sam Erej. Dostał je kilka dni wstecz, lecz nie umiał dojść cały czas do prawdy. I choć kombinował, choć analizował w myślach problem, cały czas miał jeszcze wątpliwości. Oto wziął kartkę i jeszcze raz czytał na głos. Czytał powoli i uważnie.

W pewnym pałacu były trzy komnaty, do których biegły trzy drzwi. Przed drzwiami zaś stał strażnik. Ty zaś wiesz dobrze, że w którejś komnacie jest worek złota. Musisz wybrać za jednym razem którąś z komnat i drzwi do niej, i musisz powiedzieć o swym wyborze strażnikowi. Lecz, gdy dokonasz już wyboru, strażnik ów wstrzyma cię, byś jeszcze nie wchodził. I otworzy ci równocześnie któreś z nie wybranych przez ciebie drzwi, a ty będziesz widział, że tam nie ma złota. Następnie strażnik ów zaproponuje ci, byś dokonał jeszcze jednego wyboru. Pytanie brzmi: czy masz pozostać przy swym pierwszym wyborze lub wybrać te trzecie drzwi, które strażnik nie ruszył? Co będzie bardziej zyskowne?

Lamart odłożył kartkę i znowu zaczął rozmyślać.

Rodzice byli w swoich zajęciach. Ojciec, Gertak, był na dole w swym warsztacie. Matka, Oda, pilnowała obiadu w kuchni. I choć mieli małe i skromne mieszkanie w rzemieślniczej części Wendy, to Lamart miał jednak zawsze dość miejsca na swoją naukę. Rodzice, odkąd syn stał się uczniem Szkolnicy Królewskiej, zaczęli go całkiem inaczej traktować, starali się, by nic mu nie wadziło w nauce. Wszak to on, można nawet tak powiedzieć, utrzymywał teraz rodzinę. W domu, odkąd Lamart przyniósł pensję ze szkolnicy, nie zbrakło im teraz świeżych owoców i wszelakich warzyw, mięsiwa różnorodnego, a także takich produktów, które zwykle gościły w ich domu tylko na wyjątkowe okazje.

Nagle gdzieś tam jał się dobywać odgłos jakby to psy się zwarły w walce. Dwa wielce agresywne psy. Dwa, a może więcej? W Wendzie nie brakowało bowiem bezpańskich kundłów. Wałęsały się po uliczkach i często dochodziło między nimi do walk. Czy to o sukę, o przywództwo w stadzie, czy nawet o gnat, które wyrzuciła jakaś gospodyni prosto do rynsztoka. Żywiły się one odpadkami i często zastraszały okolice. Do tego stopnia, iż matki bały się wielce wypuszczać na ulice swe dzieci. Lecz teraz ta walka wielce przeszkadzała Lamartowi w myśleniu. Aż parsknął do siebie cicho. Niby w jakiejś bezradnej złości, iż ktoś mu śmie przeszkadzać. Lecz po minucie znów wszystko ucichło. Psy już najpewniej wytłumaczyły sobie, które z nich

jest ważniejsze. I nastąpiła cisza. Lamarta znowu wziął do ręki kartkę. Zaczął ją ponownie na głos czytać.

Engora stanęła w ogniu. Atapu II musiał uciekać na wschód kraju. Niewolnicy, okazało się, byli bardzo dobrze przygotowani do walki, wszak część z nich to byli gladiatorzy. Lecz po kilku tygodniach siła uderzeniowa powstania niby zaczęła tracić na swej mocy. Okazało się także, że część niewolników nie przyłączyło się do powstania. A Atapu II miał przecież po swej stronie wojsko, najemników i rycerzy. Po pierwszym szoku, włodarze Engory na czele z Atapu II doszli do siebie i zaczęli konsekwentnie wypierać powstańców z tych ziem, które ci przejęli po początkowych sukcesach. W ślad za rozruchami wyrastały szpalery pali i krzyży, na które byli nawlekani poskromieni niewolnicy. Nie lepsi byli i sami powstańcy, którzy także grabili i mordowali każdego, kto stawał im na przeszkodzie. Śmierci z rąk powstańców doznawali nie tylko panowie i szlachta, ale nawet zwykli kmiecie, tylko dla tego, że stawali powstańcom na drodze lub im nie sprzyjali. A echo tych walk docierało do najdalszych zakątkach ówczesnego świata. We wszystkich krainach panowie zaczęli dokładnie patrzeć na ręce swych niewolników. Obawa narastała, bano się, że rebelia może się zacząć wszędzie. I w Spoka, i w Ulandii, Paterze, Fluksji, Ureni, dokładnie wszędzie, bo przecież los niewolników wszędzie był podobny. Równie straszny i równie nieznośny. Po szynkach się jednak roznosiła ta fama, iż rebelię wywołał Fryel, syn wodza Klutu, wodza ludu, który zwa w Ulandii Nechitami. Oto Fryel dostał się do niewoli w czasie jednej z wojenek, a potem został sprzedany jako zwykły niewolnik. Jednak Fryel, nie przywykły do tak ciężkiego losu niewolnika, boć przecież szlachetny był z urodzenia choć dzikus, w końcu zbuntował się i wywołał rebelię. A jako że wśród niewolników było i jest wielu pochodzących z tych prastarych lasów Nechitów, więc bunt od razu zyskał wielu zwolenników. Zdało się początkowo, a zaskoczenie było tak wielkie, iż powstańcy szybko opanują całą Engorę. Bogowie chyba jednak im nie sprzyjali, bo Atapu II nie tylko ocalił życie, ale w końcu zaczął stopniowo uzyskiwać przewagę w walce z wichrzycielami i podłymi psubratami, jak ich nazywano powszechnie. To znaczy tam, gdzie panował stary, odwieczny porządek, gdzie o życiu niewolnika decydował tylko jego pan i nikt inny. Z tej to przyczyny rebelli niewolników, księżę Regent musiał wykonać kilka takich ruchów w Ulandii, by niewolnicy ulandzcy, nawet nie pomyśleli o nieposłuszeństwie. Po pierwsze Kowdlar wydał dekret, iż każdy niewolnik, który sprzeciwi się woli swego pana, oślepien będzie na jedno oko. Jeśli zaś podniesie rękę na swego pana, rękę tę mu się odtrąci i dodatkowo dostanie dwadzieścia batogów na goły grzbiet. Jeśli wyżyje z tego, takowoż będzie zhańbiony rozpalonym piętrem na czoło, i nigdy nie będzie miał prawa, by się wykupić z niewoli. Po drugie, każdy właściciel niewolników, jeśli poweźmie usprawiedliwione podejrzenia, że któryś z jego niewolników jest skory do buntu, może takiego bezkarnie obwiesić lub utopić, byleby tylko nie znęcał się nad nim. Dekrety te na głównych targach i jarmarkach Ulandii czytali heroldowie każdego

dnia równo w południe. Były też poprzybijane ćwiekami na drzwiach szynków i karczm w całym królestwie.

Ponadto książę Regent postawił w stan bojowości legiony najemników. To prawda, wojny Ulandia nie prowadziła już od dziesięcioleci, ostatnim takim zagrożeniem była ofensywa na Ulandię, którą w roku urodzenia delfina chciał przeprowadzić zatraceniec Uberyk, lecz w konsekwencji skończyło się na niczym. Od tego czasu legiony najemników służyły tylko i wyłącznie do utrzymywania porządku w samym królestwie. Nie było jednak dotąd jakichś większych buntów. Wojownicy więc się nudzili i wymyślali sobie i, o zgrozo, ludności cywilnej różnorakie dowcipy i wygłupy. Były to dość nieszkodliwe żarty, a to kogoś upili i wysmagali gołego pokrzywami, a to porywali dla zgrywy młode dziewczuchy, by potem przywozić je z powrotem, żądając przy tym od rodziny znaleźnego. Ponadto uwodzili kobiety i powodowali nieprzyzwoicie wielki przyrost narodzin bękartów, dzieci, do których nikt się nie chciał potem przyznawać. Więc i w samych szeregach najemników przywitano ten alert bojowy z niejaką ulgą. Oto znowu legiony najemne stały się potrzebne Ulandii.

Jako to się też tak stało, że stanęło pod zbroją pięć tysięcy najemników. Zgrupowani byli na południu Ulandii, w prowincji Jihe. Do dyspozycji starego Regenta lub nowego Wodza Ludzi Małych, Lucerdusa, syna barona Luruka. Kowdlar już jednak z wiekiem zatracił całkowity zapał do żołnierki, której przecież poświęcił większość swego życia. Wolał teraz wszystkie sprawy związane z wojskowością cedować na ludzi znacznie młodszych. Dlatego to z jego inicjatywy Lucerdus zajmował się wszystkimi tymi sprawami, i to najpewniej on będzie dowodził najemnikami, jeśli będzie konieczna obrona suwerenności kraju. Nawet gdyby to był wróg wewnętrzny, czyli niewolnicy ulandzcy.

Dzisiaj to zaś Kowdlar zawezwał do siebie szambelana Obika. Obik to bowiem był niekwestionowanym przywódcą, nieformalnym, kamaryli dworskiej. Po otwarciu testamentu Amargadeusza, okazało się, iż Obikowi zmarły król darował w swej ostatniej woli nie tylko szlachectwo, ale także ogromne dobra, liczne wsie i sioła, a także królewskie browary i winnice, koncesje na handel złotem oraz szlachetnymi kamieniami. Początkowo więc, tuż po śmierci króla, Obik dostał się pod ogromną i nieprzyjazną presję starych Ulandzkich rodów, którym to nie spodobała się ta nobilitacja kmiotka. I choć tak wywyższon przez Amargadeusza, dostał się pod nacisk powszechnego ostracyzmu arystokracji. I wtedy to jedynym, który mu pomógł przetrwać te trudne chwile, był Presurt Oland. To on wyciągnął doń pomocną rękę, nawet zaprzyjaźnili się wtedy wielce.

Wprawdzie Obik mógł się zaszyć gdzieś w jakiejś ze swoich nowych posiadłości, i tam doczekać w dobrobycie kresu swego życia, lecz nie, i tu dał znać o sobie charakterek tego niewysokiego i mizernego z postury człowieka. Wszak to on był, nie bez powodu, zausznikiem i prawą ręką króla. Miał więc na to dość sił, by stanąć do walki z powszechną niechęcią arystokracji. I w końcu to on wygrał. Po wielu miesiącach, stopniowo stawał się coraz silniejszy, co w konsekwencji doprowadziło do tego, iż Regent mianował go szambelanem Zamku Królewskiego. A teraz oto, i to

od już kilku lat, to właśnie Obik skupia, obok formalnego władcy, Regenta, dużą część władzy w królestwie. I sam Kowdlar musi się z jego pozycją liczyć. Gdyby go pominął w kluczowych decyzjach, mogłoby to doprowadzić do kryzysu w państwie. Szambelan miał być u Kowdlara, w jego kancelarii, już pół godziny temu. Dochodziła właśnie jedenasta przed południem, przynajmniej na czasomierzu w kancelarii Regenta. Kowdlar był aż cały zzieleniał po twarzy. On, pierwsza osoba w kraju, musi czekać na tego... I tu cisnęły się Kowdlarowi słowa co najmniej obraźliwe. A wystarczyłoby, że Kowdlar machnąłby ręką i spadłaby głowa z karku szambelana. No, ale ten afront trzeba będzie jednak znieść. Obikowi bowiem nic się nie może stać. Nie stać było teraz księcia Regenta by tworzyć wobec siebie i wobec legalnej władzy jakieś fermenty. Ale dwa albo trzy batogi na tyłek to by się przydały szambelanowi, nie mógłby on potem tak wygodnie usiedzieć. Kowdlarowi aż uśmiechnęła się gęba na taki pomysł. Lecz tu znowu się pomiarkował, bo uzmysłowił sobie, że najpóźniej za rok odda władzę, a szambelan zostanie takowoż na Zamku Królewskim. Po co mu więc pamiętliwy wróg na stare lata. Więc tym sposobem szambelan uratował swój tyłek od bolesnej kontuzji. Kowdlar już chciał wołać lektykę, miał bowiem zamiar odwiedzić baronową Gelderę, lecz oto wszedł służący Gazo do komnaty i zaanonsował :

- Szlachetny szambelan Obik czeka na audiencję, Panie.

Kowdlar odetchnął z ulgą, i gestem dał znać, by przybyły wszedł.

- Wasza Książęca Mość, jakżem rad widzieć Pana – Obik rzekł, wchodząc do komnaty kancelarii Regenta.
- Witam Mości Szambelana – Kowdlar odpowiedział grzecznie, zaraz jednak dodał – Miałeś, Pan, być znacznie wcześniej. - co zabrzmiało wręcz jak zarzut.
- Książę Regencie, byłem u królowej Matki. Wybacz więc, Pan, za to małe opóźnienie.
- Aha..., Nie wiedziałem. I jak się czuje królowa Sylanda? W jakiej jest kondycji?
- A dobrze się czuje, książę. Lecz tu, w takim wielkim grodzie, jest ona w samej rzeczy bardzo samotną osobą. Ty, książę, rzadko ją odwiedzasz, w ogóle się z nią nie konsultujesz w sprawach dotyczących jej dziecka, księcia delfina. Wiem o tym, bo się przede mną żaliła.

Kowdlar zrobił kwaśną minę. Bo przecież to była prawda. Nie chodził do niej, bo strasznie zawsze marudziła. Wiecznie też się dopomina, by respektować jej prawa królowej Matki. A przecież kobiety nie nadają się do rządzenia. Gdyby było inaczej, inaczej też byłby urządzony świat. Bogowie by to inaczej zaplanowali.

- No tak, masz Pan rację, Szanowny szambelanie, muszę się poprawić. Nasza

królowa Matka jest bardzo uczuciowo związana ze swym synem. To szczerza prawda. No, ale to niech przynajmniej przychodzi czasami na królewskie obiady i uroczystości dworskie. Rzadko ją tam widuję ostatnio. - Kowdlar niby bronił się tym sposobem przed podejrzeniami, że to on unika królową Matkę.

- Królowa ma teraz melancholię – powiedział smutno Obik.
- Dlaczego? Co ją smuci?
- Najpewniej to, Panie, iż jej syn lada dzień stanie się dorosły. To, Panie, taka zwykła boleść kobieca. Taka to, że czas ucieka, a one się starzeją. Rozumiesz, Regencie. Wiek syna jej teraz stale przypomina o utraconym czasie. - Obik zrobił wymowny gest ręką.
- No tak. Ceńmy więc sobie, szambelanie, że obaj jednak jesteście mężczyznami. Ha,ha, ha – Kowdlar nieco sztucznie zaczął się podśmiewywać. Potem jednak się uspokoił i powiedział poważnie i filozoficznie. - I ja z chęcią prosiłbym Chronorę, by ta cofnęła nieco czasu. Już teraz, w moim wieku, chyba był nie udźwignął mój rycerski miecz, mą Kapatokę, a co dopiero do walki to ja się już nie nadaję. To mnie smuci – przyznał szczerze, lecz od raz też złapał się za język, jakby za wiele powiedział.

Tymczasem Obik rozsiadł się na ławie naprzeciw księcia Regenta. Obik był drobnym mężczyzną, podobnym w swym żywiole do ognika, który tli się w świecy. Właściwie Kowdlar powinien pozostawić drzwi do komnaty otwarte, bo żywiołowość szambelana była tak wielka, iż mógł on w pewnym momencie eksplodować niczym jarmarczne fajerwerki.

- Może się, Waść, poczęstujesz? - Kowdlar wskazał paterę stojącą na stole, na której leżały świeże owoce. - Co to ja od Pana, szambelanie, chciałem? - Regent naprawdę chyba miał zaćmienie, Medyk Lopeod rzekłby raczej, iż to była już zaawansowana demencja starcza, choroba bardzo rzadka w tych czasach. Po chwili jednak sobie przypomniał. - A! Chodzi o to powstanie niewolników w Engorze.
- I? - Obik zrobił minę niewiniątka.
- Co o tym myślisz, Panie? Musimy zapomnieć na chwilę o naszych różnicach i o tym, co nas dzieli. Dla dobra naszego królestwa, dla dobra przyszłego króla, księcia Orotoga. Bowiem to, co teraz, dziś, uczynimy razem ważyć będzie na jego władaniu, na jutro. - Kowdlar popadł w nieco patetyczny ton. I chyba to sobie szybko uświadomił, bo rzekł. - To znaczy, szambelanie, naszej Ulandii raczej nic nie grozi, ale zachowajmy jednak ostrożność.
- A co tu można, Mości Książę, uczynić?! Trzeba ich tylko dobrze pilnować. Ot tyle. Wielkiej filozofiji tu nie ma. Ale mamy taką nauczkę, że raczej nie należy z książąt robić niewolników. Wszak ten cały Fryel, ten mąciiciel, był szlachetnego urodzenia, książęcego rodu. Ci, co go poniżyli, robiąc go niewolnikiem, dostali nauczkę. I my takowoż razem z nimi. - rzekł Obik,

równocześnie wziął z patery jabłko; jedząc, mówił dalej. -Tak to jest, jak chce się w nadmiarze upokarzać przeciwnika, kimkolwiek by on nie był. Wódz, czy to będzie Tukmak lub Nechita, lubo inny dzikus, nigdy nie będzie dobrym niewolnikiem, nigdy nie będzie z pokorą znosił to, że ktoś mu dyktuje, co ma robić. Taka to z tego płynie nauka. Lepiej już go trzeba było oddać Nechitom za odpowiednio wielkim okupem.

- Masz całkowitą rację, szambelanie. I ja też tak myślę. Oddać za okupem lub zabić cichaczem.
- No tak. Książę Regencie, widać, iż jesteś wielkim praktykiem rządzenia – powiedział Obik, chyba chciał się tym przypochlebić Kowdlarowi. I był w tym praw. Rzeczywiście, Kowdlar, słysząc to, niemal rozpromienił się na twarzy.

Kowdlar jakby się zawahał. Sięgnął po jakieś pisma spod biurka. Trochę zaszeleścił żółtymi kartkami papirusu. Szambelan tymczasem wziął jeszcze jeden owoc z patery. Chyba miał jakieś braki w uzębieniu, bo zaczął strasznie mlaskać, tak że nawet zdumiony tym Kowdlar rzucił nań okiem raz czy dwa, ale w końcu nie było to takie dziwne i odosobnione.

- Niech Pan, szambelanie, spojrzysz. Oto raport naszego człowieka z Engory. - Kowdlar się odezwał, podsuwając Obikowi pod nos jakąś kartkę.
- O! Ciekawe. - stwierdził Obik. - Dużo mamy takich ludzi w Engorze?
- Ano, wystarczająco dużo. I w Engorze, i w Fluksji, i w innych krainach. Lecz niech Pan przeczyta raport.

Obik skupił się na czynności czytania. Tak nawet, że przestał na moment rzuć i mlaskać ustami. W końcu doczytał do końca i oddał pismo do rąk Kowdlar, mówiąc przy tym:-

- Ciekawe, naprawdę ciekawe. - powtórzył.- To by znaczyło jednak, że musimy być uważni. Skoro ten Fryel ma takie zamiary. Tylko czy to pewne, co ten człowiek tu pisze?
- Najzupełniej. To jest mój as w rękawie. Dotąd nigdy nie zawodził. Udało mu się przeniknąć do sztabu Fryela. No i co Pan na to powiesz? Tylko musisz pamiętać, iż to tajemnica stanu. Nic co usłyszysz lub przeczytałeś nie możesz wynieść na zewnątrz tej komnaty i Zamku Królewskiego. Bez względu na twą rangę, grozi za to szafot.
- Rozumiem, rozumiem, książę Regencie. Jakbym ja śmiał- lecz mówiąc to, Obik miał minę nietęgą. - Musimy kraj przygotować na to. Powołać pod broń całe rycerstwo. To będzie kosztowne, bardzo kosztowne.
- Właśnie, Szanowny szambelanie. Ja już jestem stary. Tym zajmie się Lucerdus, ale musi on mieć, czyli i ja, i sam książę Orotog takowoż, poparcie także ze

strony całego dworu, a nawet pewnych niechętnych mi kręgów arystokracji. To wyższa konieczność. W tej niedoli musimy się zjednoczyć. Potem zaś, gdy odpędzimy zagrożenie, znów będziemy się mogli zacząć pięknie różnić.- Kowdlar mówił to spokojnie. Lecz Obik czuł, że Regent jest w mocnym afekcie.

Geldera chodziła niespokojnie po komnacie, wte i wewte. Z córką zaczęło się coś dziwnego dziać. I tu chodziło nie tylko o emocje Alekdy, ale także o pewne zewnętrzne tego objawy. Gdy Alekda tylko się czymś zdenerwowała, wówczas to przedmioty, takie jak wazony, amfory a nawet wielkie i wypełnione dzbany, przesuwały się z wielkim łoskotem, wylewając swą zawartość na podłogę. Dziać tak się zaczęło o tego momentu, gdy Alkada chciała sobie odebrać życie, lecz jej się to nie udało. Od tego to dnia, a precyzyjniej następnego poranka, te wszystkie cuda się zaczęły. Geldera była zrozpaczona. Najwyraźniej jej córka musiała narazić się czymś któremuś z bogów. I oto teraz była jego zemsta. Alkada również była przerażona. Nie umiała bowiem tych manifestacji żadną miarą powstrzymać. Było to poza jej wolą. Gdy tylko czuła jakiś większy afekt, szybko uciekała do swego pokoju, bała się nawet reakcji służby pałacowej i niewolników. Fama jej fenomenu szybko rozchodziła się po całej Wendzie. To najbardziej przerażało Gelderę, wiedziała bowiem, iż najgorzej trafić na ludzkie języki. Szybko więc postarała się, by do pałacu przybył Mistrz Kapa. Ten zaś po pewnym namyśle, po tym, gdy przekonał się, że faktycznie nie jest to wymysł rozhisteryzowanej matki rozczulającej się nad swą pociechą, lecz i on sam zobaczył, jak w obecności Alekady, i jego, wielka amfora z oliwą roztrzaskała się o drewnianą powalę. Na to dictum, niewiele się namyślając, rzekł, iż najpewniej to Isztar się mści. I jedynym ratunkiem dla małej jest wydanie jej najszybciej jak można za męża, by szybko zaszła w ciążę, wtedy Isztar ją, wydaje się, poniecha. Bowiem, gdy Alkada zostanie matką, wtedy Isztar już tylko będzie jej sprzyjać, jako to bogini płodności i macierzyństwa. Lecz te słowa Mistrza Kapy mocno wzburzyły Gelderę, nie chciała bowiem narzucać córce coś, czego potem całe życie by ona żałowała. Baronowa Geldera była nadto majątna, jej córka również. Nie musiała więc aranżować małżeństwa, by poprawić majątność córki. Myślała nawet, że najlepsze dla Alekdy byłoby małżeństwo z kimś, do którego mała nie czułaby przynajmniej wstrętu, a najlepiej gdyby to sama Alkada temu sprzyjała. Lecz czasu miały mało. Owe manifestacje niechęci Isztar przebiegały z każdym dniem na sile i intensywności. Należało się śpieszyć. Geldera nie mogła także dopuścić do jawnego mezaliansu. Wybrankiem córki mógł być tylko ktoś z arystokracji. Najlepiej też niestary, tak by zdolny był jeszcze spłodzić dziecko. Skoro córka nie chciała pewnej jednak niezależności jako kapłanka Isztar, to teraz będzie się musiała pogodzić z dominacją i wolą męża. Tak to jest na tym świecie. I wtedy to, gdy tak myślała o córce i jej losie, przypomniała sobie o staraniach księcia Regenta. Oto małżeństwo z księciem Atagrem byłoby chyba zrządzeniem losu i wybawieniem. Alekda przecież

doskonale znała syna najlepszego przyjaciela jej ojca. Razem czasami uczestniczyli w różnych dworskich uroczystościach. Córka lubiła go, lecz chyba jeszcze była wtedy za młoda, bo to kilka lat temu było, gdy tak się razem zabawiali na jarmarkach, by doń czuć jakieś uczucie poza jedynie przyjaźnią. Od fascynacji młodzieńczej nie daleko jednak było do miłości. Jeśli nie miłości na początku związku, to w jego dojrzałym momencie jak najbardziej. Geldera wiedziała, że książę Regent cały czas dąży do tej więzi rodzinnej. Dlatego postanowiła sobie teraz, że będzie temu sprzyjać. I choć jej pragnieniem było, by córka służyła w świątyni, to jednak teraz obiektywnie najlepszą opcją dla Alekdy będzie młody książę Atagr jako partner życiowy.

Erej siedział za swym wielkim biurkiem. Niby nie zważał na Lamarta, tylko czytał coś. Czytał a potem dumał. Lamart był nieco podekscytowany, bo został tu wezwany w sprawie owego zadania z trzema komnatami i workiem złota, jakie zadał mu kilka dni temu Erej. Był podekscytowany, bo chyba znalazł rozwiązanie, był prawie pewny swego. Stał tak i z emocji wręcz cały drżał. Czasami mu się zdało, że przewróci się, lecz nie, trzeba to jakoś wytrzymać. Tu w gabinecie Nauczyciela Królewskiego Ereja wszyscy stali, no może z wyjątkiem tylko Mistrza Kapy. Nagle Erej skończył. Spojrzał ukradkiem na Lamarta. I rzekł:

- Jak tam, chłopcze, zrozumiałeś to zadanie, jakie ci dałem?
- Tak, Panie – powiedział falsetem Lamart.
- No więc, jakie jest rozwiązanie? Znasz odpowiedź?
- Tak, Panie. Mi się wydaje, że zyskowniejsze byłoby zmienić wybór i wybrać te trzecie, nieotwarte, drzwi – Lamart uważnie patrzył na reakcję Ereja. A tamten otworzył ze zdumienia usta, prawie że język wyszedł mu z ust.
- Wytlumacz to – Erej wydukał z siebie. Widać, iż był wielce poruszony. - Jak na to wpadłeś?
- Panie, jeślibym pozostał przy pierwszym wyborze miałbym praktycznie jedną trzecią zyskowności, tę którą miałem na początku, lecz gdy zmienię wybór, będę miał połowę zyskowności. Warto więc zmienić pierwszy wybór i wybrać trzecie drzwi.
- No nie! - Erej był niemal zszokowany. - Sam na to wpadłeś, czyś przeczytał w którejś z ksiąg?
- Tak, Panie, sam. Czy, Panie, coś źle zrobiłem? – chłopak przestraszył się, że czymś zawinił.
- No, mały, brawo. Brawo! Jeszcze żaden uczeń w twoim wieku, a nawet nieco i starsi, nie rozwiązał tego zadania poprawnie. Ty jesteś pierwszy. Zostanie to odnotowane w naszej księdze Szkolnicy. Powiem ci, że za to rozwiązanie i za postępy w nauce, w uzgodnieniu z Rekerem Szkolnicy, Mistrzem Kapą, zostanie ci przyznana nagroda w wysokości piętnastu talentów. Tylko tak dalej,

mój mały. Tylko tak dalej. Ponadto dostaniesz ode mnie księgę „O bycie kilka słów”, którą napisał Cygan Dziad, mój nauczyciel. Przyjdź tu jutro o tej samej porze. Będzie na ciebie czekała. I przeczytaj ją uważnie. Czytaj starannie i powoli. Na pewno nie zrozumiesz początkowo wiele, ale tym sposobem otrzesz się choćby odrobinę o prawdziwą mądrość. Tę księgę można czytać całe życie, i wciąż do niej powracać, i wciąż odnajdywać coś nowego dla siebie. Ja tak czynię już od wielu lat.

W Pustyni Róży rozchodziła się szeroko fama, że baron Oland popadł w ciężką chorobę i jest umierający. Mówili o tym wszyscy, i rycerze, i niewolnicy i rycerscy paziowie, a nawet zwykłe mendi, co to ich już suszy od samego rana i całe dni przesiadują w karczmach.

Był to powszechny temat rozmów mieszkańców lenna. Drugim, równie ważnym, tematem było powstanie niewolników, które jak wielka nawałnica rozprzestrzeniło się na wschodzie. Nie tylko Engora, lecz teraz i nawet część Flucji stały się areną tych brutalnych walk między orędownikami starego porządku, a zdesperowanymi niewolnikami i ich sprzymierzeńcami. Stawką było życie lub śmierć. Pogranicze między Fluksją i Engorą było niczym pole obsiane, na którym zwykle kłosa zboża kwitną. Lecz tym razem to nie zboże kwitło na tych rozległych polach, lecz pale i krzyże z uśmierconymi powstańcami. Pola były obsiane palami, a sioła i wsie dymiły wypalonymi zgliszczami. To jednakże była już robota powstańców. Mordowali oni równie okrutnie i równie skutecznie. Podobno przywódca powstania Fryel chciał pozyskać do swej sprawy ludy Nechitów, własnych ziomków, a także inne dzikie ludy. Ludzie w całej Ulandii i innych krainach nie objętych jeszcze walkami drżeli na samą myśl o tym. A było to już niemal pewnym, iż Nechici pomogą powstańcom. Wszak Fryel miał wszelkie prawa, by swój lud wezwać do tak ważnych bojów. Gdyby tak się stało, ciężkie czasy nadejdą dla wolnych ludzi w tej części świata. Nechici bowiem, choć dzicy, uważani byli powszechnie za wojowniczy naród. Oni i Tukmaki. Ludzie się takowoż jeszcze tego bali, iż też to Tukmaki pomogą powstańcom w sposób bardziej aktywny niż dotąd, po to tylko, by zburzyć ten ład, który dotąd panował na świecie. Zrobią to tym pewniej, bo przecież wiele wycierpieli przez wieki swej obecności na ziemiach Fluksji i Engory. To będzie słodka zemsta. Teraz więc wszystko zależało od bogów. Czy dopuszczą oni do całkowitego przewrotu ładu i porządku na świecie?

Ludzie w Pustyni Róży bali się wielce, bała się cała Ulandia. Tymczasem rozprawiano więc najchętniej tylko o chorobie barona Olanda. Stare wiedźmy rozgłaszały, iż boleść Presurta wynika z jego umiłowania do zbyt tłustej dziczyzny. Ona to powoduje, że Olandowi czarna żółć zalega i zaburza jego humory, co prowadzi w konsekwencji do choroby. Stare baby, wiedźmy, rozgłaszały też, że już niedługo baronowa Juta zostanie wdową. I taka też była powszechna opinia w całym lennie. Szykowano się już na pogrzeb dość jednak lubianego włodarza. A sam Oland polegiwał w swej alkowie. Miał stale dreszcze, a jego skóra zabarwiła

się na żółto. Ręce mu drżały przy każdym wysiłku. Nie pomagały żadne środki. Medycy byli bezradni. W jego brzuchu zaś bulgotało i przelewało się, niby woda. Tymczasem więc Oland polegiwał na boku i czekał tylko, kiedy znów Juta do niego przyjdzie. Tylko wtedy czuł jaką ulgę, tylko wtedy czuł poprawę. I oto właśnie drzwi alkowy się uchyliły. Już myślał, że to ona. Nie! W drzwiach ukazała się głowa służącego Joba.:

- Panie, jakiś dziwny człek lub stwór do Ciebie. Mówi, że zwie się Siódmy Elf. Jest tak mały, a tak natrętny. Chcieliśmy go zniechęcić, lecz on domaga się, byś go przyjął, Panie.

Siódmy Elf? Olandowi coś to mówiło, tylko nie umiał sobie tego skojarzyć. Lecz nagle sobie przypomniał. Wszak to Siódmy Elf przyniósł mu lata temu w Kulankach Klucz Miłości.

- Wpuścić go tu do mnie, Job, natychmiast – Oland wręcz krzyknął, właściwie starał się krzyknąć i podnieść głos, lecz że słaby był, więc to marnie wyszło. Ale i tak Job zrozumiał, że ma wpuścić tego elfa.

Jako to zaraz w drzwiach alkowy pokazała się sylwetka elfa. Wszedł i zamknął za sobą starannie drzwi. Oland poznał go od razu. I choć tyle lat minęło, on wyglądał tak samo, i był niemal tak samo ubrany, rzec by można w łachmanach. Miał jednak teraz trochę bardziej przyprószoną siwizną brodę.

- Witaj, Szlachetny – powiedział elf.
- Witam Cię, Siódmy Elfie. Wiem – mówił cicho i z trudnością Oland – że skoro ty przybywasz, musi to być coś bardzo, bardzo ważnego. Lecz wiedz, iż ja już nie jestem Strażnikiem Miłości, ma misja się wypełniła lata temu.
- Wiem to dobrze, Szlachetny – powiedział przybysz. - Lecz przybywam tu, -elf usiadł na ławie – bo twoja misja życiowa się jeszcze nie skończyła. Biali Braci uznali, że choć już nie jesteś Strażnikiem Miłości, to musisz jeszcze żyć i musisz wykonać jeszcze jedną misję.
- Powiadają za moimi plecami, dobrze to wiem, że niedługo już pójde na Pola Kerdolota. Więc i moja misja z tej przyczyny nie może być ponad tę miarę. - Oland uśmiechnął się do przybysza.
- Masz tu, Szlachetny – Elf wyciągnął zza pazuchy jakiś terakotowy, dość mały flakon. - Oto jest lekarstwo na twoje bóle. I masz to też – znów coś wyjął, teraz był to najpewniej list. - Lecz to pismo możesz otworzyć dopiero, gdy całkiem dojdiesz do siebie. Bacz także, by nie dostało się ono w obce ręce. To jest nowa twoja misja, jaką cię obarczają Biali Bracia. Załóż ten pierścień – Elf zdjął ze swego palca duży złoty klejnot. - On cię będzie ochraniał. On sprawi,

że twa aura, tak jak kiedyś to już było, będzie się za tobą ciągnęła przez wiele staj. A ci, co będą tego godni, znów dojrzą w tobie wielkiego człowieka.

Oland wziął z trudnością te rzeczy, które mu podał elf. List schował za łóżkiem, a flakon postawił na ławie przed sobą.

- Jesteś pewny, Siódmy Elfie, że to, co mi dajesz jako lekarstwo, pomoże mi? - wydukał z pewnym trudem. Bo teraz nawet mówienie sprawiało mu trudności.
- Zażyj teraz. Upij jeden, a potem łykaj następne dawki co osiem godzin. Nim minie tydzień będziesz uleczon – elf był pewny swego.
- To jak to, to na co ja choruję?
- Wszystkie choroby zaczynają się w naszych myślach, bo my elfy, choć rzadziej od was, ludzi, także chorujemy. Ale zarówno wam, ludziom, jak i nam, elfom, najlepiej służy zdrowiu dobry charakter i pozytywne myśli. A ta mikstura, którą ci dałem leczy schorowaną wątrobę.
- A skąd ty możesz wiedzieć, że ja mam chorą wątrobę? Co? Lopeod ci rzekł?
- Nie, nikt mi powiedział. Lecz, uwierz, my, elfy, mamy różne magiczne umiejętności, takie, by w pełni poznawać subtelne poziomy naszej rzeczywistości. Tylko ci tyle mogę rzec teraz. I stąd to wiem. - elf na chwilę zamilkł; potem zaś powiedział- No to wypij przy mnie łyk. Nim odejdę, chcę to jeszcze zobaczyć.

Na te słowa Oland wziął flakon i otworzył go, a potem stanowczym ruchem upił spory łyk mikstury. Poczuł, że mocno słodki był to syrop. Gdy odłożył już flakon na miejsce, nagle zobaczył, że elfa już nie ma w komnacie. Sen to był, czy jawa? - pomyślał. Lecz nie, to nie był sen. Na ławie to stał gliniany flakon. Za łóżkiem zaś nierozpieczętowane pismo leżało. Lecz on jakoś się teraz czuł inaczej. Jakby świeżej, jakby oddychanie mu już tak nie wadziło. Nie czuł też, iż woda mu się przelewa w brzuchu. Nowa misja! Mam nową misję. Pomyślał i zaraz zasnął.

Alekda zerkała zalotnie na Atagra, a on czuł to jej spojrzenie. Zostali sami, Geldera musiała wyjść koniecznie do swej przyjaciółki, księżnej Burkel. Atagr przyznawał w duchu, że ta mała wypiękniała ostatnio, niby stała się świadoma własnej fizyczności. Książę oczekiwał, bo tak ludzie gadali, jak tylko wszedł do pałacu Geldery, że zaraz to też zaczną latać przedmioty, bo tak było jakoby, gdy Alekda w pokoju była. Lecz nie, nic z tych rzeczy. Nic takiego się przy Atagrze nie działo. Za to Alekda była przy nim rozpromieniona. Atagr zabawiał ją opowieściami z życia dworu, a także opowiedział i zdał jej relację z ich, to znaczy jego i królewicza Orotoga, wyprawy na mroźne ziemie elfów. Alekda była tym wszystkim zachwycona.

- Czy poszłabyś ze mną na jutrzejszy targ kwiatowy? - spytał się jej zupełnie nagle
- Na targ kwiatowy? Od kiedy to takie targi są?
- A to, moja droga, nowa tradycja. Wprowadził ją szambelan Obik. Prywatnie kolekcjoner kwiatów, kaktusów i paproci. Od dwóch lat, dwa razy do roku, w letnich miesiącach organizowane są takie targi na Solnym Targu w Wendzie. Oto niemal pół Wendy tam będzie.
- I my w takim tłumie? O nie, książę, jeśli chcesz tam iść, to w innym towarzystwie, beze mnie. - powiedziała stanowczo, lecz z uśmiechem na licu.
- Ależ chodź ze mną, a nie pożałujesz. Będą tam kwiaty z najdalszych części naszego z świata. Z Oforyki, z Engory, Spoka a także z ziem naszych, z Ulandii. Zobaczysz tedy, jak bogata jest natura, jakie mnóstwo jest zapachów ukwieconych roślin.
- Hm ... - dziewczyna zaczęła się zastanawiać. - Dobrze, pójdę – rzuciła – lecz tylko w lektyce.
- A czy znajdzie się w tej lektyce miejsce i dla mnie? - uśmiechnął się do niej.
- No... No chyba tak, to lektyka mej matki. Jest duża, pomieści nas oboje. Ale czy to nie dyshonor dla rycerza ukrywać się za muślinem lektyki? - spytała prowokacyjnie.
- O nie, Pani, każdy rycerz w naszym kraju by się ze mną zamienił, byleby tylko mógł być w tej lektyce, bliżej ciebie. - oboje się tą rozmową nieco podniecili. Ona była czerwona na policzku; on ciężko oddychał. Tak jakby między nimi zaiskrzyło. Ona wodziła cały czas zań oczyma, a on miał dziwny uśmiech na swej twarzy. Tembr głosy zaś mocno podwyższony.
- Dobrze więc, Panie. Kiedy jutro przyjdiesz po mnie? Chcę wiedzieć, by się odpowiednio ubrać. I choć będziemy w lektyce, ale może się przecież jutro ochłodzić.
- Ubierzesz się, Pani, dla mnie? - Atagr trochę nachalnie wstał z ławy i przybliżył się do dziewczyna, tak jakby ją chciał objąć i pocałować. A tamta, niemal w popłochu chwyciła dzwoneczek, którym zwykło się przywoływać służbę i lekko nim potrząsnęła.
- Może się, książę, wina napijesz? - rzekła w tej chwili, odsuwając się

gwałtownie od Atagra. Na jej słowa wszedł do komnaty służący.

- Pani, jestem – powiedział.
- Przynies tu szybko dobrego wina, bo księciu w ustach zaschło z pragnienia. A i ja się też napiję. - Księżę tak jakby się opamiętał. Z pokorą siadł na swym miejscu. Alekda zaś mówiła. - To więc kiedy mam cię oczekiwać jutro?

Na krótki czas zapanowała cisza. Ani Atagr, ani tym bardziej Alekda nie odzywali się. Księżę Atagr jak gdyby bił się z myślami, a Alekda przypatrywała mu się uważnie, z uśmiechem małego pobłażania. Już dobrze wiedziała ona, czego by pragnął od niej Atagr. Na pewno nie była do końca przeciwna temu, lecz matka jej to dobrze wyjaśniła, iż łatwych dziewcząt się nie szanuje. Tę niezręczność w końcu przerwało ponowne przybycie służącego, który postawił na stoliku flaszkę wina i dwa kryształowe kielichy. Atagr nalał sobie i Alekcie, i podał jej ten trunek .

- Pani, czekaj na mnie jutro przed południem – powiedział powoli.
- Dobrze więc, będę czekała.
- A może potem pójdziemy, już bez lektyki, nad brzeg Letugi. Będzie pewnie pogodnie jak dziś. Pogodnie i ciepło. Znam takie miejsce na brzegu Letugi zupełnie czyste i zadbane. Można się bez obaw nawet wykąpać.
- O nie! Panie. Żadnych kąpeli. - uśmiechnęła się przekornie. - Ale możemy pospacerować wzdłuż brzegu. Jeśli to, oczywiście, Pana zadowoli.
- Wezmę ze sobą mego psa, Dafala, będzie nas strzegł przed niespokojnymi duchami.
- Jak to? - to ją zaciekawilo.
- Powiadają przekupki, że dusze topielców grasują przy brzegu.
- Jak to? Chyba tylko po zmierzchu?
- Możemy wszak zostać tam do zmierzchu – teraz to on się uśmiechnął. Lecz dziewczyna urażona wykrzyknęła niemal w gniewie.
- Pan chyba raczysz sobie ze mnie żartować?!
- O nie, Pani. Twoja obecność sprawia, że tracę rachubę czasu.
- Dureń! - Krzyknęła i już chciała wybiec z komnaty. Lecz tym razem Atagr był sprawniejszy i zasłonił skutecznie ciałem jej drogę. Dziewczyna cała spłoszowana, zdało się, że zacznie go okładać pięściami. Lecz nagle pohamowała się i usiadła na swym miejscu. - Pan raczysz sobie żartować, a że jesteś starszy ode mnie i silniejszy, ujdzie ci to najpewniej płazem.
- Przepraszam panią – teraz on się opanował. - Ale to prawda, że przy Pani czas mi inaczej upływa. To dziwne, bo nie czuję tego tak, gdy w towarzystwie jestem. Nie doświadczyłem tego nawet przy księciu delfinie.
- No, właśnie, Panie, chyba się zasiedziałeś dzisiaj. Możesz traktować nasz pałac jak swój dom, ale to tylko dla tego, iż jesteś synem najlepszego przyjaciela mojego ojca.
- W samej rzeczy, Pani – Atagr nagle posmutniał. Wziął puchar z winem i napił

się tego szlachetnego trunku.

Siedzieli na ławce pośród platanów. Przed nimi w małej niecce stał budynek Szkolnicy Królewskiej. Zwalisty, wykonany z wapienia sześcienny dom nauki. Jego majestat paraliżował tych wszystkich, którzy śmieli nań patrzeć. I tak też było z tymi dwoma. Raczej milczeli, jeśli już odzywali się do siebie, to półgębkiem. W pewnym jednak momencie Koli chyba stwierdził, że to ponad miarę jego charakteru i temperamentu, bo odezwał się do Lamarta wręcz żywiołowo.

- No i co? Jak ci poszła rozmowa z Erejem?
- To znaczy? - Lamart nie miał pojęcia o co mu chodzi.
- No, określiłeś się już czyim jesteś stronnikiem? Ereja lub Mistrza Kapy.
- A ... O to ci chodzi. Nie jeszcze nie miałem takiej rozmowy.
- No to po co byłeś u Ereja? - Koli był mocno zdziwiony.
- Dał mi takie zadanie. Rozwiązałem je.
- Jakie? -Koli był wręcz skrecony z ciekawości.
- Masz trzy komnaty ...
- I worek złota? - Koli przerwał mu wpół słowa.
- Znasz je? - Teraz to Lamart był wytrącony z równowagi.
- Tak, muszą cię bardzo cenić. Przyznaję. Ja o tym zadaniu dowiedziałam się dopiero niedawno, choć chodzę tu już od ponad roku. I to dowiedziałem się od kolegi ze starszej grupy. Jeśli ci zadano to zadanie, to prawdopodobnie przeniosą cię awansem do starszej grupy. Gratuluję. - Koli klepnął Lamarta po plecach. - Gratuluję. A czy, bo to się zdarza, dostałeś przy tym jakąś pieniężną nagrodę?
- No tak, skąd wiesz?
- Tylko bystrzakom dają.
- Do starszej grupy? Mówisz. Ale ja przecież ledwo nadążam za tym, co Jufe mówi na wykładach z geometrii i arytmetyki.
- Nie przejmuj się, tu liczy się głównie dobre kombinowanie, a w tym jesteś chyba jednak mistrzem. Geometrii się może każdy nauczyć, lecz prawidłowo kombinować i rozwiązywać nowe dla siebie rzeczy tego nie umie już każdy.- Koli aż się cały spocił.
- Myślisz. Mnie się zawsze zdawało, że ciężko myśle – powiedział Lamart.
- No to widocznie się zmieniłeś. Skoro jeden z mądrzejszych ludzi w kraju, czyli sam Nauczyciel Królewski Erej , uważa cię za bystrzaka, to ja raczej jemu zawierzę. Słuchaj, oni uważają ciebie za samorodny talent. Bardzo dużo sobie po tobie obiecują. Podobno , pst ... - Koli zrobił charakterystyczny gest – Erej powiedział Mistrzowi Kapie oraz Jufe, że jesteś godny, by pójść w ślady za samym, uważaj, co ci teraz powiem, za samym Cyganem Diadem.

- O?! - Lamart zrobił bezradną minę. - Nie no, nie opowiadaj.

Od strony fontanny, która stała w samym centrum tego małego skwerku, szło razem trzech chłopców. Byli nieco starsi, lecz to byli też uczniowie Szkolnicy. Nieśli bowiem przewieszane na rękach skórzane torby, tak charakterystyczny wyróżnik uczniów Szkolnicy Królewskiej. Szli beztrosko, pogwizdując sobie. Dostrzegli oni Lamarta i Koli, bo tak jakby zamachali do nich z daleka.

- Ty, co oni chcą? - spytał się Lamart przyjaciela.
- Udawaj, że ich nie widzisz. To są typki od Mistrza Kapy. - powiedział Koli, który, tak jakby dając przykład Lamartowi, nagle zaczął czegoś szukać w swej torbie, ignorując tym samym tych trzech, którzy już do nich podchodzili. Nagle jeden z tych nowych krzyknął.
- Koli, ty tchórze, uważaj bo się spietrasz – powiedział najwyższy.

Koli na ten przytyk tym bardziej szukał czegoś w swej torbie.

- Słyszysz, Koli. Miałeś załatwić nam dostawę tobaccu. Pieniądze wzięłeś, a towaru brak. - cały czas mówił najwyższy z tej trójki.

Na te słowa Koli jakby zmienił zamiar, i chyba postanowił, że porozmawia jednak z tymi trzema.

- To nie moja wina. Okręt z dostawą ma opóźnienie.
- To znaczy, ile mamy czekać? Lepiej żeby to tobaccu do nas dotarło, inaczej życie ci tu zmienimy w istną torturę. Piekło Tukmaków to będzie przy tym łagodną oazą na pustyni.
- Poczekacie jeszcze dwa, trzy dni. Jeśli statek przepadnie, oddam wam wszystko co do obola.

Tamci trzej uśmiechnęli się. Jeden, trochę otyły blondyn, aż parsknął śmiechem.

- Dobrze, poczekamy jeszcze. Masz czas do wtorku, damy ci jeszcze kilka dni. I albo tobaccu albo forsa.
- No, tak będzie. - Powiedział Koli, lecz ci trzej już poszli dalej. Szli najwyraźniej na wykład, bo po chwili znikli w wejściu do Szkolnicy.

Nieco zdziwiony tym zajściem, którego był świadkiem, Lamart spytał:-

- Ty tu kupczysz tobaccu? Wiesz, że to jest niebezpieczna roślina?
- Jak chcą się szprycować, to co mnie to obchodzi. Ja tego nie biorę. - powiedział Koli. - I tobie też nie radzę próbować.

- To coś ty znowu wykręcił?
- Wiesz, była okazja, by zarobić dodatkowe pieniądze. Więc głupi by nie skorzystał. Z Oforyki ma przyplłynąć okręt z przepelnionymi lukami tobaco. Zwietryłem interes. Ale jest mały poślizg. No najwyzej oddam im pieniądze. Zapożyczę się, ale oddam.
- Ile im zalegasz? - Lamart aż nabrał z przejścia mocny oddech w płuca.
- No, pięćdziesiąt...
- Czego pięćdziesiąt?
- No, talentów. - Koli miał tym razem nieszczęśliwy głos. Jego piękny tembr jakby zaczął skrzeczeć. Zwiesił też głowę nisko, do ziemi.
- A jeśli ci się nie uda? - Lamart tak jakby się zmartwił.
- Na pewno się uda. Najwyzej sprzedam swe książki. Bo wiesz ja mam tego przynajmniej za czterdzieści talentów. - Koli odzyskał swoją pewność siebie.

W komnacie królewskiej były tylko dwie osoby. Mistrz Kapa i Orotog. Młody delfin często korzystał z rad swego maga. Lecz ta dzisiejsza wizyta była szczególnie ważna, oto bowiem sam książę Regent prosił Kapę, by ten w sposób delikatny przedstawił delfinowi, jakie to ciemne moce zawisły nad tą częścią świata, do której należało królestwo Ulandia. Powstanie niewolników bowiem osiągnęło swoje apogeum w Engorze, a także we wschodniej części Fluksji. Lada dzień można się spodziewać, iż ogarnie też całą Fluksję, a to już będzie bardzo niekorzystne dla Ulandii. Mistrz Kapa chodził więc niespokojnie po komnacie, czasami przystawał, czasami siadał na ławie, lecz długo nie umiał tak wytrzymać. Więc kręcił się niespokojnie. Orotog jednak doskonale to widział, że Kapę coś nurtuje, że przyszedł z czymś i nie umie zacząć.

- Wasza Królewska Mość, czy słyszałaś, Panie, o tym fermentie, który zaczął się w Engorze? - Kapa ostrożnie zaczął.
- A mówisz Mistrzowi o tym powstaniu niewolników? Szambelan Obik mi coś tam powiedział.
- Ach! Czyli Obik wam już, Panie, coś mówił?
- No tak, tak właśnie się stało.
- A co dokładnie, Panie, ci powiedział Obik?
- Hm ... Coś tam rzekł, że Atapu II musiał uciekać z pałacu i ukrywał się jakiś czas.
- Wasza Królewska Mość, to, co mówił szambelan, to jeszcze nie wszystko.
- Co? Co się więc stało, widzę bowiem Mistrzowi, że masz mi co do powiedzenia?
- Panie, powstanie się rozwija i ogarnia wciąż nowe ziemie. Teraz już we Fluksji

jest zarzewie buntu. Owszem zdawało się już, że szybko zostanie stłumione, lecz próżne to były oczekiwania. Bowiem po stronie niewolników stanęli Tukmaki, co to we Fluksji mają swe ziemie, a także inne dzikie ludy dołączyły do powstania, by wspierać tym samym zbuntowanych niewolników.

- Chcesz przez to powiedzieć mi, że musimy się liczyć z realnym zagrożeniem? Ale przecież ksiązę Regent nic mi nie mówił. - Lico Orotoga było wręcz rozpalone.
- Panie, między innymi Regent poprosił mnie, bym te złe wieści ci, Panie, przekazał – Kapa patrzył tępo, ale unikał wzroku królewicza.

Ksiązę delfin był rozpalony. Musiał się koniecznie uspokoić. Choć był bardzo młody, jednak czasami w momentach emocji czuł w piersiach mocną pulsację serca. Medyk Lopeod już dawno to odkrył, co wiedziała jeszcze tylko królowa Matka, iż z sercem delfina nie wszystko było prawidłowo. Lecz o tym nie wiedział nawet sam Regent. Królowa Matka bowiem obawiała się, iż gdyby Kowdlar się o tej słabości jej syna dowiedział, być może nie dopuściłby do koronacji Orotoga. A wtedy byłaby tylko ta opcja, iż panowanie objęłaby księżniczka Logoberda, albo Kowdlar poszedłby na całość i osadził na tronie Ulandii swego syna Atagra. Co do Logoberdy, to była to obecnie zgorzkniała mocno stara panna, królowna, rozżalona do całego świata, wegetująca w dawnej posiadłości Kodyny, jej matki, na południu kraju. Medyk Lopeod orzekł, iż była tak zdziwaczała, że pewno, gdyby to ona objęła tron, któryś z jej psów zostałby baronem jeśli nie księciem. A okres jej panowania byłby na pewno najbardziej niestabilnym okresem w historii królestwa i rodu Arena. Po jej śmierci zaś doszłoby najpewniej do wojny domowej o to, kto obejmie po niej władzę w Ulandii. Królowa Matka modliła się do Isztar, by ta sprawiła, by Orotog szybko się ożenił i spłodził dziedzica. Zrobił to szybko, a nie szedł w ślady swego ojca, który doczekał się syna dopiero u schyłku żywota. Ona jedna wiedziała, a Orotog się domyślał, że grozi mu wiecznie skryte niebezpieczeństwo. Gdyby jednak szybko spłodził dziedzica, dynastia by przetrwała. Wiecznie też prosiła syna, by się nie nadwyręzał nadmiernie, nie ćwiczył tak fechtunku i by nie jeździł stale wierzchem, co, słysząc to, ksiązę Regent uważał jedynie za zbytnie roztkliwianie się Sylandy nad prawie to już dorosłym Orotogiem. Śmieszyło go to więc niezmiernie, tym bardziej że sam wychował swego syna w duchu rycerskim, pełnym walki i współzawodnictwa. Gdybyż on wiedział, co było tej troskliwości jednak rzeczywistym powodem. Sam Lopeod, którego obowiązkiem było jednak poinformować Regenta o tym, bo to dotyczyło przecież przyszłości kraju, został pewnej nocy, w świątyni Isztar, związany przez królową Matkę ślubami milczenia na ten temat. Dostał też dodatkowo pewne dobra, które były w gestii Sylandy. Królowa Matka więc zabezpieczyła się jak tylko mogła. A Lopeod był już tak stary i tak wiele nieprawości widział na swe równie stare oczy, że wołał dla swej wygody milczeć; wycofał się z życia na dworze i tylko w wyjątkowych momentach zjawiał się, gdy był naprawdę potrzebny.

- Regent ci kazał, Mistrzu?! To nie dobrze, dlaczego sam nie przyszedł z tym do mnie? Wiesz, czy nie wiesz?- powiedział już spokojniejszy Orotog.
- Panie, on już jest wielce sędziwy. Gdyby mógł, już nawet teraz oddałby ci Ulandię, jedynie prawo to sprawia, że jest jeszcze na swoim urzędzie.
- Co ja mam robić w tej sytuacji? Czy powiedział ci to także książę Regent?

Mistrz Kapa odczekał chwilę, przetarł rękoma mokre czoło.

- Panie, książę Regent porozmawia z tobą, Panie, jeszcze. Tymczasem prosi cię, byś nie opuszczał Wendy. Baron Lucerdus już działa z upoważnienia Regenta i gromadzi znaczne siły na południu kraju. Będziemy dobrze przygotowani na przyjęcie ewentualnego wroga zewnętrznego, a także wewnętrznego, jeśli to i u nas niewolnicy się zbuntują, za złym przykładem niewolników z Engory.
- Ale ja chciałbym wziąć udział w działaniach wojennych. Na pewno pomógłbym naszej sprawie. Wojownicy i rycerze mieliby podparę, wiedząc, że razem z nimi będzie walczył następca tronu. - Orotog zapalił się do tego pomysłu, lecz Mistrz Kapa szybko ostudził te jego chęci.
- Panie, nie możesz ryzykować. Nawet twój wielki ojciec, król Amargadeusz, nie brał nigdy bezpośrednio udziału w walce na licznych wojnach, które toczył. Tym bardziej ty teraz jeszcze. Oczywiście, gdy będziesz już królem, Panie, i tak wszystko będzie zależeć od twojej woli, lecz na dziś jednak, obawiam się, iż książę Regent nie zezwoliłby na to. Pamiętaj, Panie, iż książę Kowdlar to właśnie z woli twego ojca, króla Amargadeusza, pełni tę najważniejszą funkcję, oczywiście aż do twojej koronacji, w królestwie. I to ze względu na twego ojca, musisz Panie podporządkować się Regentowi.
- Wiem, wiem. Nie musisz mi tego przypominać. Książę Regent pełni swą funkcję bez zarzutu. Ja mam do niego pełne zaufanie i gotów jestem podporządkować się jego woli. - Orotog mówił to jakoś mało entuzjastycznie.- No ale przyznasz, że mój udział byłby mocno motywujący i podbudowujący morale naszych wojowników.
- O tak, to bez wątpienia, Panie.
- Dobrze, dobrze, zostawmy to już – stwierdził Orotog.- Czy znasz takiego Xyte Lub Burta? - Orotog nagle wystrzelił.
- Co, Panie? - Zdało się, iż Kapa został porażony piorunem, aż zachwiał się na swych nogach.
- No, czy znasz takowych? - Orotog był wręcz rozbawiony reakcją swego maga.
- Pierwsze słyszę, Panie – Mistrz Kapa jednak szybko się opanował.
- Bo wiesz, jak byliśmy na ziemiach elfów, to natknęliśmy się tam na osadę elfów, i był tam taki elf, który twierdzi, że również był mniej więcej wtedy jak ty w Zakonie Czarnego Elfa, jednakże nic nie słyszał o żadnym Kapie. Umiesz to wytłumaczyć?

Nastała niewdzięczna cisza. Tak jakby Mistrz Kapa szukał przez chwilę odpowiednich słów.

- Panie, ja znałem jedynie Xote, jeśli jego masz na myśli, to go znałem.

Orotog nie spodziewał się takiej odpowiedzi.

- A Burta, czy Burta znałeś? - spytał.
- Burta? Panie, to było dawno, teraz sobie nie przypominam takiej osoby. - Kapa wydało się, że szuka w pamięci, lecz w końcu zrezygnowany powiedział. - Nie, chyba nie znałem żadnego Burta.
- Dobrze, Mistrzu, to powiedz mi, pod jakim imieniem żyłeś w Zakonie Czarnego Elfa? - Orotog chciał koniecznie poznać tajemnicę Kapy.
- Panie, czy muszę? Czy koniecznie chcesz to wiedzieć, bo, jestem szczery, wolałbym to zachować dla siebie.
- Powiedz mi, a ja przysięgam, nikomu nie rzeknę, nawet Atagrowi.
- Hrol, to było moje imię w zakonie. Mój bezpośredni mistrz, Siódmy Elf, nadał mi imię Kapa, co znaczy wytrwały.
- Ach tak – Orotog poczuł się rozczarowany. - Czyli wszystkie święcenia uzyskałeś? No cóż – mówił jakby do siebie.
- Panie, gdym nastał w Ulandii jako główny mag twego ojca, króla Amargadeusza, musiałem wprzód wykazać się nie tylko swymi umiejętnościami, ale miałem także odpowiedni glejt z Zakonu Czarnego Elfa. Twój ojciec, wielki Amargadeusz, miał go w ręce. Jest on gdzieś w moim posiadaniu, ale musiałbym dobrze poszukać. Jeśli taka twoja wola, Panie, przyniosę ci ten dokument. Nie spodziewałem się bowiem, iż po tylu latach posługi będzie mi on jeszcze potrzebny. Myślałem, że moje czyny same mówią o mej przydatności dla królestwa.
- Dobrze, dobrze, nie fatyguj się. Ufam ci – powiedział Orotog już pogodzony z tym, iż sprawa się wyjaśniła. - Masz rację, twe czyny tylko potwierdzają twoją przydatność.

Gdyby Orotog był nieco starszy, dostrzegłby ten jakiś taki grymas, który pojawił się na obliczu Mistrza Kapy, gdy doń mówił. Gdyby był bardziej doświadczony, najpewniej wzbudziłoby to u niego podejrzliwość. Jednak on cały czas jeszcze był dzieciakiem.

I te oczy, którymi świdrował go mag, gdyby był bardziej dojrzały, powiedziałyby mu, że coś tu nie pasuje, coś tu nie gra. Już samo to wzbudziłoby u niego ostrożność co do tego człowieka.

Kowdlar czytał raport znaną granicę z Fluksją. Niewolnicy uciekają. Uciekło już ponad dwustu młodych niewolników z terenów sąsiadujących z granicami Ulandii i Fluksji. Należy się liczyć z tym, że będzie tego coraz więcej. To niby nie było tak wiele. Lecz jeśli ta tendencja się powiększy lub nawet tylko utrzyma, to będzie to już niebezpieczne dla kraju. Z samej zaś Fluksji dochodzą sprzeczne informacje. Jedni informatorzy donoszą, że niewolnicy przejęli kontrolę nad głównymi grodami, a także najważniejszymi traktami, inni zaś informują, że Norgul, jeszcze panujący we Fluksji lub przynajmniej panujący w jej części, krwawą ręką tłumi wszelkie oznaki buntu; że wszędzie unosi się zapach śmierci; że pale i krzyże stoją już u rogatek większych grodów. Ale Fryel dopiął swego. Dzikie ludy ze wschodu i północy świata już to przyłączały się do buntu niewolników. Podobno Fryel obiecywał wodzom i przywódcom tych ludów wielkie dobra. Obiecywał, że połowę łupów wojennych odda im, bez względu ile tego będzie. Fluksja i Engora były wszak królestwami dostatnimi, gdzie nie tylko pola uprawne i gęste lasy były głównym ich ogniwem bogactwa, ale także wielkie stada hodowlanych owiec, lam, turów, żubrów i innego zwierza.

Bogate paśniki, sady, wsie i grody zaopatrzone we wszelakie dobra trwałe. A i soli, kadzideł, złota i drogich kamieni tam nie brakowało. Dla dzikich, koczowniczych plemion był to bardzo cenny kęs do nadgryzienia. Wszak ich bogactwem były tylko wilcze skóry i tępe, wojenne topory. Ich siłą tkwiła jednak w pogardzie do śmierci i wstrętu do tchórzostwa. Dla ludów takich jak Tukmaki i Nechici największym przekleństwem był strach. Tępiono go więc tam u nich szczególnie mocno. Wojownikowi, który splamił się hańbą, uciekając na przykład z pola walki, już raczej lepiej było przewiązać sobie wielki głaz do szyi i pogrążyć się z nim w nurcie rzeki. Dlatego tak wielu wśród nich było niewolników. Bowiem hańbą było dla nich oddać się z pola walki, a że mieli niezbędne te swoje narzędzia walki, nieosłonięci też byli w sposób dostateczny od ciosów przeciwnika, więc wynik ich potyczki z dobrze wyćwiczonymi i dobrze wyposażonymi legionami najemników był z góry wiadomy i raczej przesądzony. Dostawali się więc do niewoli i, chcąc nie chcąc, zasilali tym samym szerokie rzesze niewolników w takich królestwach jak Engora i Fluksja.

Czyżby teraz szykowała się ich wielka zemsta za lata poniewierki? Wszystko na to wskazywało. Wieszczki z ogarniętej pożogą Engory ogłosiły, iż oto nastanie nowy porządek na świecie. Król Atapu II, choć odbił już wiele ze swych ziem i grodów z rąk buntowników, miał jednak coraz większe trudności. Oto całe złoto ze Skarbcza Królewskiego już prawie się wyczerpało. A było ono naprawdę bardzo potrzebne, bo to przecież najemnicy walczyli za pieniądze. Gdy talentów zabraknie, najemnicy zwiną się i ujdą z pola walki. Sami rycerze nie podobna było, by poradzili sobie w tej wojnie. Ponadto zbuntowani, widząc, że tak wielu nowych do nich przystaje, choć może nie tak dobrze wyszkoleni jak najemnicy, karmieni byli coraz większą wiarą w to, co obiecał im ich przywódca Fryel. Wierzyli oni, że po wielkim zwycięstwie to oni zostaną panami, a ci, którzy im dotąd rozkazywali, sami z ugiętymi karkami usługiwać im będą. To miał być wielki przewrót. Oto miały nastać nowe czasy. Oto

miała się dokonać radykalna zmiana ról.

Lucerdus zaś w samej Ulandii gromadził siły. Było raczej nieuniknione to, że fala zamętu dotrze za zachodnie granice Fluksji. Kwestią otwartą było pytanie: kiedy? Kowdlar łudził się jeszcze, iż być może sukcesy powstańców we Fluksji i Engorze zadowolą tych dzikich prowodyrów. Może będą mieć już dosyć walki? Może zaczną świętować? Lucerdus jednak sugerował Regentowi, by to oni sami przekroczyli granice i poszli z pomocą i Norgulowi i Atapu II. W myśl starej prawdy wojennej, że znacznie lepiej walczyć na ziemiach obcych, nie trzeba się wtedy liczyć z trwałymi startami w dobytku i ludziach. Regent rozważał taką możliwość. Jeszcze się wahał, jeszcze się łudził, ale był już naprawdę blisko tego, by przychylić się do sugestii Lucerdusa. To przecież sam Kowdlar uczestniczył często, za czasów gdy był zwykłym rycerzem, w tego typu taktycznych zagrywkach Amargadeusza. Umiał więc właściwie docenić główną myśl tego fortelu Lucerdusa. Pewnie zginie przy tym wielu wojowników Ulandzkich, ale będzie to wówczas i tak najmniejsza możliwa strata. Gdyby zaś tak się stało, że powstanie dotrze na ziemię królestwa, oznaczać to będzie nie tylko stratę wojowników, ale także morze łez i wielkie straty materialne w dobrach królestwa.

Kowdlar ciężko westchnął. Stos dokumentów, różnych raportów nie miał końca. A i tak prawie co godzinę dostawał nowe. W tak trudnych czasach było to niemal rutyną, lecz Kowdlar był zmęczony już tym wszystkim. Czasami myślał o tym, by to jego syn przejął przynajmniej część jego obowiązków. Lecz dobrze widział, że Atagr woli lekkie życie głównego powiernika księcia delfina, niż jakieś konkretne obowiązki. Kowdlar miał do swego syna słabość tak wielką, iż pozwalał jeszcze na to. Może, gdyby był bardziej surowy i stanowczy, ten młody mężczyzna byłby już przynajmniej wodzem. Teraz jedynie Kowdlar chciał od Atagra, by ten ożenił się, i to najlepiej z Alekdą.

Gdy dojdzie do wojny, gdy powstanie przekroczy granice kraju i tak Atagr będzie musiał iść walczyć. I nic tu nie pomoże przyjaźń z Orotogiem i to, że jest synem Regenta. Kowdlar nawet nie dopuszczał do siebie innej myśli. Oczywiście, pójdzie na wojnę jako wódz, najpewniej Wódz Ludzi Wielkich. Ale i tak będzie walczył w pierwszym szeregu, tak jak to zawsze jego ojciec czynił, gdy był jeszcze do tego zdolnym. Weźmie ze sobą Kapatokę, miecz niezwykłego. Miecz, którym Kowdlar odciął głowę szczerozłotemu smokowi Zynowi, miecz, którym śmiertelnie ranił gubertunera Tukmaków na Wyspach Gnomów, czym spowodował pogrom Tukmackich wojowników, a król Amargadeusz miał przez to otwartą drogę do Rykul, stolicy państwa gnomów.

Kowdlar wszak zauważył, że ostatnio syn jego niby trochę spoważniał. Najpewniej wieści o rychłej wojnie dotarły także do niego, przecież to sam Atagr powiedział pierwszy ojcu o powstaniu niewolników. Teraz zaś najpewniej Atagr zaczął sobie zdawać sprawę, do czego będą prowadzić jego obowiązki i zobowiązania wobec królestwa. To będzie już ostateczne pożegnanie się z młodością. I wszystko na to wskazuje, że stanie się to znacznie szybciej, niż dotąd myśleli, i ojciec, i syn. Do tej pory zdało się, że dopiero koronacja Orotoga będzie tym pamiętnym etapem w życiu

nie tylko delfina, ale także Atagra. Kowdlar gdzieś tak w środku siebie, tam gdzie jego dusza bytuje bał się o syna. Bo wojna jest jak pijany człowiek, nie wiadomo, gdzie się przewróci. Gdyby Atagr zginął, nie zostawiając po sobie następcy, cały ród szczęście wraz z nim. Co by tu zrobić? Kowdlar często teraz się nad tym zastanawiał. Najlepiej byłoby, gdyby Atagr pojął za żonę tę młodą Alekdę. Lecz jak to zorganizować, by zdążyć? Nie było rady. Nie da się. Nic nie można w tej sprawie zrobić. Gdy Kowdlar myślał o tym, czuł że ta reszka siwych włosów, które jeszcze miał na głowie, stawała mu dęba. Pot spływał mu po karku, a w brzuchu czuł tępy uścisk. Lecz nie może tak jednak się stać, by na wojnę nie poszedł syn Regenta. Jakież by to był przykład dla innych? Hańba! Sromota! Ba! Gdyby to sam Regent był jeszcze w stanie utrzymać się w siodle jak zwykły wojownik, to sam by poszedł stawić wrogowi odpór. To wtedy Kapatoka zawisłaby w pochwie właśnie u jego boku. Teraz jedyne co mógł zrobić to dać swój oręż, przekazać go synowi. Jeszcze tylko Mistrz Kapa pobłogosławi Kapatokę, odprawi nad nią wymagane misterium, i miecz ten przejmie Atagr. Oby przejął także i to szczęście w walce, które zawsze miał po swojej stronie jego ojciec. A obok rycerskich umiejętności w bezpośredniej walce wymagane i konieczne jest też wsparcie ze strony bogów. Przede wszystkim wsparcie od boga wojny Lohuga.

Przypadkowy bełt lub strzała może zakończyć przedwcześnie życie nie tylko zwykłego wojownika jakich tysiące, ale nawet życie wielkiego mistrza fechtunku, jakim był na przykład Atagr. Już Kowdlar zadbał o to, by jego syn opanował wszelkie znane systemy walki rycerskiej. Fechtunek opanował niezrównanie. Był, to prawda, w tym wielkim mistrzem, lecz zawsze to jednak w walce liczy się ta odrobina szczęścia. A Atagr jeszcze nigdy nie uczestniczył w prawdziwej walce, takiej na śmierć i życie. Jak na to zareaguje? Oto była zagadka. Lecz siły jego ojca powinny mu mocno pomóc. Rycerski duch walki ojca, dajże Lohugnie, niech przejmie też i syn jego. Jak uczy tak tradycja, siły ojca odnaleźć można bowiem w czynach syna.

– Gazo! - Kowdlar podniósł nieco głos.

W tej to chwili w drzwiach komnaty ukazał się służący.

- Tak, Panie. - powiedział.
- Czy doszedł już najnowszy raport z granicy?
- Nie, Panie.
- A czy był ktoś do mnie?
- Szambelan Obik, pragnie się, Panie, spotkać z Waszą Miłością– Gazo prężył się przed Kowdlarem. Był może ciut starszy od Atagra. Dawniej służył w Poledzie, lecz kilka lat wstecz Kowdlar sprowadził go z powrotem do Wendy, na Zamek Królewski. Był to oddany człek. Wierny i znający swe miejsce w szeregu. Pochodził z drobnych handlarzy głowizną; jego ojciec wiele lat miał swe stoisko na Targu Solnym. Od najmłodszych lat Gazo był już przyuczony do służby. Robił to dobrze, i przede wszystkim dyskretnie. To właśnie ta jego

cecha tak bardzo odpowiadała Regentowi. Już nie jeden raz Gazo umiejętnie przechodził test na dyskrecję. A to w tym miejscu, czyli w Zamku Królewskim, w miejscu, gdzie ściany miały uszy szambelana Obika, było naprawdę bezcenne.

- Więc, czy czeka teraz na audiencję?
- Nie, Panie, powiedział że przyjdzie za godzinę.
- Za godzinę? - Kowdlar zaczął się głośno zastanawiać. - Za godzinę to ja nie będę miał dlań czasu. Niech przyjdzie za dwie?

- Powiadasz, Waśc, że Fryel ma takie plany. Tylko skąd, szambelanie, bez obrazy, to Pan wiesz? Skoro moi szpiedzy tego nie wiedzą.

Kowdlar siedział rozparty na swym fotelu. Szambelan Obik przed nim na ławie.

- Nie, mogę ci tego, Szlachetny książę Regencie, zdradzić. Ale wierzaj mi, to najzupełniej prawda. - Obik zaczął szybko mówić. - Zresztą to sam Fryel dążył do tego, byśmy jego zamiary poznali.
- Zdradzić własnych ludzi? Zaiste dziwne mają obyczaje ci cali Nechici. A on sam, choć niewolnikiem się stał, szlachetnego rodu. I on chce zdradzić ?
- Tak, chce zdradzić powstańców – szybko dopowiedziała Obik. - Jemu tak naprawdę chodziło tylko o to, by zerwać się z niewoli. Dokonał tego, lecz nie zamierza zmieniać porządków świata. Ci, którzy się na to nabrali i dołączyli do niego z tej przyczyny, zapłacą najwyższą cenę.
- No tak, masz, szambelanie, najzupełniej rację. Już my tego dopilnujemy. Ja ci zdradzę to, iż baron Lucerdus miał już na dniach przekroczyć granicę i ruszyć w wojskiem na pomoc Nergulowi. Teraz jednak sytuacja się nieco komplikuje. Nie chcę bez potrzeby bowiem narażać naszych ziomków na zbędne ryzyko.
- O tak, Panie, bez charyzmatycznego przywódcy powstanie szybko zostanie stłumione. Nieprawdaż, Regencie?
- Tak, są duże szanse na to. A on chce azylu? I tylko tyle? U nas? W Ulandii? Wrócić zaś przecież nie będzie mógł do swoich, na te ziemie Nechitów, po tak jawnej zdradzie całej sprawy.
- Azylu i godziwej renty za swoją uległość. - Obik uśmiechnął się z przekąsem.

Kowdlar ujął w prawą rękę swój dzwoneczek na służbę i szybko zadzwonił. Już po chwili w drzwiach pokazał się Gazo.

- Gazo, mój drogi, przywołaj tu do mnie kancelistę Vubla. Niech przyjdzie z księgą rejestrów.

Vubel był odpowiedzialny za księgowanie podatków królewskich, oczywiście tylko tych, co spływały finalnie ze wszystkich lenn, a w swej księdze rejestrów miał spis wszystkich prowincji Ulandii.

- A czy masz, Pan, jakiś dowód na potwierdzenie swych słów? - Kowdlar spytał niespodziewanie.
- Regencie, mam. Owszem, mam. I przyniosę ci go, jeśli tego będziesz sobie życzył. Mam to na piśmie.
- Z podpisem Fryela? - Kowdlar zdał się mocno zaskoczony.
- No nie, wolne żarty. Aż takiego dowodu nie mam. Lecz mam relację z pierwszej ręki. Ponadto, jeśli tylko, Panie, wyrazisz wstępną zgodę, zobaczysz co się będzie działo z powstańcami. I to będzie najlepszym dowodem. Niech czyny Cię przekonają. - Obik znów zapalił się i mówił szybko, wręcz trajkotał.
- Aha! No, ja muszę mieć kilka dni na podjęcie decyzji. Wydaje się mi jednak, że najpewniej przychylię się do twojej propozycji ...

Wpół słowa przerwało Kowdlarowi przybycie Vubela, który wszedł do komnaty.

- A! Jesteś. Masz księgę rejestrów?
- Tak, Ekscelencjo – odpowiedział mocno speszony kancelista. Był to młody chłopak; wysoki i do tego dość szczupły.
- No to, szambelanie, będziemy teraz szukać. Gdzież by to mógł się skryć zdrajca w naszej krainie przed chyba słuszną, przyznasz, Panie, zemstą swych byłych współtowarzyszy i ...

Jakieś szaleństwo unosiło się nad grodem. Każdy kміeć powtarzał : wojna, wojna za progiem. To całe szaleństwo przeniosło się nawet na teren Szkolnicy Królewskiej. I choć nikt z uczniów, ni nauczycieli, nie ruszy bezpośrednio na bój, ale ferment z tym związany przedostał się na dziedziniec szkolnicy, a nawet na wykłady. Oto Jufe na jednym z ostatnich wykładów kazał uczniom, w tym i Lamartowi, by ci przeczytali, co na temat wojny napisał Wyman z Alakadii w swym dziele *Domy w układach astrologicznych* , a także co napisał o boju bratobójczym Cygan Dziad w *O bycie kilka słów*. Będzie z tym nieco zachodu, bowiem dzieło Wymana było prawdziwym unikatem. W bibliotece Szkolnicy Królewskiej były tylko dwa egzemplarze. Praca Cygana Dziada, tak sławna, była już bardziej dostępna. Niektórzy z uczniów mieli

własne egzemplarze tej książki. Takowoż więc już od prawie tygodnia Lamert szukał dostępu do dzieła Wymana. I tu, jak niemal zawsze, pomocnym okazał się Koli, który obiecał Lamartowi, że skombinuje mu tę książkę jutro. Lecz, jak to bywa zawsze u Koliego, nic za darmo. Koli, który teraz był w wielkich tarapatach, bo miał liczne zobowiązania. Głównie wobec tych, którzy zamówili u niego tobacco. Lecz, jak pech, to pech. Statek z tobacco przepadł z całym towarem. Gdyby Koli był takim samym kmiotkiem jak jego rodzice, pewnie by się powiesił z rozpaczy, bo zalegał ludziom czterdzieści talentów. Kwota astronomiczna dla wiejskich obrobników. Lecz nie, on był przecież uczniem Szkolnicy Królewskiej. Choć czterdzieści talentów to i dla niego dużo, lecz jako ten wybraniec Szkolnicy mógł się z tego wykaraskać. Z biedą bo biedą, ale jednak. Więc teraz to Koli wymyślił sobie między innymi to, by Lamart oraz kilku innych jego znajomków pożyczyło mu po kilka talentów. Nie był to zły pomysł. Tym bardziej, iż sprzedał też całą swą bibliotekę za dwadzieścia pięć talentów. Lamart więc miał mu pożyczyć trzy talenty. I dużo i mało. Nie dać, lecz pożyczyć, ale w tym to przypadku te dwie formy ludzkich uprzejmości różniły się formalnie tylko nazwą. Lamart mógł się bowiem liczyć z tym, że Koli będzie mu zalegał te trzy talenty długie, długie miesiące. W zamian mógł liczyć na wdzięczność przyjaciela i na jego liczne kontakty. W tym ten kontakt, który pozwoli w końcu Lamartowi na dojście do książki, tak poszukiwanej, Wymana. Wstępnie wyraził zgodę, więc już jutro będzie się mógł zapoznać z *Domy w układach astrologicznych*. Aż cały palił się do tego. Dużo słyszał o tym dziele. Właściwie tylko same pochwały. Choć mało było takich, którzy bezpośrednio z tym dziełem się zetknęli, lecz w innych księgach inni autorzy często się na pracę Wymana powoływali. Stąd była ona powszechnie znana.

Pracę Cygana Dziada już dość dokładnie przeczytał. Cygan Dziad pisał w niej, że natura ludzka już taka jest, iż bez wojny człek gnuśnieje. Z tej to przyczyny co najmniej raz na dwa dekamby musi być wojna, bo inaczej lud wyrodnieje. Jeśli bowiem ludzie nie mają wspólnego wroga, to zaczynają nastawać na swych bliźnich, szukając w nich wrogów. Szerzą się morderstwa, gwałty, grabieże. Wojna krew oczyszcza. Po wojnie rodzi się więcej dzieci, i to przede wszystkim chłopców. Taka to już jest ludzka natura. Co ciekawe inne istoty, na przykład elfy lub gnomy, nie mają takiego wewnętrznego, drapieżnego charakteru, jakim odznacza się człowiek. Mogą oni w spokoju żyć wiele lat, gromadząc przy tym wspólnie wypracowane dobra. Lecz wojna oprócz śmierci przynosi ludziom też pewne korzyści. Oto bowiem mogą oni tym sposobem podbijać inne ziemie, brać niewolników, zgarniać liczne dobra materialne. Mogą także tworzyć liczne koalicje z innymi krajami i królestwami. I najważniejszą zaletą tej ludzkiej drapieżności było to, iż z ludźmi trzeba się liczyć i trzeba ich szanować, i to, że to ludzie byli panami i dyktowali swoje warunki, o czym przekonali się boleśnie gnomy z Wysp Gnomów. Oto nawet najłagodniejsze królestwo i tak miało w swej historii wiele przeprowadzonych wypraw wojennych. Ulandia w tym zestawie lokowała się raczej w czole państw agresywnych. Było to jeszcze konsekwencją działań króla Amargadeusza. I choć nie żył on już od wielu lat, lecz tyle dokonał na tym polu, iż to odium agresywnego

państwa cały czas jeszcze kleiło się do dumnej Ulandii. I nic to, że polityka Regenta Kowdlara była raczej pokojowa, że powiększył on snadnie handel z granicznymi królestwami, że wielu ludzi z innych krain mogło swobodnie poruszać się przez ziemie królestwa. Nic to. Matki bowiem w wielu innych ziemiach, by przestraszyć swą krnąbrną dziatwę, i dzisiaj to uciszały je jednym zdaniem: zobaczysz, bo jak przyjdą Ulandczycy. Lamart dotarł też do innego dzieła, tym razem Efereta z Kule, do *Księgi ocalenia*. Filozof ów miał niemal podobne zdanie jak Cygan Dziad na temat wojen. Zauważa on, iż bóg wojny Lohug sprzyja jedynie tym, co gotowi są oddać swe życie dla ratowania ojczyzny. Według niego śmierć w walce z wrogiem królestwa to największy zaszczyt i chluba dla rodziny. Panujący więc, powinni zapewnić swym bohaterom co najmniej to, by wdowy po nich i sieroty mogli żyć godnie choćby tylko na pewnym minimalnym poziomie. Była to dość nowa myśl. Może nie tyle nowa, bo księga była już wiekowa, ale wciąż nowa w tym sensie, iż nadal była tylko ideałem niezrealizowanym w życiu. Teraz to bowiem wdowy i sieroty po wojownikach musiały sobie same radzić. A że życie w tych czasach opierało się głównie na dziedziczeniu fachu po ojcach i dziadach, więc z tej przyczyny chłopcy sieroty najczęściej to sami najmowali się do legionów; a sieroty córki... No cóż, te zazwyczaj kończyły jako sprzedajne dziewczki. Gdyby zaś zrealizować postulat Efereta, przynajmniej sieroty mogłyby zaznać w życiu choć odrobiny szczęścia. Lecz jakże byłoby to kosztowne dla kiesy królewskiej. Dlatego myśl ta wydawała się wszystkim wymysłem, i aż dziw bierze, że przedstawił ją w swym dziele filozof, który w opinii mądrych ludzi uchodził za wyjątkowo trzeźwo opisującego realia świata.

Ojciec Lamarta, Gertak, miał od kilku dni duży ruch w swym warsztacie. Wykańczał zbroje rycerskie, sztukował skórzanymi dodatkami pancerze i naramienniki dla tych, co to szykowali się już na śmiertelną walkę. Z tej to przyczyny w domu oprócz Lamarta była tylko matka, ale ona w kuchni siedziała. Ojciec przesiadywał w swym warsztacie do późnych godzin wieczornych, praktycznie do zapadnięcia zmroku. A Lamart miał teraz przed sobą rozwiniętą księgę Lurycjana. Czytał ją od jakiegoś czasu bardzo uważnie. Filozof może tak nie rozwodził się w swej pracy o ludzkich kategoriach działania, nie pisał o jego naturze zwierzęcia stadnego i o wszystkich tego konsekwencjach, był raczej medykiem, zielarzem i magiem. Więc interesowała go przyroda i minerały, kamienie. A jeśli już człowiek, to głównie jego budowa i funkcje wszystkich jego powłok, ciał energetycznych. Oto Lamart dowiedział się z tej księgi, iż człowiek posiada siedem ciał energetycznych. Ciało fizyczne, potem eteryczne, astralne, mentalne, przyczynowe, Atmana i na koniec ostatnia powłoka to pierwiastek boskości w człowieku, każdym człowieku. Lurycjan każdemu ciału w swej pracy poświęcił osobny rysunek. Łącznikami pomiędzy tak rozumianymi częściami bytu człowieka były, w myśl nauki Lurycjana, czakramy, wiry energii, które transformowały jeden rodzaj energii w drugi. Wszystko to wyglądało na mocno pogmatwane, lecz młodzieniec już, już czuł, że za chwilę będzie umiał w końcu ogarnąć to wszystko w całości. Głównych czakramów było kilkanaście. Lurycjan podkreślał, iż z własnej praktyki wie, jak bardzo niedoceniana jest czakra zwana

czakrą śledziona. Lurycjan pisał o tym z pewnym przekąsem, chwając się równocześnie, że on jest chyba pierwszym, a na pewno pierwszym wśród ludzi, który podkreśla wielką wagę tego wiru energii u człowieka.

Ta jedyna, jak na razie, księga, którą posiadał Lamart, była już dość mocno zużyta. Najpewniej wprzód była ona w posiadaniu niejednego poszukiwacza mądrości. Taka sama księga, lecz znacznie młodsza, byłaby też zdecydowanie droższa niż te kilka talentów, za które zakupił ją Lamart. W tej oto chwili uwagę Lamarta przykuł właśnie jeden z takich rysunków. Był to schemat budowy mózgu. Według Lurycjana w mózgu znajdował się ośrodek humorów. Gdy się śmiejemy lub, przeciwnie, płaczemy, gdy energia nas rozpiera, a nawet wtedy gdy pogrążeni jesteśmy w rozpacz, tym wszystkim właśnie zawiaduje mózg. Przynajmniej według tego filozofa. Nie był to powszechny pogląd, wielu się z nim nie zgadzało. Najczęściej wskazywano, niby w opozycji, wątrobę, jako siedzibę ludzkich nastroi. Mózg zaś ci sami uważali jako miejsce, gdzie mieściła się pamięć indywidualna. To właśnie dzięki mózgowi możemy pamiętać, co wczoraj jedliśmy na obiad. Sam Lamart nie wiedział właściwie, kto w tym sporze może mieć rację. Wszak był on jeszcze dopiero na początku swej drogi filozofa. Tak przynajmniej wymarzył on sobie. Chciał zostać filozofem, magiem i medykiem.

Stali już tak chyba bez mała dwie godziny. Konie zaczęły przebierać nogami. Atagr wściekał się i w duchu przysięgał sobie, że wytrzyma tak jeszcze tylko kwadrans. Stali na leśnym dukcie w samym centrum starej bukowiny. Lecz oto, gdy już myślał o tym, żeby zawrócić, jeden z jego ludzi krzyknął:

- Księżę, chyba ktoś nadjeżdża z przeciwka.

Atagr podniósł głowę, gdzieś tam za zakolem, za drzewami, rzeczywiście, majaczyły sylwetki dwóch lub trzech jeźdźców, którzy nadjeżdżali nieśpiesznie. Trudno to było dostrzec, przecież w borze stali. Jednak Bof, setnik Bof, miał sokoli wzrok. Więc nie było powodu, by mu nie dowierzać.

- Nie śpieszy im się. - Powiedział ponuro do swych ludzi Atagr.

Atagr zaczął poprawiać swoje wierzchnie ubranie. Jego ludzie, niby idąc w ślad za swym Wodzem, również zaczęli machinalnie poprawiać się w siodłach.

- Niepozornie wygląda – Atagr zrobił uwagę, wtedy to, gdy już było dostatecznie dobrze widać nadjeżdżających.

- A to dziwne, Panie, bo Nechici należą do nieułamków. Potężni są. - odpowiedział mu setnik Bof.
- No ale to jest pono książę z urodzenia. A regułą to w życiu jest, iż konusy rządzą innymi, sami nie walczą. - Atagr jakby chciał humorem rozładować tę dziwną atmosferę napięcia. Sam przecież jako książę i Wódz nie był mały, lecz potężny jak gladiator. Jego ludzie jednak byli mocno spięci, może dlatego, iż mieli się spotkać teraz, zaraz, z samym przywódcą powstania niewolników, z Fryelem.

Nadjeżdżający byli coraz bliżej. To było trzech mężczyzn na dość mocno wycieczonych wierzchowcach. Gdy byli około piętnastu łokci od miejsca, gdzie stał Atagr ze swymi ludźmi, tamci zatrzymali się. Ten, co im się wydawało, że to Fryel, krzyknął:

- Czy jesteście emisariuszami Regenta Kowdlara?
- Tak. Jam jest Atagr, syn Kowdlara.

Na te słowa na twarzach przybyłych niby się pojawiła ulga. Fryel zaś wyprostował się na siodle.

- Ja jestem Fryel. Co więc proponujesz, Panie?

Na te słowa Atagr odwrócił się w stronę setnika Bofa, jakby chciał się upewnić, że ma za sobą swych ludzi.

- No cóż, zgodnie z tym, co mi nakazał mój ojciec, mam cię, Panie, odeskortować do prowincji Ver, gdzie uzyskasz azyl i, jeśli bogowie dozwolą, dożyjesz swoich dni. Powiedz mi tylko, co się stanie z twymi ludźmi? Tymi, co zostali we Fluksji i Engorze.

Po tych słowach chmura gniewu przelała się gwałtownie po obliczu Fryela, lecz jednak szybko się on opanował i rzekł:

- Nie ślubowałem im niczego. Walczyli godnie, lecz porządku świata nie są w stanie zmienić – mówił powoli. - Ale i tak śmierć w walce, to najgodniejsza śmierć.
- Ale oni nie w walce lecz na palach skończą. - wyrwało się młodemu Atagrowi.
- Lepsza taka śmierć, niż lata pogardy i upokorzeń – Fryel nie spuścił z tonu. - Panie, jesteś za mało doświadczony życiem, by to zrozumieć – próbował się chyba sam przekonać. - Ci dwoje jadą ze mną – odrzekł na koniec.
- Czy to twoi generałowie? - Atagr pochylił się w siodle.

– To moi zaufani.

To się zdało wręcz niemożliwym, ale, ku zdumieniu Juty, Oland z każdym dniem jakby tracił rok ze swego życia. Mocno schudł, choć przecież miał teraz apetyt za dwóch. Jedyne w czym się ograniczył to było wino. Pod prawym bokiem przestało go poboлеwać. Nabrał też jakiejś takiej energii, rozsadzało go. Już jej to zapowiedział, że za tydzień pojedzie osobiście do Wendy. Już się palił do swej pracy Presurta Królewskiego. Najbliższe otoczenie, rodzina i służba z niedowierzaniem patrzeli na tę metamorfozę Olanda. A ten, jak mu to nakazał Siódmy Elf, zażywał spokojnie swe lekarstwo, a i też sam się nie mógł nadziwić, jak szybko wraca do zdrowia. Już myślał o tym, by otworzyć kopertę od elfa, lecz pomny na jego słowa musiał jeszcze poczekać te pięć dni, które mu zostały do końca kuracji. Na tyle mu bowiem zostało jeszcze tego cudownego leku. A przecież zdało się to, iż Oland będzie się już musiał żegnać z tym łożem padołem; że przyjemności tego świata już nie dla niego są. A oto ta zdumiewająca metamorfoza. Oto jeszcze całkiem młody Oland poczuł, że świat na nowo zaczyna się do niego otwierać razem ze swymi wszelkimi możliwościami. Teraz już to Oland umiał snadnie docenić. Teraz już to Oland wiedział jak to smakować. Poprzysiągł sobie w skrytości, że będzie wielbił teraz szczodroblivość natury i czerpał z niej, czerpał wszystko to, co od niej będzie w stanie zyskać. Bez żadnych skrupułów, lecz z intencją, że będzie te dobra pomnażał i przekazywał wszystkim tym, którzy są na to godni. Już to dziś, i był to znamieny dowód jego zdrowienia, zainteresował się księgami, które miał w swym gabinecie. Było to znamienne. Bowiem do ksiąg zawsze go ciągnęło wtedy, gdy się dobrze czuł. Wtedy, gdy to sama dusza pragnęła strawy. I jedynie mądre księgi oraz modlitwa umiały wówczas zaspokoić tę wewnętrzną potrzebę. Nie było tak już przynajmniej od sześciu, siedmiu lat. A i wcześniej też nie było to częstym. Bowiem Oland, jak sięgał pamięcią wstecz, zaczął pomału popadać na zdrowiu jak jeszcze żył król Amargadeusz. Miał właśnie przed sobą na ławie *Księgę jutra*. Według przekazu były tylko sześć egzemplarzy tej księgi na świecie. A jedynie elfy mogły kopiować ją. Jak sobie przypominał w Ulandii swego czasu miał też jeden egzemplarz Uberyk, lecz co się z nią stało, nikt nie wiedział. Przepadła tak, jak też i przepadł sam Mag Uberyk. Zostało więc pewnie tylko pięć egzemplarzy, w tym oto ta, która teraz leżała przed Olandem. Była napisana przedziwnie. Wierszem. Nie mówiła też wprost to, co autor chciał przekazać. Najpewniej też nie była dziełem jednego mędrca. Pono, bo tak twierdził Mistrz Kapa, najlepiej się czytało to dzieło już po danym wydarzeniu. To właśnie wtedy, bez trudu można było łatwo powiązać fakty z tekstem. Fakty dotyczące królestw, władców i ważnych wydarzeń. Oland kiedyś zdradził się przed Mistrzem Kapą, że ma tę księgę. Mag mu wtedy odrzekł, by lepiej nie chwalił się tym przed nikim. Jak głosiła jedna z legend. *Księgę jutra* mogli mieć jedynie ci, co mieli czystą duszę i prawe serce. Każdy profan mógł liczyć się z tym, gdy ją przechowywał nieprawnie w swym domu, że Ukale, bogini poetów, skrybów i

filozofów, ześle nań czary cierpienia. Jednak to sam Mistrz Kapa, po odprawieniu pewnych ceremoniałów, rzekł mu, że jest godny, by ją posiadać. Choć przecież nikt z żyjących, poza żoną Jutą, nie wiedział, iż Oland był swego czasu Strażnikiem Miłości. Nie wiedział też tego Mistrz Kapa.

Przewijał ją, oglądał. Częściowo była napisana językiem mu niezrozumiałym. Prawdopodobnie językiem elfów. Lecz były fragmenty takie też, które niemal znał na pamięć. Oto jeden mocno mu utkwiał w pamięci, miał go teraz przed sobą na papirusie.

... swą pochodnią rozświetli on drogę dla ludzkości. Rozwiąże zagadki dziś niezrozumiałe, lecz umrze w zapomnieniu i obojętności. I nawet grób jego, kurhan, popadnie w zapomnienie. Jedynie to dzikie lwy tam będą miały swe leże. Lecz w końcu ludzie po wiekach docenią go, docenią Strażnika Miłości. Lecz czy to i tak uratuje szczerp ludzki przed nieodwołalną katastrofą?...

Gdy tak czytał, to aż ciarki mu biegały po kręgosłupie. Czy to o mnie chodzi? A może ktoś jeszcze będzie miał podobną misję? -Pytał sam siebie.

Najbardziej teraz jednak nurtowało go to, cóż zawierał list od Siódmego Elfa. Chciał go koniecznie otworzyć, lecz pomny był na to, iż w takich sprawach należy dotrzymywać słowa. Już nie jedno on w życiu widział, i doskonale wiedział, że cena za złamanie słowa może być w tym przypadku bardzo kosztowna. I tu nie chodziło już tylko o jakieś niebezpieczeństwa związane z samym otwarciem listu. Chodziło raczej o coś, co było ponad realia świata doczesnego. Oland już dobrze wiedział i znał to, iż oprócz naszej normalnej rzeczywistości istnieje też pewna strefa zjawisk ponad naturalnych, których to siły właśnie elfy umiały dobrze wykorzystywać. Tego się głównie obawiał teraz Oland. Więc ani myślał łamać swe słowo. Przyjdzie poczekać jeszcze te kilka dni, a potem sprawa się wyjaśni sama bez żadnej szkody. Obok, poniżej ławy, leżała na dywanie skrzynka, rodzaj większej szkatułki. Otwarta teraz była. To tam też, przykryty ałasową chustą, leżał Klucz Miłości. To tam też leżało *Świadectwo Woli Bogów*. Było jeszcze i miejsce dla *Księgi jutra*.

I co po mnie zostanie? -myślał. - Czyżbym był pustym orzechem, skoro nawet dziedzica nie zostawię po sobie? - I choć niby dobrze się czuł, lecz ogarnął go głęboki smutek. Najędźniejszy człowiek może się poczuć szczęściarzem, jeśli tylko ktoś czeka na niego co dnia, gdy wraca z ciężkiej pracy. Syn albo córka, często bywa że gromadka pociech. Rodzina. Pełna rodzina. I choć życie i bogowie łaskawi dla Presurta byli niepomiernie, Oland czuł dobrze, czego mu tak naprawdę brakuje. A przecież już nie młodzi byli, i on i Juta. Własnych dzieci już pewnie nie mogą spłodzić. Lecz, jak o tym myślał, przyszło mu nagle do głowy, że mogliby z Jutą adoptować jedno lub nawet kilkoro dzieci.

Odłożył więc księgę do szkatuły i zamknął pokrywę. Zamknął złotą kłódką wieko. Wstał i podszedł do okna. W dali las jeno się rozciągał. Las i czyste, błękitne niebo, z puchatymi chmurkami. Cóż też za misję wyznaczył dla mnie los? - pomyślał. Już

niedługo się przekonam.-

Jasny snop przelał się po całej komnacie, lecz wkrótce Słońce znów skryło się za bladym obłokiem. Oland wychylił się nieco za okno. Wciągnął głęboki oddech w płuca. Już za kilka dni dowie się wszak, co się to stanie. Jeszcze tylko pięć dni. Całych pięć dni i nocy.

Kapa chodził niespokojnie po swej grocie. Oto znów Trzy przesłał mu wiadomość, że bogowie ponownie, po tylu latach, wracają na Ziemię. Komunikat był lakoniczny, ale bardzo czytelny. Oto Trzy zapowiedział się, że w najbliższy czwartek przyjdzie z nowymi instrukcjami od Koboka, czyli inaczej od Reptyliana Ulara. Do czwartku zostały raptem dwa dni. Kapa był mocno spięty. Nie chciał pełnić tej niewdzięcznej roli pośrednika między bogami a władcami Ulandii. Wprawdzie księżę Regent wiedział o tym, lecz od dobrych kilkunastu lat kontakty były zawieszony. Za rządów więc Kowdlara nie było ni raz takiej sytuacji, żeby Kobok domagał się czegoś konkretnego od niego. To prawda, iż Kowdlar wiedział, dlaczego te kilkanaście lat wstecz nie doszło do prawdziwej katastrofy w Ulandii, wtedy to, gdy wojska Tukmackie zgromadzone były już u granic kraju. Wiedział, iż to bogowie rozpędzili Tukmaków na wszystkie strony. Ale. No było to ale. To ale, iż Kowdlar osobiście jeszcze nie zetknął się z żądaniami Koboka. A może on je zlekceważy, a może nie będzie się chciał do nich podporządkować? Wszak to wielka różnica być nawet Kanclerzem, a potem już być Regentem, czyli faktycznie samodzielnym władcą. Tym bardziej teraz, gdy świat obiegają informacje, iż powstanie niewolników załamało się. A władcy Engory i Fluksji krwawą ręką zaczęli wymierzać swą sprawiedliwość na tych, co to śmieli się zbuntować wobec porządku tego świata. Ci niewolnicy, którzy ocaleli, uciekają w popłochu na tereny zupełnej dziczy. To fakt, takich ziem nie brakuje w każdym kraju. Ale ci, którzy zostali schwytani lub zostaną jeszcze ujęci, skończą okrutną śmiercią na palu. Tym bardziej więc teraz Kowdlar mógł się czuć bardzo silnym władcą. Może nie będzie chciał on słuchać, co mu bogowie nakażą. A wtedy powtórzy się ta sama sytuacja, jak z królem Amargadeuszem na samym początku, wtedy gdy to jeszcze Abel był emisariuszem od Koboka.

Sam księżę delfin zaś nie był jeszcze uświadomiony w te sprawy. Może to i było teraz lepiej. Lecz jeśli sprawy potoczą się swym zwykłym nurtem, za kilka miesięcy ktoś będzie musiał wprowadzić już wówczas króla Orotoga w te kulisy władzy. I tu również sprawa nie była do końca jasna. Jak zareaguje Orotog? Wszak jest on jeszcze mocno niedoświadczony. Teraz, owszem, wsłuchuje się we wszystkie rady i zalecenia starszych, czyli jego, Kapy, oraz księcia Regenta. Lecz w historii królestwa już tak bywało, iż nowy król zaczynał od tego swe rządy, iż uwalniał się od wszystkich swoich byłych doradców, a ci kończyli albo na szafocie, albo co najmniej na wygnaniu. Oczywiście, w tym przypadku raczej nie wchodziła w grę ta opcja. Lecz i tak nie zgoła przewidzieć, jaka będzie reakcja Orotoga po koronacji. Przecież

jego ojciec, król Amargadeusz, prowadził żelazną ręką swą politykę, a to już było teraz dobrze wiadome, iż Orotog był zafascynowany wszystkim tym, co pochodziło od ojca. Stale pytał się on o swego ojca, przekopał też wszystkie pisane źródła dotyczące czasów rządania Amargadeusza. Miał wszak po nim wiele pamiątek, a także wiele listów i pism, które pozostawił po sobie ten wielki włodarz Ulandii.

Kapa więc chodził po grocie tam i nazad. Nerwy miał napięte. Nie umiał się skoncentrować na jednej sprawie. Sam doskonale jako mag wiedział, jak ważna jest umiejętność koncentracji, skupienia myśli na jednej sprawie, na jednym elemencie. Wydało mu się teraz, że póki nie spotka się wreszcie z Trzy, to nie będzie mógł normalnie funkcjonować. Lecz do czwartku zostały jeszcze dwa dni. I co? Czy te dni będą zupełnie zmarnowane? Na pewno nie będzie mógł z powodzeniem praktykować magii. Pomyślał sobie, że chyba pójdzie do Szkolnicy. To go zawsze odprężało. Gdy zamieniał się w nauczyciela, wtedy dostawał jakby skrzydeł. Może to było jego powołanie. Przecież jako mag miał wiele trosk i napięć, lecz jako nauczyciel zdało mu się, że cały świat mu sprzyja. W Szkolnicy Królewskiej uczył, a jakże, magii, a także astrologii i chirolologii. Oczywiście, nie sprzedawał całej mu znanej wiedzy o magii. Lecz tyle ile mógł, tyle przekazywał swym uczniom. Choć miał ambicję jednak, by Szkolnica była tak ważna jak szkoły elfów. Nie mógł przekazać całej wiedzy o magii, bowiem w Zakonie Czarnego Elfa złożył stosowne śluby, które mówiły, że pewnych spraw bez zgody Zakonu Czarnego Elfa nie może przekazywać innym, w domyśle profanom. Elfy z Zakonu Czarnego Elfa bardzo rzadko dozwalały, by ich nauki mogli poznawać ci, którzy nie przebyli całego cyklu nauczania magii. Nie chodziło li tylko o zatrzymanie tej wiedzy dla wybranych. Chodziło raczej o to, iż magia bez odpowiednich zabezpieczeń w formie błogosławieństw i ślubów była zagrożeniem dla tych właśnie, co to ją chcieli uprawiać bez tych patentów. Mistrz Kapa doskonale wiedział, że magia to materializacja myśli. A więc magią jest prawie wszystko. Wypowiedziane słowo, zrealizowany czyn, dokonana praca. Przecież to wszystko wprzód musiał się zrodzić w głowie. Co jest też znamienne, myśl jednego człowieka działa na wszystkich ludzi a nawet na całą przyrodę. Szczególne praktyki magiczne to jedynie wzmocnienie działania myśli maga. Śluby i błogosławieństwa to zaś postawienie odpowiednio silnego akcentu w myśli, w zdaniu, które się jawi w głowie. Nauka magii zaś to poznanie źródeł tej wiedzy, a także nauczenie się bycia świadomym tego, to woluntarne tworzenie i kierowanie potokiem myśli i czarów. Z tego punktu widzenia Mistrz Kapa nie obawiał się tego, iż to, co nauczy o magii swoich uczniów w Szkolnicy, będzie jakoś mniej wartościowe, od tego czego uczą elfy w zakonie. Nie, najpewniej tak nie będzie. Jednak będzie brakowało w takiej nauce tej kropki nad i. Tych rodzynek i bakalii w cieście. Samo ciasto będzie dobre, lecz w tej sytuacji uczniowie sami będą musieli dotrzeć do pełnej wiedzy. Zajmie im to lata, lecz wytrwali najpewniej osiągną swój cel. Oczywiście, nie wszyscy uczniowie Szkolnicy są zainteresowani tym, by zostać magami. Część z nich chce być tylko ważnymi urzędnikami na dworze królewskim. Część z nich chce zostać filozofami, część medykami, a część chce zostać nauczycielami. Nie u każdego istnieje ta skłonność, by kształtować magiczną

rzeczywistość. Choć samemu Kapie zdało się to niepojętym, iż nie wszyscy chcą zostać magami. Przecież magowie tak wiele mogą. Mogą zmieniać świat podług własnych potrzeb. Nagle stanął przed obrazkiem, który dostał kiedyś od Trzy, jako dowód jego związków z bogiem Kobokiem. To właśnie o tym wizerunku malarz nadworny Yust swego czasu miał powiedzieć, że nie mógł on powstać z ręki człowieka. Yust już dawno był na Polach Kerdolota, lecz obrazek jak był wprzód, tak i był teraz. Mistrz Kapa patrzył na to dziwne oblicze boga Koboka. Dziwnie owalna, duża głowa zupełnie pozbawiona włosów. Duże, czarne oczy. Bardzo mały nos, wręcz dwa wąskie nozdrza zamiast nosa. Tak oto, według tego obrazku oraz według tego, co twierdził Trzy, wyglądał ten, który dysponował mocami wręcz niepojętymi. Jak twierdził Trzy, dla Koboka jedno życie człowiecze, czyli średnio około trzy dekambry, to było tylko tyle co jeden dzień. Ponadto Kobok nigdy nie miał żadnych boleści. Jego normalnym stanem, przynajmniej według Trzy, była chłodna obojętność. Kobok nie emocjonował się niczym. Nie przejawiał też żadnych typowo ludzkich emocji i uczuć. Według Trzy, Kobok wprzód wiedział już, co kto myśli lub co kto chce powiedzieć do niego. Mistrz Kapa doskonale wiedział, iż Kobok i jemu podobni bogowie, to byli, co dowiedział się jeszcze od Abela, Reptylianie. Jak twierdzą tajne księgi, Reptylianie swój ród wywodzą wprost ze smoków. Lecz powstałi oni tak dawno i tak dawno temu stworzyli swą potęgę, iż nie pozostało po tym żadnego śladu. Kobok i jemu podobni bogowie na swych latających rydwanach przemierzali cały świat. Byli to albo na Ziemi, albo na Księżycu, lub nawet na innych planetach. Wszędzie tam mieli swe siedziby i pałace. Najszybszy galop konia, to dla rydwanów Koboka podobny on był do tempa ruchu ślimaka. W dwie minuty Kobok mógł być na Ziemi lub na Księżycu. Trzy, w czasie jednej ze swych wizyt w grocie Kapy, przyznał dość szczerze, a na pewno niespodziewanie, iż nigdy nie widział, by Kobok cokolwiek jadł. Widział też on jedynie może raz czy dwa, jak Kobok pił przy nim czystą, źródlaną wodę. Tylko tyle. Kobok miał w swoim dworze wielu ludzi. Byli podobni oni do Trzy lub do Abela. Zawsze lojalni, zawsze oddani. Tak jakby Kobok miał specjalny sposób na to, by ludzie ci robili tylko to, co on sobie życzył. Ludzie ci latali z nim jego rydwanami. Pełnili wszystkie te misje, konieczne w jakiś sposób i potrzebne dla boga. Tak jak Trzy i Abel posyłani oni byli z misjami do swoich ludzkich ziomeków. Ale jednak, i to chyba było dość ważne, Kobok bardzo rzadko ingerował w życie ludzi na Ziemi. Tak jakby przypatrywali się oni tylko, ci bogowie, jak to ludzie radzą sobie w swym życiu na tym łez padole. Mistrz Kapa wziął do ręki ten wizerunek boga Koboka. Przesunął się bliżej świecy, tak by światło rozświetliło bardziej ten obraz. Nawet teraz, z tego obrazku emanowała jakaś dziwna, niepojęta moc i energia. Kapa poczuł ciarki wzdłuż kręgosłupa. Bóg Kobok miał na pewno hipnotyzujące oczy. Kapa poczuł lekki zawrót w głowie. Szybko więc cofnął rękę. Położył portret boga na swe dawne miejsce. Bogowie więc wracają. Po tylu latach. Prawie po całym dekambriem. Co to będzie więc teraz będzie? - czuł zimny pot na plecach. - Czego oni będą znów chcieli? Gdy ten dekambr temu straciło życie tyle tysięcy niewolników w swej zagadkowej misji, wiele to było smutku i żałoby w ich domach. To co że to byli niewolnicy. Większość

z nich miała wszak swe kobiety a nawet swe dzieci. Byli to przecież wszystko mężczyźni z krwi i kości w swym apogeum żywota. Pozostawili więc po sobie sieroty i kobiety w żałobie. Kapa jedno wiedział. Ludzie, którzy przebywali w otoczeniu Koboka i innych bogów, to nie byli dobrzy ludzie. Dla nich życie i cierpienia innych nic nie znaczyły. Być może wynikało to stąd, iż przebywając w bliskości bogów do cna wyzuli się z wszelkich złudzeń, jakoby dobro popłacało. Przecież widzieli dobrze do czego byli zdolni bogowie, ci cali Reptylianie. Jak w przyprawie szczerość Trzy powiedział Kapie, te cztery tysiące niewolników poniosło śmierć tylko dlatego, iż beczki, które oni przynosili emanowały niedobłą, zjadliwą energią. Nic ich nie mogło uratować. I doskonale wiedział o tym Kobok, i oni, ludzie Koboka, tacy jak Trzy, także wiedzieli dobrze o tym. W tych beczkach zaś było to, co sprawiało, iż rydwany bogów, ludzie często nazywali je karocami, mogły się przemieszczać. A właściwie w tych beczkach, które niewolnicy przynosili na swych barkach, były resztki, było to, co zostało po użyciu w rydwanach. Jak pamiętał Kapa, Trzy użył sformułowania: paliwo. Resztki po paliwie. Do dziś Mistrz Kapa zupełnie tego nie rozumiał. Lecz Trzy mu rzekł, iż tak jak koń potrzebuje obroku, by pracować, tak rydwany bogów, w tym karoca Kerdolota, potrzebują paliwa, by móc pracować. A że tego odpadu po paliwie zebrano się za dużo, więc Kobok postanowił się go jakoś pozbyć. I dlatego to potrzebował robotników, czyli tych niewolników. Trzy także powiedział Mistrzowi Kapie, iż te odpady zostały złożone między innymi w kopalni soli w Puku. I radził on Kapie, by nigdy, przenigdy nie odwiedzał tych stron, jeśli chciał pozostać przy zdrowiu. Te ziemie były bowiem zabrudzone tą zjadliwą energią, jak powiedział Trzy, aż do dwudziestu staj od kopalni. Z tamtejszych lasów to nawet grzybów nie można było spożywać. Przynajmniej tak utrzymywał Trzy.

W rzeczy samej, Kapa to wiedział, bo pytał się samego księcia Regenta, od tamtego lata ludność, która zamieszkiwała wokół dawnej kopalni, zaczęła dziwnie chorować, ludzie wymierali. Przedtem jednak cierpieli straszne męki. Rodzić się tam zaczęły często potworki, i to nie tylko u ludzi, ale także wśród zwierząt. Ci, co pozostali przy zdrowiu, chyba pomału zaczęli kojarzyć to, iż cierpienia te zaczęły się od owego feralnego lata, gdy zamknięto kopalnię. Niektórzy widzieli nawet wtedy, tego lata, karoce bogów, które krążyły wokół kopalni. Co mądrzejsi więc pakowali manatki i pomału wynosili się całymi rodzinami stamtąd na zawsze. To była dla nich ziemia przeklęta.

Lamart siedział razem z innymi chłopcami w tej wielkiej sali Szkolnicy Królewskiej. Słuchali wykładu, który tym razem prowadził sam Erej. Królewski Nauczyciel Erej omawiał zastosowania logiki w naukach oraz w życiu codziennym. Erej mówił już tak co najmniej trzy kwadransy, a zapowiadało się, że może i więcej. Choć przecież mówił ciekawie, to jednak Lamartowi w pewnym momencie się zdało, że zaraz zaśnie. Erej w swym wykładzie przytaczał opinie Efereta z Kule, a także, co niemal

czynił zawsze i wszędzie, Cygana Dziada. W ogólności nie będzie odbiegało od prawdy to, iż Erej za najmądrzejszą księgę napisaną przez człowieka uważał dzieło Cygana Dziada *O bycie kilka słów*. Wszyscy to doskonale wiedzieli, że Erej właśnie siebie uważał za bezpośredniego kontynuatora nauk Cygana Dziada. Po prawicy Lamarta siedział Koli. Widać było, że Koli chłonał wszystko to, co mówił Erej. I to z zapartym tchem. Miał wręcz usta otwarte, tak jakby chciał tą drogą połykać nauki swego mentora.

Lamart nigdy przedtem nie widział swego druha aż tak skupionego i w pełni zaangażowanego na odbiór treści, które przekazywał nauczyciel. Regułą było raczej to, iż Koli na wykładach wygłupiał się, czym skutecznie rozpraszał Lamarta i najbliższych siedzących. Może wynikało to po części stąd, iż Koli był przecież stronnikiem Ereja na terenie Szkolnicy. A może po prostu z tego, iż Erej mówił naprawdę ciekawe rzeczy. Lamart, widząc zaangażowanie przyjaciela, chciał mu, i to właśnie on, zrobić teraz jakiś kawał. Może go czymś przestraszyć?! Lecz nic sensownego nie przychodziło mu do głowy. A tym samym mógłby się przecież przy tym zrewanżować choć po części za te wszystkie kawały, których prowodyrem był zawsze Koli.

Choć po prawdzie Koli jakby się trochę zmienił od kilku dni. Odkąd pospłacał wszystkie długi tym, którym zalegał za nie dostarczoną tobaccó, spoważniał. Jak powiedział szczerze Lamartowi, podobno jego życie wisi na włosku. To go chyba zmieniło. Dotąd był przykładem żywego i inteligentnego chłopca, wręcz chuligana, który zawsze miał na podorędziu jakąś psotę. A teraz to Lamart nie poznawał tego samego Koli. Koli był inteligentny. Bardzo inteligentny. Przecież tylko tacy byli uczniami Szkolnicy. Oni byli wybrańcami spośród wybrańców. Lecz teraz to właśnie tak bardzo dotarło do Lamarta, dotąd uważał Kolię tylko za wybitnego wesółka. Teraz zaś mógł docenić walory umysłowe swego jedyne go druha spośród uczniów Szkolnicy Królewskiej.

Na sali tej takie minimalne echo podążało za Erejem. Chłopcy, wszyscy chłopcy śledzili wywody nauczyciela: -

- ...logika ma największe zastosowanie – mówił ze swadą Erej – w codziennym życiu. Gdy z kimś rozmawiacie, to, chcąc, nie chcąc, musicie stosować reguły logiki. Gdy kupujecie jajka na targu, to musicie zamienić kilka słów z kramarzem. Lecz to są zwyczajne sprawy. Ja teraz wam podam jednak taki przykład zastosowania logiki, który po dziś dzień nie rozwikłał żaden uczoney mąż. A i ja tego nie umiem. Jeśli któryś z was będzie umiał tego dokonać, to, wierzajcie mi, od razu mianujemy go, ja i władze Szkolnicy, Magisterem i już nie będzie musiał odtąd uczyć na wykłady, a także zdawać egzaminów. Słuchajcie więc, co teraz powiem. Oto mówię: ja zawsze kłamię. Słyszeliście, więc teraz pytam się was, czy ja mówiąc: ja zawsze kłamię, mówię prawdę lub czy kłamię? Kto to rozwikła, od razu jest Magisterem. Słucham więc, zna ktoś odpowiedź? ...

Erej zrobił znaczącą pauzę. Zapadła cisza. Wszyscy uczniowie niby chcieli się zapaść pod ziemię, a przynajmniej starali się być na swych ławach jak najmniej widocznymi. Lamart takowoż miał minę nieszczególną. Koli jeszcze bardziej rozdziawił usta.

- No widzicie, na swój tytuł Magistera jednak będziecie musieli poczekać i to dość długo. - Mówił Erej, uśmiechając się przy tym szczerze. - Oto temu zdaniu. Zdaniu : ja zawsze kłamię. Nie można przypisać żadnej wartości logicznej, nie można go poddać osądowi. Nie było człeka i taki się nigdy nie urodzi, który rozwiązałby tę antynomię.

Lamart napisał sobie na papirusie węglowym rysikiem: **ja zawsze kłamię**. Spojrzał uważnie na to swoje dzieło i postanowił całą swoją mocą umysłu skupić się na tym zdaniu. Słowa Ereja już prawie do niego nie docierały, choć tamten cały czas kontynuował swój wykład. Myślał cały czas o tym zdaniu. Koli zauważył, że Lamart jest już tu prawie nieobecny, spojrzał mu przez ramię, szepnął:

- To paradoks kłamcy, nie rozwiążesz go. Nie ma sposobu.
- Ci...- syknął Lamart. - Nie pomagaj mi.

Nagle jakby jakiś przebłysk geniuszu przeszył Lamarta.

- Panie! - Lamart krzyknął z ławki w stronę Ereja.
- No, co chłopcze? Chcesz wyjść za potrzebą?
- Nie, Panie, chyba znalazłem jakieś rozwiązanie tej antynomii.

Erej z niedowierzaniem spojrzał na Lamarta. Potem rzekł:

- To mów.
- Panie, rozwiązanie jest takie, iż nie można zawsze kłamać, można jedynie zawsze mówić prawdę. Niepodobna zawsze kłamać, jest to niemożliwe.

Na te słowa Lamarta, Erej chwycił się w zdumieniu za głowę. Tak jakby się bał, że straci duszę.

- Niebywałe !- wyrwało mu się tylko z ust.

Kowdlar i Atagr grali w kiht. Na kwadratowej planszy każdy z grających miał swoje bierki. Zasada gry sprowadzała się do tego, by wybić jak najwięcej bierok przeciwnika. Przegrywał ten, który stracił wszystkie swoje pionki. Grali tak już może z godzinę. Książę Regent był powszechnie znany jako dobry gracz. Nauczył się grać w kiht jeszcze jako rycerz. Gra była niby prosta, lecz całe jej piękno zawierało się właśnie w tej prostocie, która sprawiała, że trzeba było być prawdziwym mistrzem, by w tę grę wygrywać. Kowdlar lubił grywać ze swym synem. Lata temu, to z reguły on wygrywał, lecz teraz jakby role się odwróciły. Kiedyś, gdy mały Atagr z płaczem przegrywał, Kowdlar, by uspokoić syna, pozwalał mu bawić się Kapatoką, swym mieczem rycerskim. Teraz, gdy regułą było, że to Kowdlar przegrywał, Atagr, by uspokoić ojca, odpowiadał mu ze szczegółami, co też razem robią on i książę delfin. Więc teraz Kowdlar dowiadywał się, gdzie młody delfin lubi najchętniej łowić ryby, jacy gladiatorzy są jego ulubionymi, gdzie można jeszcze upolować dorodne jelenie. Były to więc dość pełne relacje z życia następcy tronu, lecz zupełnie bezużyteczne jeśli chodzi o ich formalną wartość dla, było, nie było, księcia Regenta.

I dziś zanosilo się, że Kowdlar przegra, tym samym dowie się nowych plotek o Orotogu. A może robił to naumyślnie. Może chciał tą drogą dowiedzieć się o życiu delfina. A przecież miał wszędzie swoich szpiegów. I choć tak narzekał na szambelana Obika, twierdząc, iż stworzył on całą sieć wywiadowczą na Zamku Królewskim, lecz po prawdzie dla Regenta wszak pracowało więcej agentów. Ha! Nawet część agentów Obika pracowało tym samym dla Kowdlara i, odwrotnie, część zaufanych szpiegów Kowdlara chętnie też pracowało skrycie dla szambelana. A mimo to, książę Regent chętnie nastawiał ucha, gdy jego syn opowiadał mu o swoich przygodach odbytych razem z następcą tronu. Jedno można rzec, życie księcia Orotoga było radosne i nie pozbawione uroku. Czy tak samo nieskomplikowane będzie życie króla Orotoga? Regent Kowdlar powątpiewał w to mocno. Zbyt dobrze poznał on na własnej skórze, jakie to są uroki władania, i to tak dużym krajem, jakim była Ulandia. Lecz na razie, nie ci młodzi bawią się jeszcze życiem. Już za parę miesięcy najpewniej Atagr się ożeni z Alekdą. Skończy się więc tym samym jego sielankowe życie. Takie miał plany Kowdlar. I wszystko na to wskazywało, że tak właśnie się stanie. Oto bowiem, co było już powszechną wieścią w Wendzie, młody Atagr rozkochał w sobie jeszcze młodszą Alekdę. Tym samym krew Elubedy zmiesza się z krwią Kowdlara. Tym samym wieczne przymierze poety i rycerza, nabierze nieśmiertelnego charakteru. Stanie się to tym bardziej, jeśli tylko Kowdlar doczeka się licznych wnuków. Choć śmierć blisko Kowdlara już była, to miał on jeszcze tę nadzieję, że będzie mógł trzymać w rękach choć jednego swego wnuka. Dajcie bogowie, że chłopca. A potem pójdzie już na spotkanie swym przodkom, i na spotkanie swego przyjaciela Elubedy. I będą tam mogli na Polach Kerdolotach, w jakiejś niebiańskiej karczmie, wypić znów razem niejedną kufel piwa, a może do tego jeszcze puchar wina, niech będzie to nawet najkwaśniejszy cienkusz, byle tylko byli znów razem. Niech wtedy ponownie Elubed mu zaśpiewa swe pieśni, swą poezję, a dewy niech zagrają rzewnie na rozstrojonej czasem kitarze. I dusze tych, co to już na Polach Kerdolota bytują, znów niech otoczą poetę ciasnym kręgiem. Tak, by nie

uronić ni żadnego pięknego słowa. A potem powszechnym aplauzem i oklaskami dadzą najpewniej wyraz temu, jak bardzo im się to podobało.

Grali więc tak nieśpiesznie. Po ruchu Kowdlara, Atagr robił swe posunięcie. Słońce rozświetlało arenę ich zmagania, czyli dość starą, wysłużoną szachownicę. Zanosiło się, że i dziś Atagr pokona swego utytułowanego przeciwnika. Kowdlar miał więc nieszczęśliwą minę, ale starał się, pomimo tych przeszkód, zachować spokój. Nie lubił on ci przegrywać, nawet na zwykłej szachownicy. Jest jednak chyba sporo w tym racji, co mówią filozofowie, a o czym przekonywał się teraz boleśnie Regent, że z wiekiem tracimy nie tylko sprawność fizyczną, ale też mniej efektywniej przychodzi nam myśleć. Atagr zaś był szczerze zadowolony z przebiegu tej rozgrywki. Czasami, na ruchy ojca, na twarzy pojawiał mu się tak szybki jak błyskawica uśmiech politowania, który równie szybko znikał. Nie śmiał on jednak w żywe oczy naśmiewać się z ojca, lecz szczerze mierzyły go niektóre ruchy Kowdlara. Myślał sobie czasem, że dziecko by lepiej kombinowało. Lepiej niż władca Ulandii. I w jego rękach leżał oto los całego kraju? Tak myślał sobie Atagr, widząc, co na szachownicy wyprawia Kowdlar.

W pewnym momencie Kowdlar rzekł do syna:

- I jak tam twe sercowe sprawy, synu?
- To znaczy?
- No, kiedy znów pójdziesz do Alekdy? - powiedział Kowdlar znad szachownicy.
- Jutro, dziś już byłem tam. Matka Alekdy jest coś chora. Gorączkowała.
- Geldera chora? Czy to coś poważnego?
- Ojczy, medyk twierdzi, że choruje ona na płuca. Lecz rokowania są dość dobre. Alekda nie martwi się o matkę, tym bardziej, iż jakby przeszła ona już przesilenie, i teraz pomału dochodzi do siebie.
- To dobrze, synu, dobrze – powoli odrzekł Kowdlar, równocześnie rozmyślając nad swoim posunięciem. - To bardzo dobrze – jeszcze raz się powtórzył. - Kiedy się więc w końcu oświadczysz Alkadzie? - Kowdlar spytał niespodziewanie, równocześnie wykonał ruch na szachownicy.
- Myślę, że niedługo.
- Niedługo, mówisz. Pamiętaj też o tym, że niedługo to ja jeszcze pożyję, więc staraj się, bym mógł jeszcze być na weselu.
- Co ty mówisz, ojczy? Przecież nie jesteś chory.
- Synu, ja jestem już tak stary, iż mogę się po prostu nie zbudzić już po wieczornym spoczynku. Bierz na to poprawkę, więc pośpiesz się z tym ślubem, bym i ja mógł się jeszcze radować twym szczęściem.

Zapanowała znów cisza nad szachownicą. Teraz to jednak nad ruchem dumiał Atagr. Lecz młody szybko dostrzegł cienie poprzedniego ruchu ojca. Widział dobrze, iż w

tej rozgrywce ojciec już jest zgubiony. Już za chwilę Atagr zbije mu ostatnie piony. Gdy jednak już chciał wykonać ruch, ojciec nagle spytał:

- Powiedz mi, synu, a ten Fryel, co to za człowiek? Jakie sprawia wrażenie?
- Taki niepozorny on jest – mówił Atagr. - Nie wyczułem jednak u niego ni fałszu, ni obłudy. Sprawiał wrażenie człowieka uczciwego. W ogóle to prawie ze sobą nie rozmawialiśmy. To on milczał. Chyba mocno przeżywał tę swoją rejteradę. Przez swoich już na zawsze będzie uważany za zdrajcę.
- No tak, synu, racja. Tym bardziej, iż, jak donoszą mi w raportach, powstanie dogorywa. Atapu II krwawo rozprawia się z powstańcami. Drzewa brakuje na krzyże i szubienice. W każdym razie, gdyby księżę Orotog cię pytał o te sprawy, zachowaj milczenie. Ty nic nie wiesz, wykonywałeś tylko moje rozkazy. Do koronacji jeszcze prawie trzy kwartały, nie musi więc wszystkiego wiedzieć. Na razie jeszcze. Niech raczej śle umyślnego do córki Norgula, do królowy Polory. Teraz, gdy powstańcy przegrali, nastał dobry czas na królewskie zaloty.
- Ha, ha, ha. Ojczy, ty na starość zamieniasz się powoli w rajfura.

I Kowdlar na te słowa uśmiechnął się szczerze. W rzeczy samej na stare lata przyszło rycerzowi swatać wszystkich dokoła. Lecz zaraz też szybko opanował się, tak by zachować cały autorytet. Powiedział tylko:

- To ważne, synu. To naprawdę ważne. To chyba najważniejsza rzecz w życiu. To, by mieć rodzinę. W każdym królestwie, w każdym księstwie, na każdym stanowisku. Tak to już jest stworzone przez bogów. Tym bardziej ja mogę coś na ten temat powiedzieć, bowiem to właśnie ja chcę cię ustrzec przed tymi błędami, którym ja sam uczyniłem.
- Wiem, wiem, ojczy, zawsze powtarzasz, że za długo zwlekałeś z ożenkiem.
- No tak, potwierdzam to. I dlatego chcę cię ożenić, gdyś jeszcze młody.

Na chwilę Kowdlar znów zamyślił się nad szachownicą. Atagr już wiedział, jak zakończy rozgrywkę, dlatego beztrąsko zerkał, co też za oknem, obserwował ptaki. To była już dla niego prosta kombinacja. Najpewniej i Kowdlar wiedział już, że znowu przegrał, dobrze że tylko na szachownicy, dobrze też że tylko ze swym synem.

Spłowiąłe skały. Z tego wzniesienia doskonale było widać, gdzie kończy się oaza. Potem to już były tylko spłowiąłe skały. Oland stał na najwyższym chyba punkcie wzniesienia i obserwował ten beżowy horyzont. Już dawno tu nie był. Jeszcze miesiąc wstecz nie wychodził wcale ze swojej alkowy. Teraz po kuracji, którą zawdzięczał Siódmemu Elfowi, czuł się świetnie. Zgubił także przy tym z czterdzieści pundów. A i tak czuł, że nadal traci wagę. Jeszcze z dwa tygodnie i wróci do swej młodzieńczej sylwetki. Nie umiał się już wręcz doczekać na to. Tydzień temu był pierwszy raz od dawna w łożnicy Juty, i to nie po to, by tam snu zażywać. Ona przyjęła to dość lekko, chyba jej tego brakowało od wielu lat. Później, rano, po upojnej nocy, sama mu przygotowała na śniadanie jajecznicę z kielbasą, do tego złociste podpłomyki. Dzisiaj było dość słonecznie i ciepło, ale zwykle w Pustyni Róży była właśnie taka pogoda. Lecz teraz Oland był w tak dobrej formie, iż skwar wcale mu nie przeszkadzał. Przy sobie miał bukłak z wodą. Co jakiś czas upijał łyk. Ścierał pot z czoła i szedł, jak gdyby obchodząc swoje dobra. Towarzyszyły mu tylko dwa psy, wielkie wilczury. Zwierzęta zawsze chętnie z nim przestawiały, nie zmieniło się to nigdy od wczesnego dzieciństwa do teraz, nawet wtedy, gdy skończył swą misję Strażnika Miłości, było tak. Nawet wtedy, gdy był ciężko chory, było tak. I tak najpewniej będzie do końca. Oaza, w której był pałac, siedziba Presurta Olanda, nie była mała. O to zadbał jeszcze hrabia Kuzi za swego życia, a może nawet jego przodkowie. Dlatego miał ten bukłak z wodą, bo to już dobre dwie godziny upłynęło, odkąd włączy się po oazie. Chciał to zrobić już od dawna, chciał jeszcze raz przejść wzdłuż i wszerz swą posiadłość, choć tak niedawno był niemal pogodzony z tym, że mu to nie będzie już dane. A dzisiaj naprawdę tego dokona. Najpewniej tak się stanie. Dusza więc mu radowała się. Na swym obliczu miał radosny uśmiech. Przyrzekł więc sobie, że jak dziś wróci do pałacu, po tym obchodzie, to w końcu otworzy to pismo od Siódmego Elfa, i wreszcie pozna swą nową misję. Znowu zmierzy się z tym, co mu los zgotuje.

Powoli zaczął schodzić z tego wzniesienia, skąd obserwował swoje włości. Już za niespełna tydzień wróci do Wendy. Ma kilka spraw urzędowych. Dotąd jego obowiązki na urzędzie w stolicy pełnił nieformalnie Puto. Lecz oto przyszła ta pora, iż to znowu Oland zasiądzie na swojej ławie w Radzie Kanclerskiej. Książę Regent, choć przecież miał takie uprawnienia, nie zdjął go z tej funkcji, choć dobrze wiedział, że z Olandem niedobrze dzieje się. Być może myślał, że po jego rychłej śmierci będzie mógł osadzić na tym stolcu jakiegoś swojego człowieka. Nigdy nie było też, po prawdzie, żadnego konfliktu między Regentem a Presurtem. Najpewniej związane to było z tym, iż kompetencje Presurta były zgoła inne niż Regenta i odwrotnie też tak było. Nie wchodzili więc sobie nawzajem w paradę. A spraw gardłowych jakby z czasem przybywało. Być może związane to było z tym, iż dawno już nie było żadnej wojny. Wojny, mimo całego swego okrucieństwa, czyszczą krew w narodzie. No tak, było powstanie niewolników zupełnie nie tak dawno. Ale nie dotarło ono na ziemię Ulandii, pomimo całej swojej gwałtowności. Zuchwałców więc, co to chcieli wzbogacić się na cudzej krzywdzie, przybywało. Jednak sprawami gardłowymi zajmował się od kilku lat Puto, zastępca Olanda. Co tydzień były jakieś egzekucje na

Solnym Rynku w samym centrum Wendy. Koniokradzi, złoczyńcy, a także mordercy, skrytobójcy i ci co fałszowali piwo kończyli w końcu zawsze na stryczku. Nie było dla takich litości. Takie to czasy. Egzekucje wszak były też jedną z głównych atrakcji w mieście. Nie brakowało nigdy gapiów. Można nawet rzec, że dużą sztuką było dostanie się na dobre miejsce widokowe, skąd można było swobodnie obserwować egzekucje. Tej to właśnie rozrywki dostarczał plebsowi Wendy urząd Presurta Królewskiego.

Ten cały obchód włości zajął Olandowi dobre pięć godzin. Robiła się już szarówka na dworze, gdy zdejmował sandały na progu pałacu. Lecz nosem mógł to dobrze wyczuć, iż pałacowa kuchnia, najpewniej zgodnie z wolą Juty, szykowała dla niego jakieś specjały. Był tak zmęczony i głodny, że zjadłby nawet całego tura z rogami. Lecz nos podpowiadał mu, że najpewniej przyszykowano dla niego piezonego świniaka. Odkąd doszedł do zdrowia jadł więcej, ale o dziwo nie przybierał na wadze, lecz wręcz odwrotnie tracił zbędne pundy tłuszczu. Ponadto wyostrzyło mu się niebywale podniebienie. Ta gama smaków, którą teraz czuł, jedząc nawet najprostszy posiłek, bodaj nawet zwykłe podplomyki, sprawiała mu taką rozkosz i satysfakcję, iż nic nie można było z tym porównać. Nawet w młodości jadło nie było dlań tak smakowite jak teraz. Szybko więc uporał się z sandałami i poszedł prosto do swego gabinetu. Chciał jeszcze przed posiłkiem otworzyć pismo od Siódmego Elfa. Precyzyjnie otworzył kłódkę, co to broniła dostępu do jego tajemnicy. Otworzył wieko skrzyni i wziął do ręki zalakowane pismo. Bez zbędnej refleksji złamał pieczęcie i otworzył list.

Biali Bracia tako rzeczą.

Wybrańcze. Poznaj więc teraz, z mocy Białych Braci, tę wolę, jaką przekazują tobie oni. Ty jeden oto bowiem możesz to uczynić, by uratować królestwo, by uratować potomka z rodu Arena, Orotoga syna Amargadeusza. Czas próby nastanie. Moce ciemne będą chciały zniweczyć boże dzieło. W kronikach Akaszy to już zapisane. Prządki Ewale, co to tkają ludzkie przeznaczenie, dobrze już to wiedzą, iż morze krwi zostanie utoczzonej; że brat przeciw bratu stanie, a syn przeciw ojcowi. Słuchaj więc, co masz czynić. Słuchaj więc, jaka będzie twa nowa misja. Oto masz trwać przy boku Orotoga, oto masz go chronić mimo wszelakich niebezpieczeństw. Gdy zrobisz tak, gdy się nie przelękiesz, choć będziesz musiał pokonać zło wszelakie, uratujesz jednak Orotoga, dziedzica, uratujesz królestwo. A nagroda cię także nie minie. Słuchaj, jeśli dokonasz tego, Chronora to sprawi, że doczekasz własnego potomka. A sława twa przez wieki trwać będzie u ludzi. Bajarze będą opisywać twe czyny, i wszędzie, w całym królestwie, twa wierność będzie słusznie wielbiona.

Oland, czytając to, czuł, że policzki i czoło ma całe rozpalone. Drżącymi rękoma nalał sobie do terakotowego kubka odrobinę źródlanej wody. Wypił duszkiem. Ręce mu się cały czas trzęsły. Odłożył pismo na stół. Nabrał głębokiego oddechu. To go trochę uspokoiło. Trochę, ale nie dużo. Jeszcze raz wziął do ręki pismo. Jeszcze raz, teraz już znacznie wolniej, przeczytał treść tego listu. Och, gdyby nie dostał go od samego Siódmego Elfa, mógłby to zlekceważyć. Jednak nie w tym przypadku. Nieciekawie to wyglądało. Przecież teraz nie był już młodym chłopcem, który nie zna jeszcze dobrze tego, jaką stawką jest życie. Trudno mu było sobie siebie wyobrazić, że rzuca na jednej szali cały swój dorobek, a na drugiej, iż angażuje się w tak trudnej misji. Ale jednak, uznał po chwili namysłu, chyba tak musi się stać. Nie ma siły, nie ma innej opcji. Potomek? - pomyślał. - To dobra cena. Ktoś po mnie pozostanie. - rozważał. Schował więc list od elfa w swej tajnej skrzyni. Zamknął ją na kłódkę. I przesunął pod komodę, tak by jej nie było widać. Jedyne wnioski jakie wypływał z listu to to, iż Orotog będzie miał, i to już wkrótce, spore kłopoty. A i sam Oland zanurzy się po szyje w tym ambarasie. Lecz trzeba będzie stawić odpór temu złu, co się szykuje nad Ulandią. Tylko kto był wrogiem? Z kim oni będą musieli walczyć? Tego pismo w sposób jasny nie określało. Wyglądało na to, iż wróg wykona pierwszy swój ruch, i dopiero po tym poznają, kto jest przeciwnikiem Orotoga i jak z nim należy skutecznie walczyć. Jak uczy strategia walki, najlepiej jednak walczyć tak, gdy atak staje się obroną, gdy jest się aktywniejszą stroną konfliktu. Gdy uprzedzi się działania wroga. Nie będzie im to jednak dane. Więc koszty tego mogą być dla Orotoga i całego królestwa znaczne. Teraz księżę delfin dorósł. Jak długo będzie trwała jeszcze ta sielanka? Lecz najlepiej będzie nie przeszkadzać mu w tym. Na pewno Oland nie miał zamiaru teraz pędzić do księcia delfina, by go uprzedzić o niebezpieczeństwie. Niech się najpierw stanie. Niech zło się ujawni. Zostały, Oland przypuszczał, im jeszcze trzy, może cztery miesiące spokoju. Bardzo możliwe, iż przeciwnik ujawni się dopiero po koronacji. Bardzo możliwe, lecz nie pewne. Jedno było raczej pewnym, iż to nie Kowdlar jest tym zagrożeniem. Nie Kowdlar, ani nie Atagr jego syn. Kowdlar był bowiem zbyt stary, już teraz pragnął szczerze pozbyć się tego jarzma, jakim była władza. Obik? Nie, chyba nie on, wszak był on najbardziej zaufanym Amargadeusza. I to ze względu na pamięć Amargadeusza należy Obika z tej listy wykluczyć. Więc w końcu kto może być tym przeciwnikiem? Kto może zagrażać Orotogowi i jego sukcesji tronu? Oland cały czas rozważał to, lecz nic mu sensownego do głowy nie przychodziło. Może zwrócić się z tą sprawą bezpośrednio do księcia Regenta? Przyszło mu nagle do głowy. Lecz jeśli byłoby to celowym, to przecież Siódmy Elf zrobiłby wprzód tak najpewniej. Wygląda na to, iż to tylko on, Oland, miał być najbliższym sojusznikiem młodziutkiego Orotoga. A przecież, jak sam o sobie myślał, nie był biegły ni w fechtunku, ni w walce wręcz, nie posiadał też wielkiej mądrości, nie miał umiejętności maga, nie władał czarami i tajnymi mocami. Co on miał takiego w sobie, iż znowu to jemu bogowie powierzyli odpowiedzialną misję? Tego Oland nie mógł wiedzieć, ale najpewniej tym powodem było jego czyste serce. To czyste serce kiedyś sprawiło, że był Strażnikiem Miłości. I to czyste serce sprawia, że i dziś musi stanąć do boju i bronić dobra. Gdyby miał taki dar, a nie miał,

widziałby, że jego aura znów tak jak lata wstecz ciągnie się za nim na wiele stajen. Znów ludzie ci, co są tego godni, widzieć w nim muszą Wybrańca bogów, Naznaczonego.

- Chłopcze, wygląda na to, że to ty rozwiązałeś jeden z najstarszych paradoksów. Paradoks kłamców - Mówił Erej

Lamart słuchał tego. Był wszak mocno zdziwiony. Erej z wysokości swojego biurka przypatrywał mu się z jakimś takim uśmiechem podziwu.

- I choć na ostatnim wykładzie mówiłem, że ten, kto go rozwiąże, zostanie z miejsca Magisterem naszej Szkolnicy, lecz zważ, iż było to powiedziane w ramach metafory.
- Rozumiem, Panie. - odrzekł Lamart.
- Więc, Magisterem jeszcze nie zostaniesz, ale przejdiesz z nowym miesiącem łasicy do wyższej grupy. Lecz muszę ci rzec, iż sława twa przekroczyła już mury naszej Szkolnicy. Ba! Nawet Wendy. Ba! Doszła ona do innych krain. Szlachetny Filozof Amaku, który rezyduje w Spoka, pisze mi w swym liście, że poznałby chętnie tego, który rozwiązał paradoks kłamcy. Wybiera się on w najbliższym czasie do Wendy, by odwiedzić Królewską Szkolnicę. Ale to jest niewiarygodne. Nie można zawsze, w sensie w nieskończoność, kłamać, można za to mówić zawsze prawdę. Że też mnie to nie przyszło do głowy. Niebawem! - Erej uśmiechnął się od ucha do ucha. - Jesteś naprawdę zdolny. Jeśli dalej, w takim tempie, będziesz się tak rozwijał, to daleko zajdziesz. Ja ci to mówię. Nie tylko jako nauczyciel, ale także jako astrolog. Analizowałem wczoraj twój diagram urodzeniowy. Podobne mają tylko ludzie wybitni. Choć jednego w życiu nie zaznasz lub bardzo mało zaznasz. Chcesz wiedzieć czego? - Teraz to Erej zrobił tajemniczą minę.
- Tak – odpowiedział poważnie Lamart.
- Chłopcze, nie obraż się na mnie, i nie mniej urazy. Nie zaznasz w życiu miłości. Najprawdopodobniej nigdy się nie ożenisz, a jeśli jednak to zrobisz, to nie będzie to ślub z miłości. Ale, jedno ci rzeknę. Wielu wybitnych ludzi tak ma i miało, i będzie tak. Dlaczego? Spytasz. Bo taki to jest sprawiedliwy los. Nie wszystko bowiem można mieć naraz. Ty jesteś mądry, lecz miłości w życiu nie zaznasz. A twój brat. Masz brata? - Lamart pokręcił przecząco głową na pytanie Ereja. - A kuzynów masz? - Lamart tym razem przytaknął. - Więc widzisz, twój kuzyn, choć najpewniej zwykłym szewcem zostanie, zakocha się w kobiecie, poślubi ją, i spłodzi z nią swe dzieci. I choć on nawet nie wie, i wiedzieć nie będzie, co to paradoks kłamcy. On będzie szczęśliwy w miłości. I ty też będziesz szczęśliwy, tylko na innej płaszczyźnie życia. Będziesz żył w

dostatku. Ludzie cię będą szanowali. Będziesz piastował odpowiedzialne urzędy. Lecz miłości odwzajemnionej nie zaznasz. Choć nie masz ty odchylonej natury, i chłopców nie pożadasz. Jednak tak to już jest. Musi być równowaga.

Erej sięgnął po jakąś kartkę papirusu.

- Weź to. Jest to zaświadczenie o przyznaniu ci specjalnej nagrody w wysokości czterdziestu talentów.
- Jak to? - Lamart nie umiał ukryć zdziwienia.
- To za rozwiązanie paradoksu kłamcy.
- Ach! Na co, Panie, mam przeznaczyć te pieniądze?
- Najlepiej na przyjemności, ha, ha, ha – Erejowi poprawił się humor. - W życiu liczą się tylko przyszłe dni no, i, oczywiście, przyjemności. Wiesz powiem ci, iż niektórzy z filozofów, takim był na przykład Cygan Dziad, utrzymują, że ludzie w życiu kierują się zasadą, by jak najmniej cierpieć i jak najwięcej zaznać przyjemności. Życzę ci więc, byś za te pieniądze zaznał dużo przyjemności i uchronił się od cierpienia.
- Dziękuję, Panie – Lamart wziął z rąk Ereja kartkę.
- Uważaj na Koliego. He, he, he – Erej znów miał dobry humor. - Doszło do mnie, iż się mocno kolegujecie. I choć jest on mym stronnikiem, to muszę cię lojalnie ostrzec, byś nigdy przed nim nie chwalił się swoimi pieniędzmi. Bo on ma taki dziwny dar, że często twoje pieniądze, nagle zmieniają się w pieniądze Koliego, ha, ha, ha. Już nie jednego on nabił w butelkę. Ale ja mam do niego dziwną słabość, i tylko dzięki tej słabości jeszcze go stąd nie wyrzuciliśmy. Założę się, iż jeśli ukończy on z sukcesem Królewską Szkolnicę i po tym jak obejmie jakiś urząd na Dworze Królewskim, to później pierwsza poważniejsza afery finansowa w naszym kraju będzie autorstwa Koliego. Ale inteligentny to on jednak jest, uczciwie to przyznaję.
- Lubię go, Panie – powiedział poważnie Lamart.
- A któż go nie lubi. Tylko ci, którym wywinął jakiś numer. Ale dobrze jest, iż znalazłeś w kimś z naszej szkolnicy bratnią duszę. Koli ma tylko tę słabość, iż na słowo i brzęk monet wariuje, ale w sumie to dobry chłopak. Pochodzi z niziny, stąd ta jego fascynacja pieniędzmi. Dla twego jednak bezpieczeństwa unikaj, gdy będziesz z nim przestawał, tematu pieniędzy. W każdej bowiem innej dziedzinie życia Koli jest jak do rany przyłóż. Można z nim śmiało toczyć, nie zawaham się tego powiedzieć, całkiem uczone rozmowy. Ach! I jeszcze jedno. Powracając do moich stronników. Powiedz mi, w konflikcie moim z Mistrzem Kapą, po czyjej stronie będziesz? Czy mogę cię nazwać moim stronnikiem?
- Tak, Panie – powiedział Lamart z mocnym przekonaniem.
- Dobrze, chłopcze. Bardzo dobrze. Dziękuję ci. Możesz mieć z tego powodu

trochę kłopotów, bowiem teraz decydujące zdanie w Szkolnicy ma Mistrz Kapa i jego ludzie. Ale, uwierz mi, jest to sytuacja przejściowa. Zachowaj to tylko dla siebie, lecz powiem ci, iż po koronacji Orotoga w Szkolnicy wszystko się zmieni, Mistrz Kapa popadnie w niełaskę. Przeczekajmy więc te dzisiejsze trudności, zaciśnijmy zęby, ale przyszłość jest nasza. Skąd to wiem? Spytasz. Mówiłem ci, że oprócz nauczania w Szkolnicy oraz służby Nauczyciela Królewskiego chętnie też obliczam diagramy astrologiczne. Stąd to właśnie wiem.

- Panie, czy astrologia jest zawarta w nauczaniu szkolnicy? - spytał dość niepewnie Lamart.
- Nie, a jeśli już, to tylko nieliczni spośród uczniów dostępują tego zaszczytu. - Erej skrzywił się dziwnie, gdy to mówił. - Ale ty masz na to duże szanse. Astrologi uczyć ja lub Mistrz Kapa. Jak ci mówiłem, nie wszyscy mają ten przywilej nauki astrologii. Bo, przyznasz sam, po co astrologia urzędnikowi nawet wysokiej rangi, po co astrologia medykowi. Jedynie filozofowie i magowie mają z astrologii szereg korzyści. I tylko tacy będą astrologii uczeni. Ty masz duże szanse zostać wybitnym filozofem, więc tobie astrologia powinna przynieść pożytek. Ale sprawa nie jest jeszcze przesądzona. Jeszcze cię będziemy obserwować i baczyć, jakie robisz postępy na swej drodze.
- Aha! - tylko tyle Lamart był w stanie powiedzieć.
- No, nie przejmuj się. Jesteś wybrańcem, bowiem tylko wybrańcy mogą rozwikłać takie paradoksy jak na przykład paradoks kłamcy. Wszak wielu już było w tym tunelu, lecz dopiero ty zobaczyłeś światło na jego końcu. Nauczyłeś mnie tym samym czegoś.
- Czego, Panie?
- Pokory, chłopcze, pokory. Wszak i ja byłem w tym tunelu przed tobą, lecz oprócz ciemności nic tam nie dostrzegłem więcej. Wiesz – Erej powiedział poważnie – nawet ci tak tego nie zazdroszczę. Tego, że ty widzisz więcej niż inni. Już i ja mam dość problemów ze swoją niezwykłością, nie zazdroszczę ci więc twojej przenikliwości. Bo to wszak przenikliwość i jasność osądów stoi za twoimi sukcesami, że tak je nazwę. Nie zazdroszczę ci – Erej powiedział to dość smutno. - Wiele ty w życiu przez te swoje dary wycierpisz. Niestety. Patrz na mnie. Nawet nie wiesz, ile mnie kosztuje życie tu, razem ze zwykłymi śmiertelnikami. Dużo mnie kosztuje, uwierz, dużo. Czasami chciałbym, by się to wreszcie skończyło. I ty tak będziesz miał. Na razie jesteś jeszcze chłopcem. Jeszcze mutacji nie przeszedłeś, jeszcze nawet wąsik ci się nie sypie pod nosem. Zrozumiesz, o czym teraz mówię, może tak za jeden dekambr, albo półtorej. I wtedy przypomnij sobie tę naszą dzisiejszą rozmowę. Oto jest jedna na to rada. Słuchaj więc, byś kiedyś mógł się do niej zastosować. Rób wszystko to, co jest ci przypisane jako twój zawód. Jeśli zostaniesz filozofem, to rób to, co należy do filozofa, rób to rzetelnie. Jeśli zostaniesz magiem, to bądź dobrym magiem. Jeśli zostaniesz kancelistą, urzędnikiem, to wywiązuć się należycie ze swej pracy. Innego sposobu na życie nie ma. Ja jestem przede

wszystkim nauczycielem, więc dlatego to ja cię tej mądrości życiowej uczę. Taka to moja powinność. Ja mówię ci to, czego, podejrzewam, nawet ojciec by ci nie powiedział. Ludzie, owszem, nieświadomie zwykle stosują się do tej zasady, lecz, zaprawdę, nie uświadamiają jej sobie. Lecz ci, którzy ją dobrze znają i rozumieją, mają wielką przewagę nad tymi zwykłymi szaraczkami. I od teraz i ty należysz do tego wybranego grona. Lecz, jak mówię, docenisz to dopiero za wiele lat od teraz. Wtedy to, gdy dopadnie cię twój pierwszy wielki życiowy kryzys. Co jakiś czas, mierzony w lata, wszyscy taki kryzys mają. Nawet zwykli ludzie. Twój ojciec, twoja matka lub kuzyni. Wszyscy. Wielu wtedy popada w pijaństwo, gdy sobie z nim nie radzą, lub po prostu odbierają sobie życie. Lub wtedy to podpadają na zdrowiu. Wszystkie te rzeczy, choć pozornie różne, wynikają z jednej choroby duszy. Bo, i to zapamiętaj, choroby ciała są wynikiem przede wszystkim choroby duszy. Gdy człowiek nie widzi dla siebie sensu życia, wtedy dopadają go ludzkie niemoce. I bywa, że śmierć w krótkim czasie go wówczas zabiera.

- A tragedie? Jak tragedie w tym sensie wpisują się w ten wątek? - spytał nagle Lamart.
- Jak mówił mi mój nauczyciel, Cygan Dziad, i ja się z tym zgadzam, nawet to, że się skaleczysz w palec u nogi, wynika z tego jak widzisz życie. Oczywiście, ja w ten sposób nie twierdzę, co zdawać by się mogło, że jesteśmy zdeterminowani. Ale, by panować nad swym losem, potrzeba wielkiego starania, inaczej nurt życia może cię ze sobą porwać. Dlatego tragedie są też wyrazem tego, gdy następują, że twa dusza jest chora. Lecz można się temu postawić. Inaczej życie nie miałoby sensu. Inaczej nasza nauka tu na Ziemi nie miałaby znaczenia. A wszak przez nasze życie cały czas się uczymy.

Dzisiaj Geldera, skoro świt, wyszła z pilną sprawą z domu. I choć wiedziała, że księżę Atagr jest umówiony z Alekdą, to jednak wyszła. Powiedziała tylko córce, że wróci popołudniu. Lecz o której konkretnie godzinie, tego nie rzekła. Dziwne to się zdało Alekdzie, bo zaraz jak matka wyszła, służba też niby rozplynęła się w powietrzu. Na szczęście to, ta dziwna przypadłość, odkąd Atagr zwykł częściej ją odwiedzać, znacznie osłabła. Już w jej obecności przedmioty martwe nie nabierały tak snadnie żywotności, i nic też nie latało z jednego kąta komnaty w drugi. Niby bogowie jej dawali tym samym znak, że ta znajomość, a i także uczucie, bo tego już była pewna, iż kocha Atagra, jest wielce pożądana. I to nie tylko dla niej samej, ale chyba także miła ona była bogom. Alkada była już pewna, iż jej los powinien być związany z losem syna księcia Regenta.

I jako to zgodnie z zamiarami, oto Atagr przybył do domu Geldery równo przed południem. Alekda przywitała go szczerym uśmiechem u progu bawialni. Atagr czuł się już tu jak u siebie, więc czym prędzej usadowił się z wygodą na ławie. I tak

siedząc, zaczął się przypatrywać Alekdzie. Nie było to dziwne dla niej, bo zwykle właśnie miał podobne bezczelne spojrzenia. Tak jakby rozbierał ją tym samym z całego przyrodziewku, oczywiście, tylko w swej wybujałej wyobraźni. Przynajmniej tak się zawsze zdawało Alekdzie. Lecz chyba szybko nasycił się tym, bo zaraz też nalał sobie do pucharu, który stał na stole, wina. Skosztował. Wino było dość marne, lecz to swoje odkrycie zachował dla siebie, sam zaś rzekł głośno:

- Gdzie Pani matka, Alekdo?
- Sama to chciałabym wiedzieć – odrzekła mu rezolutnie. - Gdzieś wyszła z rana. Gdzie? Nie powiedziała mi. Była bardzo tajemnicza. Podobno wczoraj dostała list od baronowej Juty.
- Żony Presurta Olanda? - spytał z pewną nieśmiałością w głosie.
- Tej samej – potwierdziła. - Nie chciała mi nic mówić. Lecz chyba to jej dzisiejsze tak pośpiesznie wyjście ma z tym jakiś związek. Juta coś chyba chciała od mamy. Coś bardzo konkretnego.
- Chodzą słuchy na dworze, że Presurt Oland doznał cudownego ozdrowienia – powiedział Atagr, równocześnie przybliżył się do dziewczyny. - Ale ty pięknie pachniesz. To lawenda? - spytał znów nieśmiało.
- Ty zaś powinienes się ogolić, gdy wybierasz się na wizytę – odparowała mu ciętym językiem.
- Oland pono na dniach ma przyjechać, by złożyć osobiście raport memy ojcu – Atagr znów się opanował, usiadł na swym dawnym miejscu. - Co jest pewną nowością, bo już lata całe ojciec go praktycznie nie widywał. Wszystkie prace urzędowe wykonywał za Olanda w Wendzie jego pełnomocnik. Puto się chyba zwie? To były niewolnik. - ciągnął Atagr. - Niemłody człek. Ojciec mi mówił, że oddany bez reszty Olandowi. Życie mu zawdzięcza.
- I księżę Regent to tolerował?
- A co miał zrobić? Baron Oland ma wielu przyjaciół na dworze. Między innymi szambelan Obik jest jego stronnikiem. A także baron Luruk i jego syn Lucerdus.
- Ale księżę Regent osobiście nie przyjaźni się z Olandem? - była chyba nadto dociekliwa.
- Mój ojciec przyjaźni się tylko z mą matką i ze mną. Dawniej też przyjaźnił się szczerze, Alekdo, z twym ojcem.
- Wiem, wiem.
- No cóż, musisz zrozumieć, że człowiek, który rządzi innymi jest bardzo samotnym. Ja to już rozumiałem. I tobie radzę pozbyć się takich młodzieńczych iluzji.
- Podobnie ludzie bogaci są także samotni – powiedziała. - To mi zawsze mówi ma matka.
- A widzisz. Czyli mam rację.
- I cóż z tego, księżę? - Alekda jakby się trochę znużyła rozmową. - Czy

zostaniesz na obiedzie? - spytała.

- No tak, jeśli jest ktoś, kto poda nam ten obiad?
- Co masz na myśli?
- Wiesz, gdy wchodziłem do pałacu, to wprawdzie otwarł mi drzwi służący, ale potem uśmiechnął się krzywo i szybko wyszedł. Mam wrażenie, że jesteśmy sami w tym pięknym pałacyku.
- Sami? Nie może być! - Nie kryła zdziwienia. Zaczekaj. - Równocześnie klasnęła głośno w ręce i krzyknęła. - Salafa! Salafa! Do mnie. - Lecz pomimo tego, iż głośno powtórzyła imię służącej kilka razy, nikt nie przychodził. Zaczekaj - zwróciła się do Atagra. - Zaraz przyjdę. - To mówiąc, pośpiesznie wyszła z komnaty.

Nie było jej jakiś czas, lecz wówczas to Atagr zdaje się, iż pojął to, dlaczego Geldera zostawiła swą córkę samą w pałacu. No może nie samą, lecz z Atagrem. I właśnie ta okoliczność, że z nim, sprawiła, że on pojął to, co sugerowały czyny baronowej. A ściślej jej intencje. Po niejakej chwili do komnaty wróciła Alekda. Była zszokowana, wręcz roztrzęsiona.

- Jesteśmy sami - rzekła od progu. - Niebywałe, sami w całym pałacu. Chyba nic nie wyjdzie z tego obiadu. - dodała.

Wtedy to Atagr wstał gwałtownie z ławy. Podszedł do dziewczyny. A tamta nie wiedziała, jak zareagować. On chwycił ją silnie w talii.

- Co robisz? - zdołała z siebie wydusić.
- Zobaczysz. - Chwycił ją jeszcze silniej, tak iż pewnie poczuła to boleśnie, lecz nie wiedziała, jak uwolnić się z tego uścisku. Przywarł ustami w jej usta. A ona była oszołomiona. Bierna, chyba nie chciała walczyć.
- O bogowie, nie rób tego - tylko z siebie wydobyła.

Lecz on już ją silnymi rękoma zaczął obnażać. Najpierw zdarł z niej lekki moherowy sweterek. Zaczął penetrować jej ciało pod suknią. Obnażył jej piersi, a potem rozdarł suknię, tak, iż niemal naga stała przed nim. Ona zaś już poddała się temu rytmowi pożądania i rozkoszy. Już to po pewnej chwili, kochankowie zsunęli się z jękiem na dywanową podłogę komnaty.

Taka to chyba była dzisiaj misja baronowej Geldery. Postawiła ona pułapkę na młodych, na ich niepospolite chucie. Po tym wszak już, co tu się dziś stało, nie było już odwrotu dla Alekdy. I chyba właśnie o to chodziło jej matce. Właśnie o to jej najpewniej chodziło.

Książę poprawił swe białe, niedźwiedzie futro, co to miał narzucone na szyję. Przed nim leżał pokot upolowanej zwierzyny. Na omszałej ściółce, tuż przed leśnym duktem, leżały równo ułożone dziki, sarny, szaraki. Był też jeden jelonek. Za Orotogiem stali pozostali myśliwi. Nie było tu Atagra, który zwykle towarzyszył delfinowi w tego typu atrakcjach, lecz był on usprawiedliwiony, bo załatwiał w Wendzie u Mistrza Kapy szczegóły ceremoniału ślubu, który już niedługo złoży na ręce swej wybranki Alekdy. Lecz dzisiaj z Orotogiem było kilku młodych szlachciców, a przede wszystkim wódz Lucerdus, który, widać to było po nim, uwielbiał polowania. Orotog uważnie patrzył na te swoje nowe trofea. On to wszak ubił rosnącego odyńca, jelonka zaś raził bełtem Lucerdus.

- To była równa walka, Wasza Wysokość – Orotog usłyszał Lucerdusa, który stał mu za plecami.
- No tak, miały szanse ująć. Lecz ten dzik widocznie walczyć chciał, nie uciekać. - stwierdził Orotog. I odwrócił się do Lucerdusa. - Może gdzieś tu locha z małymi się ukryła. Ale damy jej już spokój. Bogowie uczą, że nie należy przekraczać miary w łowach. Nam ludziom. Zabić tylko tyle, ile zmieści się do kotła. Jeszcze tylko poczekamy, aż mag Kujh odprawi wymagane rytuały, no i wracamy do stolicy.
- Dzisiaj więc, Wasza Wysokość, w Zamku Królewskim na wieczerzę będzie dziczyzna, czyż nie tak?
- Masz rację, wodzu. Będzie tak najpewniej. Może więc zostaniesz na wieczerzę. Najpewniej będzie też tam książę Atagr. A może nawet zjawi się sam Kowdlar. Już dawno książę Regent nie gościł na moich pokojach. Czas to naprawić.
- Sprawi mi to wielką radość, Panie. - powiedział Lucerdus. - Sam jadam strawę prawie bez mięsa, ale przy takiej okazji skosztuję, Panie, twego odyńca.
- No tak. Powiadasz: bez mięsiwa? A czy tak to można żyć? - Orotog ożywił się?
- Wasza Królewska Mość, są ludzie, którzy jadają tylko surowe owoce i warzywa.
- Nie może tak być? Chyba że to niewolnicy lub ubodzy kmiotki, ale i oni przecież raz za jakiś czas muszą jeść mięso.
- Wasza Królewska Mość, masz najzupełniej rację, Panie. Mam na myśli powstrzymywanie się od mięsa z powodów kultu pewnym bogom.
- Aha! Rozumiem- Orotog się tym samym uspokoił. - Powiedz mi więc, co to za bogowie, którzy zabraniają jedzenie mięsa?
- Panie, właśnie o to chodzi, że to nie chodzi o mnie, lecz raczej o mą młodą małżonkę, która pochodzi z królestwa Spoka. I ja raczej dlatego ograniczam mięsne jadlo, bo jej wiernie towarzyszę w ten sposób. Sam zaś chętnie bywam na polowaniach.
- A co to za bogowie, bo mi nie rzekłeś?

- O boga Gutra to chodzi, który zgodnie z podaniem, co noc zamienia się w jakieś zwierzę, by tak dotrzeć do rana, lecz czasami też bywa, że cały dzień jest zaklęty w skórę zwierzęcia. Zabijając więc jakieś zwierzę, nie ma się pewności, czy nie zabija się też boga. A jako że Gutr ma bardzo mściwych braci, Bty i Certa, dlatego nikt nie ryzykuje, lub bardzo miarkuje się w zabijaniu zwierząt. Oczywiście ten kult dotyczy tylko ludzi z prowincji Muy w Spoka. Stamtąd właśnie ma małżonka się wywodzi. I tam ten dziwny kult jest powszechny.
- Muszę więc, wodzu, poznać twą małżonkę. Bardzo jestem ciekaw, jak wyglądają ci, co mięsa unikają. Normalnie to ona wygląda?
- Jest piękna, Panie. Od razu się w niej zakochałem, jak ją tylko ujrzałem pierwszy raz.
- Jak ona ma na imię, wodzu? - Orotog był teraz konkretny.
- Wesa, Wasza Królewska Mość. Wesa, moja małżonka.

Młody Orotog wziął do ręki jedną z ubitych pardw.

- Musi skruszeć, lecz po tym będzie smakowita – powiedział.

Gestem ręki przywołał służbę. Do Lucersusa zaś rzekł: -

- Na pardwę zapraszam ci później, lecz dzisiaj i tak będzie uczta. Chciałbym cię przy tej okazji jednak spytać o kilka spraw. Jak wiesz Kowdlar trzyma mnie niczym w złotej klatce. O wszystkim dowiaduję się ze sporym opóźnieniem.
- Słucham, Wasza Królewska Mość, pytaj, Panie, o wszystko.
- Lucerdusie – Orotog stanął na wyprostowanych nogach. - Powiedz mi, mój drogi, co to było naprawdę z tym powstaniem niewolników we Flukcji i Engorze? Czy to była realna groźba dla nas?

Lucurdus cały spłoszował. Podrapał się po nosie. Złapał głęboki oddech i bez pośpiechu zaczął mówić:

- Wasza Królewska Wysokość, to była realna groźba, lecz na szczęście wszystko się rozeszło. To Fryel zdradził swych towarzyszy. I teraz już jedynie pobrzmiwają jeszcze echa zbiorowych egzekucji zbuntowanych niewolników.
- Trudno się dziwić – rzekł Orotog. - Wszak oni targnęli się na naturalny porządek świata.
- Tak, Panie, lecz gdy jedzie się głównymi traktami Fluksji to czuć fetor śmierci. Wiem to, bo sam jeszcze tydzień temu wizytowałem mego krewnego, co osiedlił się we Fluksji jeden dzień drogi od naszych granic. Co do samego zagrożenia, to przyznaję, Panie, było duże. Na szczęście jednak między nami i Engorą jest jeszcze Fluksja, i to ona najwięcej doznała szkód z tym

- powstaniem niewolników bezpośrednio związanych.
- Jak duże to było zagrożenie. Wiesz, ja nic nie wiedziałem. Ja przyszedł król Ulandii. - Orotog powiedział to z pewnym wyrzutem. - I choć nie mam żadnego zastrzeżenia co do stylu sprawowania władzy księcia Regenta, to jednak wydaje mi się, iż powinien on już stopniowo przekazywać mi pewne uprawnienia. Bo, przyznasz sam, nie mogę przecież w jeden dzień stać się władcą naszego królestwa. Stopniowo wszak powinienem obejmować władzę, z wszystkimi tego konsekwencjami.
 - Masz najzupełniej rację, Wasza Królewska Wysokość. I ja też tak myślę. - Lucerdus, niby to na znak zgody z Orotogiem, uśmiechnął się szczerze, odsłaniając przy tym rząd silnych i zdrowych zębów.
 - No tak, wszyscy się zgadzają ze mną, a Kowdlar robi tylko to, co sam zechce.
 - Ale, Panie, z tego, co ja wiem, Kowdlar już dawno z ochotą pozbyłby się, gdyby tylko mógł, tego jarzma władzy. On już z utęsknieniem, Panie, czeka na twą koronację.
 - Tak, tak. Wiem o tym. Lecz, przyznasz, jest szalenie niekonsekwentny. On mnie jeszcze stale uważa za dzieciaka, który może tylko napsocić, a nie godnie sprawować rządu.
 - Wasza Królewska Wysokość, książę Kowdlar ma teraz pewne rodzinne problemy. Może to stąd taka jego postawa.
 - Jakież to? - Orotog odwrócił się w stronę Lucerdusa.
 - Za niedługo to, Panie, Atagr ma się żenić z córką Elubedy, najlepszego przyjaciela księcia Regenta.
 - Ach wiem! Wiem o tym. Wszak dla tej przyczyny dziś na łowach nie było Atagra. Mówił mi już o tym. To wielkie święto i tryumf osobisty księcia Kowdlara. Mocno on za tym zabiegał, by jego krew połączyć z krwią Elubedy. Wszak wnuki Kowdlara będą zarazem wnukami Elubedy.

Niewolnicy zaczęli ładować upolowaną zwierzynę na fury. Książę delfin i Lucerdus, a także wszyscy uczestnicy łowów, skierowali się w to miejsce, gdzie stały ich wierzchowce. Rozmowa więc między Orotogiem i wodzem Lucerdusem w naturalny sposób skończyła się. Już po chwili książę delfin dosiadł konia. Jego gwardianie również już byli przygotowani. Książę chwycił pejcz, smagnął konia i krzyknął do szlacheckiej młodzieży:

- Szybko, do Wendy! Pierwszy na Zamku Królewskim ma ode mnie pięćdziesiąt talentów. Jazda!

Co mówiąc, spiął konia i ruszył z kopyta.

Dzisiaj był dzień po burzy. Wczoraj tak mocno pioruny biły nad Wendą, iż wydawało się, że to zagniewany Kerdolot chciał ugodzić kogoś. Kogo? Może winnego? Czego? Tylko bogowie wiedzieli. Dwie, czy nawet trzy chaty w centrum Wendy spłonęły. I tylko najwięcej bojaźni doznały małe dzieci i nic nie rozumiejące kundle podwórkowe. A trzeba tu przyznać, iż tak wielkie burze zwykle omijały stolicę Ulandii. Wenda leżała w pewnej niecce, która skutecznie chroniła ją od wszelkich nawałnic i orkanów. Daleko było stąd do gór, daleko do morza, nie było też w pobliżu jakichś większych jezior. Mała rzeczka, Letuga, dostarczała po prawdzie tylko wodę do stolicy. Nie było więc powodu by tak tu szalał żywioł, lecz jednak się zdarzyło. Na szczęście oprócz spalonych starych domostw nikt nie doznał większej szkody na zdrowiu. Dzisiaj powietrze, tu przy budynku Szkolnicy, było takie rześkie, trawa na gazonie tak soczyście zielona. A i uczniowie Szkolnicy, z różnych poziomów nauczania, tak jakby na siebie życzliwiej spoglądali. Uśmiechali się do siebie wzajemnie. Co było, szczególnie tu, w tej kuźnicy talentów, wyjątkowo rzadkie.

Jako to Koli razem z Lamartem stali i dyskutowali pod jednym z platanów . Koli był wyjątkowo ożywiony. Być może to ta burza sprawiła, a może pora roku, ale ten nastolatek, nadzwyczaj dojrzały jak wszyscy ze Szkolnicy, wiercił się i żywo gestykulował coś tam pod nosem Lamartowi. Lamart zaś, niby ostoja powagi, odpowiadał mu zda się półgębkiem. Inni uczniowie skupieni byli w małe grupki. Teraz był czas między wykładami. Uczniowie Szkolnicy wykorzystywali to, by wymienić z sobą choć po kilka zdań. Jednak i w relacjach między uczniami panowała sztywna hierarchia. Oto ci starsi, ze starszych grup, można rzec śmiało: gardzili młodszymi, tamci zaś jeszcze młodszymi. Dlatego też Lamart nawet nie dążył do tego, by zaprzyjaźnić się z kimś ze starszej grupy. Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że było to daremnym. A usługiwać im, tym starszym? Nie, na to był za dumny. Postronna osoba powiedziałyby: za inteligentny.

- Mogę ci załatwić tę księgę – mówił ożywiony Koli. - Lecz, przyznaję, nie jest to tanie.
- Chcesz ze mnie zedrzeć forszę, aż takiej kwoty nie mam? - Lamart, mówiąc to, jednak uśmiechnął się z pobłażaniem do przyjaciela.
- Nie, ja nic nie wezmę – mimo wszystko zaprotestował Koli. - Osoba, którą znam, i która gotowa jest sprzedać *Księgę Jutra*, twierdzi, że to jest ten egzemplarz, który pierwotnie należał do Maga Uberyka, wtedy gdy był jeszcze lojalnym sługą króla Amargadeusza. Po swojej haniebnej ucieczce z Ulandii, zapodziała mu się ona. I oto teraz należy do tego, nazwijmy go Starca. Tenże Starzec wymógł na mnie, bym zachował jego tożsamość w tajemnicy, pod groźbą klątwy do siódmego pokolenia.
- Sto pięćdziesiąt talentów to jednak dużo, choć niektórzy uważają tę księgę za bezcenną.
- No widzisz, widzisz – Koli zaczął przytakiwać. - Istniało tylko siedem egzemplarzy tej księgi w całym naszym znanym świecie. Żaden skryba ci jej

nie skopiuje, bowiem sprowadza to niechybną śmierć na takiego, nawet gdyby tego choć tylko spróbował. Jedyne Siódmy Elf ma prawo raz na dwa dekambry skopiować *Księgę Jutra* i to tylko w jednym egzemplarzu. Gdybyś chciał ją kupić jawnie, co jest prawie niemożliwe, zapłacić byś musiał co najmniej dwadzieścia razy tyle. Starzec obstaje przy tak niskiej sumie tylko dlatego, iż nabył on ją, tę księgę, w sposób nielegalny. I ty, gdy ją kupisz, radzę Ci, nie afiszuj się, że ją masz. Lecz nie spuści ci on już z ceny, tego jestem pewny.

- Hm... Ja nazbieram taką sumę. Nazbieram. Powiedz mu, że kupuję – Lamart powiedział to z jakimś takim przekonaniem. - Dajcie mi na to dwa tygodnie. Dobrze? Tylko dwa tygodnie.
- Dobrze, dobrze. Wprawdzie Starzec ma zamiar opuścić Ulandię, lecz zrobi to dopiero jesienią. Więc najpewniej przystanie na tę dwu tygodniową zwłokę. Myślę, że go przekonam. - Koli odgarnął grzywkę, co mu oczy przesłoniła.

Nagle wzmógł się wiatr. Włosy Koliego zaczęły tańczyć na wietrze, Lamart nie miał tego problemu, bowiem był obcięty dość krótko. Koli wręcz złapał się za głowę, tak jakby chciał powstrzymać swawolę swoich włosów. Na nic to się jednak zdało. Zwyciężyła natura. Lecz oto, jak szybko wiatr się pojawił, tak szybko przeszedł. Już po chwili Koli mógł spokojnie poprawić swą fryzurę.

- To tajemniczy człowiek – powiedział Koli.
- Kto?
- No ten Starzec.
- Aha – powiedział mało przytomnie Lamarta. I choć Nauczyciel Królewski Erej uważał Lamarta za niezwykle bystrego, to jednak teraz Koli mocno dziwił się tym, jak przymulony, przynajmniej teraz, był przyjaciel. - No i co? - Lamart chyba udawał, że nic nie rozumie. Wtedy to Koli nachylił się do Lamarta, i rzekł prawie szeptem.
- Mnie się wydaje, że to jest szpieg księcia Kowdlara. Tylko jednego nie rozumiem, dlaczego on nie oddał w ręce księcia Regenta tej *Księgi Jutra*? Przecież to tak cenna rzecz. Mógłbym się założyć, że książę Regent dałby wiele za tę księgę.
- Hm ... Może to karma? A może Starzec bał się reakcji księcia Regenta?
- No, może, może? Spróbuję to wycisnąć od niego. Znasz mnie, ja się na ludziach znam. - mówił zapalczywie Koli. Już moja w tym głowa, by się dowiedzieć, dlaczego Starzec chce się pozbyć tej księgi. Oczywiście, wykluczam, by to była fałszywa kopia.
- Wykluczasz? Aż tak dobrze się w tym orientujesz?
- Widziałem tajne pieczęci na niej. Starzec mi ją już pokazywał. Jest tam też pieczęć Maga Uberyka. Więc nie może to być fałszywka. Jestem o tym przekonany.

- No, to nie ty wyłożysz sto pięćdziesiąt talentów – stwierdził sucho Lamart.
- Mam nadzieję, że mi ją czasami użyczysz.
- Co? - Najwidoczniej Lamart nie miał dzisiaj dobrego dnia. Miał zupełnie zaburzone kojarzenie. Wszak dotąd to była jego mocna strona.
- No jak co? Tę *Księgę Jutra*. Tak po przyjacielsku. Może czasami pożyczysz? Nie martw się, nie zniszczę jej, będę uważał. Nie dam jej też nikomu.
- Ale wiesz. Podobno tę księgę może czytać tylko jej właściciel. No chyba, że chcesz się szybko dostać na Pola Kerdolota?
- Jak to?
- Nie wiedziałeś? Tak jak jej nie można kopiować, tak też czytać ją może tylko jej właściciel. - powiedział, już teraz rozbawiony miną Koliego, Lamart.

Na ścieżce, przy fontannie, ukazał się nagle sylwetka Ereja. Wszyscy uczniowie, których mijał, kłaniali mu się grzecznie, sam zaś Erej tylko uśmiechał się do mijanych. Koli na widok nauczyciela aż pozieleniał na licu. Starał się niemal ukryć za Lamartem, lecz daremnym to było, bo, gdy Erej był na wysokość ławki, przy której stali Lamart i Koli, rzekł dość głośno: -

- No tu cię mam, Koli ! – równocześnie Erej przystanął.
- Witam, Panie. - rzekł mu Koli, a Lamart pokłonił mu się także.
- Miałeś być u mnie wczoraj o czwartej. Co się takiego stało? Tłumacz się, bo inaczej pożałujesz – mówił dość ostro Erej. - Uważaj, bo ja cie już dłużej nie będę krył. Już to Mistrz Kapa czeka tylko, by cię wylać ze Szkolnicy. I co ty wtedy poczniesz, biedaku?
- Panie, ja... aa. Ja zapomniałem. Wybacz, Panie. Przypomniałem sobie poniewczasie, le...ecz była już wtedy szósta – Koli zaczął jąkać się ze zdenerwowania.
- Zapomniałem, powiadasz. Wiesz, że ja mogę też sobie zapomnieć, by ci wypłacono twoje dwadzieścia talentów, jakie dostajesz tu co miesiąc. No więc, daję ci jeszcze czas dzisiaj, do piętnastej. Raport ma być na moim biurku. - to mówiąc, Erej zakręcił się na pięcie i powoli, majestatycznie odszedł, zostawiając za sobą przerażonego Koli.
- Ty, co za raport? - Lamart zainteresował się wielce.
- Ach! Drobiazg. Miałem zrobić raport, a ściślej streszczenie jednego wykładu Jufe, potrzebne dla Ereja.
- No, stary, nie wierzę ci nic za nic. No, ale to są twoje problemy. Bylebyś tylko na mnie nie donosił- powiedział Lamart, niby domyślając się tego, co łączy Ereja z Koli. - Ja cię lubię, stary. Nie przejmuj się. Wiem, że musisz się starć bardziej niż inni, by zachować swe miejsce w Szkolnicy.
- Nie, Lamart, nie myśl tak, ja nie jestem żadnym wtykiem, czy szpiclem Ereja. Możesz być tego pewnym. To chodzi, przyznaję, o pewne interesy, w które wmieszał się nasz szlachetny Nauczyciel Królewski Erej – Koli powiedział to

z pewnym przekąsem. - Szemrane interesy, dodam.

Szambelan Obik zajmował chyba najbardziej reprezentacyjną, po królewskich, komnatę na Zamku Królewskim. Nawet księżę Regent Kowdlar nie miał takiej. To chyba była kwestia odreagowania. Bowiem Obik jako osobisty służący króla Amargadeusza zajmował wtedy, w tamtych czasach panowania Amargadeusza, najgorszą mysią norę w całym pięknym zamku. Teraz więc sobie to odbijał. Czerwone i złote arrasy i gobeliny zdobiły tę dużą i piękną komnatę. Ogromne kryształowe zwierciadła, w złotych ramach, zawieszane na ścianach powiększały jeszcze ten efekt obfitości sali. Presurt nie bywał tu często ostatnimi czasy. Chyba to trzy lata temu jak składał osobiście dokumenty Regentowi. To wtedy widział ostatni raz Wendę.

Pili słodkie, czerwone wino. Pomału, delektując się. Obok butelki wina, na stoliku, na półmiskach, leżały dojrzałe, pleśniowe sery. Oland szczerze podziwiał gabinet szambelana. Sam pewnie chciałby podobny, lecz, no cóż, nie była to teraz najważniejsza sprawa dla niego.

Jak ustalili to wcześniej listownie, po omówieniu najważniejszych spraw, pójdą razem do łaźni królewskiej zażyć kąpieli w gorącym źródle.

Baronowa Juta przyjechała do stolicy z małżonkiem. Teraz zaś wizytowała baronową Gelderę, przyjaciółkę, z którą utrzymywała stały kontakt listowny. Tak dużo miały sobie do powiedzenia. Wydaje się, że odkąd Oland cudownie ozdrowiał, również i Juta wymłodziła snadnie. A jeszcze nie tak dawno wstecz wydawało się, że samotność jej będzie pisana. Teraz zaś spontanicznie odnawiała swoje przyjaźnie. Oland sięgnął po kawałek sera.

- Wiesz, Olandzie, niepokoi mnie teraz wpływ, mi się zdaje że zły, Mistrza Kapy na sprawy królestwa. - mówił Obik.
- Co, Pan, przez to rozumiesz? - Odrzekł mu Oland z pełnymi ustami.
- Coś mi się tu nie podoba. A jak wiesz, ja mam dobrą intuicję.
- Powiadasz, przyjacielu, że Mistrz Kapa ci się nie podoba?
- Właśnie, Olandzie. Otóż to. Przez okres sprawowania władzy przez Regenta, Mistrz Kapa urósł na wielką personę. I, choć nie młody to on już, ale tak mi się zdaje, nabył on zbyt dużego przywiązania do swoich przywilejów władzy. I, boję się tego, nie będzie on chciał dobrowolnie oddać to, co mu w tym względzie przypadło.
- Myślisz, że on zagraża w jakiś sposób księciu delfinowi?
- Tak by to można ująć, tak mi to podpowiada moja dusza – mówił Obik, pił przy tym powoli słodkie wino.
- Trzeba będzie go więc w jakiś sposób sprawdzić. - rzekł powoli Oland.

- Tylko jak?
- No, sposoby się znajdują. Tylko ja muszę wiedzieć ilu jest z nami, a ilu przeciw. Na ciebie mogę liczyć. Pytanie jest tylko, czy nas jest tylko dwóch, czy więcej jest z nami?
- Wielu stanie przy mnie, gdy dojdzie do takiej potrzeby – powiedziała szambelan. Stary Kowdlar już chyba się nie będzie liczył. Najpewniej w razie jakiejś awantury w królestwie zaszyje się w tej swojej Poledzie.
- Ale jego syn jest też ważny – rzekł przytomnie Oland.
- No tak, masz rację, zaufany delfina. On będzie się liczył. Musimy go więc przeciągnąć na naszą stronę.

Tym razem to Obik wziął z patery dojrzałego grejpfruta. Powoli połknął kawałek owocu, poprawił się na siedzisku.

- Myślę, że jeśli zachęcimy młodego Atagra propozycją objęcia funkcji elektana, to stanie on za nami – mówił z pełnymi ustami Obik.
- W samej rzeczy. Tego nawet jego ojciec mu nie jest teraz w stanie zapewnić. Będzie łatwym skłonić przyszłego króla Orotoga, by powierzył tę funkcję właśnie Atagrowi. - Oland poczuł się teraz znacznie pewniejszym.
- A co my zyskamy? - nagle Obik stał się bardzo konkretny.
- My. No, spokój ducha. Może jakieś dobra? A może nawet stanowiska przy królu.
- Ty masz zapewnione stanowisko Presurta Królewskiego, a co ja!

Zapanowała niezręczna cisza. Oland, próbując ratować sytuację, sięgnął znów po kawałek sera.

- No ty, Przyjacielu, może zostaniesz Kanclerzem? - Oland zaryzykował. Lecz mógł się szybko zorientować, że ta idea bardzo spodobała się Obikowi.
- Kanclerzem! Hm... Król Amargadeusz byłby ze mnie dumny, gdyby do tego doszło. Lecz ja już nie jestem tak młody. Jestem chyba starszy od ciebie, Olandzie.
- Przyjacielu, dla Kanclerza słuszne lata to raczej powód do dumy.
- No tak. Tylko ile ja przez to wrogów nowych zyskam?! - Było to raczej stwierdzenie, niżli pytanie.
- Cóż chcesz, każdy ma wrogów. I z każdym dniem nam ich, niestety, tylko przybywa. We mnie zaś będziesz miał zawsze przyjaciela.
- Samotny też jestem, i to mi doskwiera – powiedział smutno szambelan.
- To jest najmniejsze teraz dla nas zmartwienie. Skupmy się raczej na naszej sprawie. Musimy obmyślić, jak podejść szczywanego Kapę. Co ty proponujesz w tym względzie...

Trzy stał oparty o szkielet ludzki. W grocie paliły się trzy potężne świece i dwie pochodnie. Było dość jasno na to, by Mistrz Kapa dojrzał rodzaj uśmiechu na twarzy Trzy. Był to uśmiech raczej z tych pogardliwych. Lecz akurat teraz Kapa siedział odwrócony plecami do tego emisariusza bogów.

- Mówisz, Kapa, że Orotoga mamy zabić?- spytał tonem dość poważnym. Jednak głos zupełnie nie oddawał tego, co mówiła twarz.
- Tak, on jest niebezpieczny. On się przeciwstawi woli bogów.
- Skąd ty to ,Kapa, możesz wiedzieć?
- Z wyroczni. A także mówi o tym Księga Jutra – Kapa był aż cały zapalczywy, gdy to mówił.
- Ta cała Księga Jutra to pusta pisanina. - stwierdził Trzy. - To był dowcip Kerdolota. Razem tak z Kobokiem to wymyślili, by powstało coś, co można przypisać dowolnemu faktowi, który się stanie dowolnie kiedy.
- Jak to? - Mistrz Kapa poczuł się niepewnie.
- Mniejsza, i tak tego nie zrozumiesz – powiedział Trzy. - Co do Orotoga, to muszę mieć zgodę Koboka, by go zabić.
- Ale on ma ochronę. Tak łatwo go nie będzie można zgładzić.
- Ach! Kapa! Już tyle lat nam służysz, i jeszcze nie pojąłeś, że my jesteśmy wszechmogący. I właśnie dlatego trzeba nam służyć. Wyobraź sobie, że na polowaniu księcia delfina razi piorun. Rozumiesz już? My jesteśmy wszechmogący.
- Aha! No tak. W samej rzeczy – przyznał Mistrz Kapa.
- Lecz nim to się ewentualnie stanie, muszę mieć pozwolenie i zgodę Koboka. Sam się nie ośmielę. I nawet tego na mnie nie wymuszaj.

Kapa z trudem odwrócił się w stronę Trzy. A tamten bawił się czymś, co trzymał w dłoni.

- Co to masz, Panie, w rękach?
- Takie tam, nie zrozumiesz – to mówiąc, Trzy schował swoją zabawkę do kieszeni szaty.
- Kiedy mi więc, Panie, dasz odpowiedź?
- Kapa, dopiero, gdy Kobok wróci na Ziemię. Dopiero wtedy. Bowiem muszę mu to powiedzieć prosto w oczy. My mamy możliwości kontaktu nawet teraz. To prawda. Ale o tak ważnej sprawie jak eliminacja następcy tronu muszę porozmawiać osobiście z bogiem Kobokiem. Uzbrój się więc w cierpliwość. Kobok wraca już za dwa miesiące.
- I co mu, Panie, powiesz?
- No, wszystko to, com od ciebie usłyszał. Jeśli w tym jest choć odrobina prawdy, to raczej pewne jest, że Orotog umrze wkrótce. Najpewniej razi go przypadkowy piorun, lub utopi się w czasie kąpieli.

- To szczerą prawdą, co mówił o nim. Wierzaj mi, Panie – powiedział Mistrz Kapa z zaciśniętymi zębami.

Trzy jakby się zawahał. Coś chciał pewnie jeszcze od Mistrza Kapy. Po chwili zastanowienia chyba sobie przypomniał. Rzekł do Kapy.

- Słuchaj, być może będziesz miał ten zaszczyt, iż poznasz osobiście boga Koboka.
- Tak? Niebawem – Mistrz Kapa aż cały się podniósł.
- Tylko mu nie zwracaj głowy Orotogiem. To załatwię ja z Kobokiem. Chodzi o coś innego. Oto sam bóg Kobok chce cię zobaczyć. Bardzo możliwe też, że dostaniesz od niego naprawdę coś cennego. Coś co nie potrafi wykonać żaden wasz rzemieślnik, nawet złotnik. Widzisz to?

Trzy przysunął pod twarz Kapy jakiś wisiołek, wydawało się, że wykonany z białego złota. Zwisiał na nim potężny przezroczysty kamień, zdało się, że musiał to być oszlifowany kryształ górski.

- To najprawdziwszy brylant w złotej oprawie – powiedział powoli Trzy.
- Jak to? Nie ma takich dużych diamentów – zdziwił się Mistrz Kapa.
- Oto Kobok jest w stanie stworzyć diament dowolnej wielkości. Mówiłem ci, że Kobok rozdaje prezenty, ale tylko bardzo cenne prezenty. Mam to od niego.
- Ach! - wyrwało się Mistrzowi Kapie.
- Powiem ci tylko jedno, i tu masz rację, nie ma takich wielkich diamentów w naturze.
- No to skąd go, Panie, masz? - Kapa poczuł się nieco skołowanym.
- Bóg Kobok umie tak duże diamenty tworzyć. Są mu do czegoś potrzebne, do czegoś ważnego, ale ja sam nie wiem do końca do czego.
- Kamienie mają swoją energię, swoją wibrację. Daj mi, Panie, na chwilę ten klejnot, a ja ci powiem coś o nim. - Kapa odwrócił się w stronę Trzy.
- No dobra, może być. Powiedz mi, co ci też mówi magia na temat tego kamienia? - To mówiąc, Trzy podał kamień do ręki Kapie.

Kapa ujął delikatnie duży kamień w prawą rękę. Lewą wyciągnął skądś wahadełko. Zaczął wymachiwać wahadełkiem tam i wte. Trwało to może trzy, cztery minuty. Skończył. Lecz nie oddawał jeszcze kamienia właścicielowi. Wyciągnął drugi rekwizyt, miał chyba pod stołem kuferek, skąd wyciągał te przedmioty, była to magiczna różdżka. Ujął ją w lewą dłoń i nakierował na kamień. Jego twarz zmieniła się ze spokojnej twarzy człowieka zrezygnowanego w jakiś taki grymas niedowierzania.

- Panie, przedziwne, zda się, że to jest martwy kamień – powiedział zszokowany

Mistrz Kapa.

- Co ty mi za głupoty pleciesz, przecież każdy kamień jest martwy.
- Nie, Panie, źle mnie zrozumiałeś. Ten kamień promieniuje bardzo złą energią, szarą energią, zielenią szarą.
- To dobrze, czy źle? - spytał Trzy.
- Źle, Panie, bardzo źle. Radziłbym Ci nie nosić przy sobie tego kamienia, choć niewątpliwie musi mieć wielką cenę. Bardzo wielką cenne. Lecz nie jest to naturalny diament. Tu nawet odczarowania nic nie pomogą. - Mówił Mistrz Kapa. Szybko podał wisior Trzy, tak jakby nie chciał mieć z tym kamieniem już nic do czynienia.

Trzy zaśmiał się do siebie. I z uśmiechem na ustach wziął i schował w kieszeni swój diament.

- Bzdury pleciesz, Kapa. Mam go już od roku i jakoś mi się nic nie stało.
- A, Panie, stale go ze sobąnosisz? - spytał Kapa.
- No nie. Jak sam stwierdziłeś, ma wielką wartość. Jeszcze by mi przepadł. Trzymam go w odpowiednim miejscu. Takim, do którego nie ma nikt wglądu.
- Nawet bogowie?
- Nawet i oni.
- To niech on tam leży sobie, Panie, w spokoju. I radzę się od niego trzymać z daleka. - mówił z zacięciem Mistrz Kapa.
- Och, wy magowie! Wiesz, Kapa, to ja w te wasze bajki nic a nic nie wierzę. Ale ze względu na dużą wartość wisiora i tak go nie będę nosił. Ale, wiesz. Tak sobie pomyślałem, że ty mi chyba dobrze życzysz?! Skoro mi to powiedziałeś. No nie, niebywałe, a ja cię tak traktuję, tak samo po chamsku jak Abel. Wzruszyłem się. - Lecz na twarzy Trzy nie pojawiło się wzruszenie, ale uśmiech politowania. Najwyraźniej drwił on sobie z Kapy. - Mi się wydaje, że coś Orotog musi wiedzieć o tobie, coś kompromitującego. Że ty go tak chcesz zniszczyć i uśmiercić. A przecież tak dobrze służyłeś Amargadeuszowi. I martwisz się tak o mnie, bo ja jestem jedyną dla ciebie drogą do boga Koboka.

Na te słowa Trzy, Mistrz Kapa jakby pozieleniał ze złości. Szybko jednak starł się ukryć fakt zmieszania, o które przyprawiły go słowa Trzy, i starł się zapanować nad mimiką twarzy. Co mu się po prawdzie udało. Trzy nie dostrzegł tej konfuzji maga. Mistrz Kapa zaś rzekł:

- Masz, Panie, wiele racji, tak mówiąc. Lecz zważ na to, że ja zwykle udzielam rad, i to myślę dobrych rad, i to nie tylko jak w tym przypadku tobie. Z tego wszak żyję.
- No dobrze, Kapa. Zostawmy to. Pamiętaj. Za dwa miesiące przylatuje na Ziemię bóg Kobok. Wszystko ma być temu podporządkowane.

Dziś o świcie przywitało go słońce. Wstał szybciej nawet niż Puto, który miał izbę w tym samym korytarzu. Preusurt Oland mógł więc spokojnie dokonać porannej toalety. Ogolił się, i gdy już to chował swoją brzytwę do szafki, obudził się w końcu Puto, który wyszedł ze swej komnaty. Puto dawny niewolnik, był teraz ważnym urzędnikiem w królestwie. Był zastępcą Presurta Olanda. Było już nawet tak, iż to on faktycznie sprawował władzę w tym urzędzie. Bo to przecież Oland ciężko chorzał. Ale oto Oland był teraz zdrów. Jak więc Puto przyjmował tę ważną zmianę? Był chyba zazdrosny. Posmakował on ci bowiem już mocno we władzy. A człek, nie ważne jak krystalicznym byłby człowiekiem, ma taką znamioną cechę, iż łatwo się przyzwyczajają do zbytku, i do władania. Tak, że potem trudno mu jest oddać te przywileje. No, chyba że już jest tak stary, jak na przykład książę Regent.

Baronowa Juta gościła właśnie w pałacu baronowej Geldery. Więc łóżko Oland dziś dzielił jedynie ze swym cieniem. Już od tygodnia Juta pomieszkiwała u Geldery. Bowiem ta ostatnia strasznie chciała, by Juta pomogła jej w urządzaniu wesela córki Alekdy z samym księciem Agartem, synem Regenta. Ślub już miał być na dniach. Po ślubie zaś wielkie weselisko.

Oland był nawet zadowolony z tego, bowiem miał teraz tyle spraw na głowie, iż Juta, po prawdzie, tylko by mu przeszkadzała. Oland był ostatnio częstym gościem na Zamku Królewskim. Kursował zwykle do szambelana Obika. I razem omawiali w gabinecie Obika swoją sekretną misję opieki nad młodziutkim księciem delfinem. Nikt, oprócz ich dwóch, nie miał o tym zielonego pojęcia. Prawdopodobnie nie wiedzieli o tym nawet szpiedzy księcia Regenta. Obik ukrywał to nawet przed swoimi stronnikami. Swe zaś wszystkie poczynania usprawiedliwiał dobrem królestwa. Podobnie i Oland robił w stolicy tylko tyle, by uchodziło to za zwykłe czynności przynależne z urzędu Presurtowi. Gdy mijali się w korytarzu, Puto nagle odezwał się:

- Panie, wczoraj wieczór przybył posłaniec od szambelana Obika do Cię, lecz, że spałeś, dał mi ten list.

Na te słowa Oland aż obrócił się na pięcie.

- Czemu mnie nie obudziłeś – Oland nerwowo zareagował.
- Posłaniec mówił, że to nic tak pilnego.
- Gdzie masz więc ten list?
- Tu, Panie. - Puto wyciągnął zza rękawa list. Pieczęcie były całe. Oland mógł odetchnąć. Nikt tego pisma jeszcze nie otwierał.
- Na przyszłość, bacz, Puto, by mnie zawsze budzić w takiej sytuacji. - Oland trzymał w ręku list, lecz go jeszcze nie otwierał. Najpewniej czekał, aż Puto zostawi go samego. Lecz oto Puto, chyba bardzo ciekaw, rzekł:
- Panie, nie otworzysz?
- Po śniadaniu. Niech nic nie wytrąca mnie z równowagi, dopóki nie posilę się

choć trochę. - odrzekł mu na to Oland.

Puto chyba zrozumiał aluzję, bo szybko wyszedł do kuchni. Oland został więc sam. Nie śpiesząc się, więc wbrew temu, co powiedział swemu słudze, Puto, iż przeczyta dopiero po śniadaniu, rozłamał pieczęci szambelana i rozwinął list. Odkąd wyzdrowiał ze swej głównej boleści, zauważył także, iż wzmogły się jego zmysły. I lepiej widział, i lepiej słyszał. Teraz więc nie musiał się wspomagać swym szmaragdowym szkiełkiem, przez który dotąd zwykł czytać wszelkie listy i księgi.

Mój drogi przyjacielu, Olandzie.

Piszę ten list do Ciebie, pomny na nasze przymierze. Oto doszły do mnie nowe fakty dotyczące Mistrza Kapy i zagrożenia jakie płynie z jego strony dla naszego Miłościwego Pana, Królewicza Orotoga. Oto mój słuszny człowiek, oddany mi bez reszty, wykrył coś. Czego niestety nie mogę napisać w liście. Czekam więc na Ciebie, przyjacielu. Sprawa jest poważna. Przyjmij moje pozdrowienia.

Twój wierny przyjaciel, Obik.

No tak, wyglądało więc, iż sprawa była jednak pilna wczoraj wieczorem. Puto jednak nie wykazał się intuicją. Oland pomyślał, że pierwsze, co zrobi, po śniadaniu, to pójdzie czym prędzej na Zamek Królewski, by porozmawiać z szambelanem.

- Panie ! – nagle Oland usłyszał głos Puto, który dobiegał zza drzwi.
- Co się stało?
- Panie – do komnaty pośpiesznie wszedł Puto. - Zamach na Zamku Królewskim.

Oland poczuł falę ciepła, która podeszła mu z okolic brzucha aż do głowy.

- Coś z delfinem? - zdążył wyszeptać.
- Nie, Panie, królewicz jest bezpieczny.
- Więc co się stało?
- Ktoś próbował otruć szambelana Obika. Nie można go było dobudzić z rana.
- O bogowie! - wykrztusił z trudnością Oland.- Szybko, niech podstawią lektykę. Pędem lecę na Zamek. A ty tu zostań. Gdyby przybyła ma małżonka, powiedz jej, gdzie się udałem. Tylko, nie dopuść, by ona poszła za mną na Zamek. Tam może być teraz niebezpiecznie.

Gdy dochodzili już lektyką do Zamku Królewskiego, Oland mógł doskonale zobaczyć za zasłonki, iż niejaki tumult i gwar wzmógł się wokół pałacu. To Wendyjczycy komentowali na głos to, co się stało w środku. Oland zrobił gest, by niewolnicy niosący lektykę się zatrzymali.

Szybko też wyszedł z lektyki i podszedł do najbliższej przekupki. Wszyscy byli zwróceny w stronę zamku, więc zdało się, że nikt nie zwraca uwagi na notabla Olanda.

- Kobieto, co się tam stało? - zwrócił się do starej kobiety, co handlowała przed zamkiem zieleniną. Tamta jakby się do niego odwróciła. Zobaczył na jej obliczu, że chyba dostrzegła, że ktoś ważny do niej mówi.
- Panie, szambelan Obik umiera. Co to będzie dla nas, ludzi prostych, jak on skona? Taki dobry człowiek. To on zezwolił, byśmy tu mogli handlować.
- To on jeszcze żyje?
- Tak, Panie, ale źle z nim zaprawdę. Lecz nie chce żadnej pomocy od Mistrza Kapy. To dziwne, prawda?

Już tam Oland dobrze wiedział dlaczego, lecz pozostawił kobiecinę, nie wyjaśniając jej tego. Wskoczył szybko do lektyki i zasunął zasłonkę, tak by plebs zgromadzony wokół nie mógł go rozpoznać. Krzyknął tylko na niewolników, by szybko go zanieśli, prosto przed zamkowe podwoje.

Gdy już szedł korytarzem prosto do komnaty szambelana, zobaczył, iż gwardianie pilnują tego miejsca. Na jego widok, jeden krzyknął:

- Przejście dla Presurta Królewskiego.
- Co tam? - krzyknął do niego.
- Panie, u szambelana jest Jest Jego Królewska Wysokość Książę Orotog. - usłyszał od tego samego.
- Dobrze, puśćcie mnie więc tam.

Gwardianie się rozsunęli, tak by Oland mógł śmiało przejść.

W środku na wielkiej ławie leżał okryty skórą Obik. Na widok Olanda uśmiech rozpromienił jego oblicze. Trzy łokcie od niego stał książę delfin.

- Wasza Królewska Mość – Oland zwrócił się do Orotoga.
- A, jesteś Oland! Chyba już jest lepiej, szanowny szambelan chyba przetrzymał kryzys. Posłałem po Lopeoda . Ledwo on chodzi, ale do szambelana musi przyjść, taka ma wola.
- Wasza Królewska Wysokość, tylko nie Mistrz Kapa. Na Kerdolota Cię proszę.-

wystękał Obik.

- Dobrze, dobrze, masz moje słowo. Lopeod zaraz tu przyjdzie – powiedział powoli do Obika Orotog. A tamten jakby rozumiał słowa królewicza, bo się uspokoił.

Zdało się nawet, iż Obik popadł w jakiś stan drętwoty, może półsnu. Miał cały czas otwarte oczy, lecz leżał cicho i tylko ciężko oddychał.

- Co jest z tym Mistrzem Kapą, nie wiesz, Oland? - Orotog obrócił się do Presurta
- Wasza Królewska Mość, przebacz i nie miej za złe, ale nie miejsce tu i czas, i zbyt wielu ludzi, by Ci, Panie, wszystko wyjaśnić. - cicho zaś szepnął następcy na ucho. - Panie, w swoim czasie wszystko zrozumiesz.
- No dobrze, dobrze, jak tam chcecie. Ale czekam niecierpliwie na wyjaśnienia.- Orotog też szeptał. - Przyjdź więc jutro do mnie po wieczery na komnaty królewskie, będę sam, wtedy mi to powiesz. Co jak, szanowny Presurcie? - to ostatnie zdanie Orotog powiedział pełnym głosem. Do swoich gwardian zaś zakrzyknął. - Idziemy do królowej Matki, wydaje się, że szambelan przeżyje, resztą zajmie się medyk Lopeod.

I znowu zrobił się tumult. To wychodził z komnaty szambelana książę delfin, a za nim cała jego obstawa. Lecz już po minucie wszystko się uspokoiło. Służba zamknęła drzwi do komnaty. W środku zostali tylko Obik i Oland, a także dwóch niewolników z osobistej załogi szambelana. Oland przybliżył się do Obika, tak iż nawet mógł wyczuć zapach przepoconej skóry lamy, którą miał narzuconą na ramiona Obik. Oddychał on ciężko, lecz równomiernie. Oland nawet chciał zagadnąć do przyjaciela, lecz, jak tylko przyjrzał się jego obliczu, zrezygnował. Nie upłynęło może pięć minut od wyjścia Orotoga, gdy dało się słyszeć z korytarza :

- Szanowny Medyk Królewski Lopeod do szambelana Obika!

Oto otworzyły się znowu drzwi, powiew przeciągu ochłodził skronie obecnych w komacie szambelana. Do środka wszedł z trudnością, wsparty o drewnianą laskę Lopeod.

- O! Jakże się cieszę, iż widzę cię, Presurcie, w zdrowiu. Kto Cię to wyleczył i przywrócił światu? Ja nie umiałem. A jak tam nasz pacjent?- Lopeod powiedział na przywitanie.
- Witaj, Szanowny nestorze. Z szambelanem niedobrze. Zobacz sam.

W rzeczy samej, Lopeod już doszedł do Obika, bez zbędnych ceregieli wziął go za przegub i badał tętno.

- Jak tam z wami, szambelanie? - Lopeod starał porozumieć ze swym pacjentem.
- A to ty, Lopeod, ratuj, bo mnie chyba chciano otruć – wydusił z siebie z trudnością Obik.
- Pokaż, Panie, język. A! Rzeczywiście – powiedział Lopeod po oglądnięciu języka.- Masz, Pan, szambelanie chyba rację. - Zgodził się Lopeod.

Lopeod sięgnął do małej teczuszki, którą miał przewieszoną na ramieniu.

- To będzie chyba dobre – powiedział, wyciągając coś ze środka. - Byłem na to przygotowany, że to będzie trucizna przyczyną twojej kondycji– mówił głosem, który ze starości mu się nieco załamywał.
- Co podasz Obikowi, Panie?
- Odrzucił na żółt czarnego smoka. Bo to najpewniej tym chciano otruć szambelana. - odrzekł Lopeod. - Szambelanie, racz otworzyć usta i połknij zawartość tej fiolki. - Jak na medyka przystało zaordynował.

Obik przełknął fiolkę od Lopeoda, lecz zrobił przy tym minę, jakby żabę połknął.

- No, wiem, wiem, niedobre. - Odrzekł mu na to medyk. - Lecz bardzo skuteczne. Jeszcze dziś zjesz z apetytem wieczerzę. Przyrzekam tobie, szambelanie. Tylko uważaj, by ci znów jakiejś trucizny ze strawą nie podano. Ty, panie, masz więcej wrogów na dworze królewskim niżli przyjaciół, do których jednak ja z radością mogę siebie zaliczyć. I ciebie chyba, Panie, też? – tu Lopeod zwrócił się do Olanda.
- Tak, słuszna uwaga – potwierdził te słowa, stojący trzy łokcie od nich Oland.

Stary Lopeod jakby zachwiał się nagle na nogach. Desperacko oparł się o swoją laskę. Na szczęście tym razem zdołał się uratować przed upadkiem. Wszystko to doskonale widział Oland.

- Może , nestorze, usiądziesz na ławie – była tam też druga, wolna ławka.
- Tak, tak – łamanym głosem odrzekł medyk. - a właściwie moja rola się już skończyła, bo szambelana z każdą godziną będzie teraz nabierał sił. Lecz posiedzę tu z wami dla towarzysztwa. I tak muszę jeszcze dziś pójść do królowej Matki.
- Czy jest ona chora? -spytał Oland.
- I tak, i nie. No wiecie, to taka przypadłość typowo kobieca. Żaden mężczyzna , oprócz, oczywiście, nas, medyków, nie zrozumie tego. Powiem wam tylko tyle, że królowa Matka spełniła się już jako kobieta. Tylko ci...cho! Ja nic wam nie rzekłem. Czy możesz, Panie, być pewien swych sług ?– Lopeod powiedział to

- wyraźnie w stronę szambelanie.
- Tak, mów swobodnie, szanowny Lopeodzie – z trudem odrzekł Obik, równocześnie przebijając oczyma, niczym ktoś chory na płaswicę.
 - Teraz już nasza Pani może być babką. - mówił medyk. - Lecz, powiem wam, że ona to mocno przeżywa. No cóż, kobiety gorzej od nas, mężczyźni, znoszą upływający czas, tę przesypującą się klepsydrę, którą dla nas, dla każdego z nas, odmierza upływające lata bogini Chronora. Mówię to tylko, pomny na to, iż jestem wśród przyjaznych mi osób, czyż nie, Olandzie?
 - Naturalnie. Nic, co mówisz, nie przeniknie przez mury tej komnaty – powiedział Oland.
 - Ciekawi mnie jedno.
 - Co takiego, Lopeodzie? - spytał Oland.
 - Czy są jakieś umotywowane podejrzenia, kto chciał cię otruć, szambelanie? - Lopeod już siedział na wolnej ławie. Poprawił sobie szaty, a laskę położył obok. Obrócił się także do Obika, lecz to Oland zaczął.
 - Hm ... - lecz teraz to Oland miał opory, by wyjawic prawdę medykowi, jakkolwiek dostrzegł, iż Obik minął twarzą mówił mu i zachęcał, by jednak powiedział wszystko. - To znaczy, teraz my prosimy cię, Lopeodzie, o dyskrecję.
 - Naturalnie – jękając się rzekł medyk.
 - No, więc, my wiemy, kto stoi za tym zamachem. To jest sam Mistrz Kapa. Mistrz Kapa staje się z każdym miesiącem, tygodniem, ba! , dniem coraz bardziej zagrożeniem dla porządku naszego królestwa. - mówił zapamiętałe Oland. Po twarzy Lopeoda było widać, że i jego ogarniają emocje.
 - Nigdy go jakoś nie lubiłem – rzekł Lopeod. - choć, to prawda, nigdy sobie nie wchodziliśmy w drogę. Ja się zajmowałem zawsze leczeniem ciała, a on dusz naszych pacjentów. Lecz, powiem wam, iż zawsze widziałem u niego to, co miał także i Mag Uberyk.
 - To znaczy? - przerwał mu Oland.
 - Tę jakąś taką żądzę władzy i posiadania. Oni oboje to mieli – kontynuował medyk Lopeod. - I zawsze starali się ukrywać tę cechę przed innymi. Lecz mnie, starego medyka, nie tak łatwo podejść.
 - Dobrze to u...jąłeś -powiedział z trudem Obik. - O tak! Żądzę władzy. On się przed niczym nie cofnie, byleby tylko dostać swego, tak, jak wypisz, wymaluj Uberyk. Masz całkowicie rację, przyjacielu. Dlatego...
 - Dlatego – Oland przerwał Obikowi – my, i nasi stronnicy, od jakiegoś czasu bacznie przypatrujemy się Kapie. I stąd najpewniej ten zamach na szanownego szambelana. Bowiem to on koordynuje nasze działania. Więc Kapa uderzył teraz w nasz najczulszy punkt.
 - Rozumiem – stwierdził Lopeod. - Na mnie, panowie, możecie zawsze liczyć. Lecz ze względu na mój wiek i moją opłakaną kondycję fizyczną nie będę mógł tak aktywnie, jakbym chciał, Wam pomagać. Ale, jeśli potrzebujecie

jakieś finanse lub środki trwałe, to możecie na mnie liczyć.

- Dobrze, szanowny Lopeodzie. Będziesz na honorowym miejscu na naszej liście stronników. - Oland uśmiechnął się do medyka, i podał mu rękę, tak jakby dobijali targu.

Obik leżał niczym w letargu. Miał jednak cały czas otwarte oczy, tak jakby się bał, że , gdy je zamknie, to zamknie już na wieki. W komnacie oprócz Obika był tylko Presurt Oland, który siedział w drewnianym fotelu umoszczonym futerkami norek. Oland został tu, pomimo nawet tego, iż Lopeod , wychodząc stąd godzinę temu , zalecił, by pozostawić szambelana samemu. Jednak Oland został koniecznie po to, by w końcu dowiedzieć, dlaczego wczoraj wieczorem szambelan Obik wysłał do niego list. Bał się chyba, że jak zostawi Obika, to być może już się nie dowie. Zostali tak więc we dwoje. Jeden nie miał nawet na to sił, by rozmawiać, a drugi z tą nadzieją, że przyjaciel dojdzie jeszcze dziś do sił. Lopeod powiedział, wychodząc, iż najpewniej minie pięć godzin i w końcu Obik na tyle dojdzie do siebie, iż poczuje głód. A będzie to wówczas oznaka, że wrócił do sił. Olandowi zostało więc jeszcze ponad trzy godziny czekania. Miał jednak nadzieję, iż Obik wyjaśni mu, dlaczego doń pisał tak późną porą. Aby więc zabić nudę, Oland wziął z biurka szambelana papirus, pióro gęsie i trochę atramentu z ośmiornicy. Chciał się czymś zająć. Obik, a szkoda, nie miał u siebie żadnej książki, która zainteresowałaby Olanda. Dlatego Presurt postanowił, że napisze coś, może jakiś mały traktat albo poezję. Już dawno nie napisał nic, a przecież to jego wiersz zdobył wyróżnienie na konkursie poetyckim z okazji święta Isztar w królestwie Engorze, wtedy to, gdy razem z księciem Adlarem byli wysłannikami z ramienia króla Amargadeusza, który tym samym starał się o rękę jeszcze wtedy księżniczki Sylandy. Tamten wiersz był o miłości. Dziś zaś najpewniej, jeśli coś napisze, to pewnie będzie to wiersz o kruchości życia i o jego cieniach. No cóż. Każdy wiek ma swoje prawa. W młodości patrzy się głównie sercem, w sile wieku zaś dostrzega się jedynie pobrzękujące kiesy i kabzy. Wziął się więc za pisanie. Lecz po prawdzie, ten lek od Siódmego Elfa, który kiedyś zażywał, chyba nie miał w konsekwencji żadnego wpływu, albo bardzo marny, na jakość i sort myśli i pomysłów, które powinny doń przyjść, tak jak przychodzą zwykle do ludzi w takiej sytuacji. Po prostu nic nie umiał wymyślić. Nic mu nie przychodziło do głowy. Siedział więc i tylko z pasją nadgryzał gęsie piórko. A jeszcze mu to mówił onegdaj poeta z zawodu, finansista z zamiłowania, i dość dobry przyjaciel Olanda, baron Elubed, iż poezję można tworzyć w każdej sytuacji, w każdych okolicznościach życia. I czyżby mylił się ten wielki poeta swoich czasów? Oland mocował się tak ze sobą ponad pół godziny, i już już, jak gdyby poczuł, że jest blisko, lecz oto wtedy niespodziewanie odezwał się z ławy szambelan Obik:

- Pić, wody! - zacharczał.

Na to Oland zerwał się z fotela i czym prędzej podał drewniany kubek ze źródłaną

wodą przyjacielowi. Obik łąpczywie zamoczył usta w źródlanej wodzie. Upił spory łyk. I pił, pił tak, że Oland musiał nalać z amfory do kubka jeszcze. Gdy w końcu po trzech takich pełnych kubkach Obik miał dość, beknął zdrowo, po czym przemówił:

- Dobrze, że jesteś Olandzie. Powiedz mi, czy jesteśmy sami w komnacie?
- Tak – odpowiedział Oland, równocześnie poprawił skóry, na których spoczywała głowa Obika.

Na te starania Presurta Obik jedynie ciężko westchnął.

- Już mi lepiej, znacznie lepiej – powiedział. - Chciałem Ci coś powiedzieć, coś bardzo ważnego.
- Dlatego tu przyszedłem, Obiku. Właśnie dlatego. Wprawdzie list, który do mnie napisałeś, dotarł do mnie wczoraj wieczorem, ale przeczytałem go dopiero dziś rano, i potem też dowiedziałem się o zamachu na Ciebie. Dlatego, jak szybko mogłem, tak tu jestem.
- Jak długo już tu jesteś?
- No pół dnia. Od samego rana.

Zdało się, że Obik chce powstać ze swego legowiska. Podwinął skóry, którymi był obłożony. To wszystko skóry lam były. Oland, widząc to, zaprotestował:

- Gdzie? Gdzie chcesz stąd iść?
- Już jestem silny. Czuję, że jak dłużej będę leżeć, to mnie rozboli głowa. Zawsze tak mam, jak za długo leżę w łożnicy.
- Ale medyk Lopeod zalecił, byś przynajmniej do wieczery leżał. - mówił wyraźnie zmartwiony Oland.
- Ach ten Lopeod. On jest naprawdę dobrym medykiem, i naszym stronnikiem, ale swoje ciało to ja znam lepiej od niego.
- Hm... No masz zupełnie rację – przyznał mu Oland. - Czyli zamierzasz się gdzieś teraz udać?
- Nie, mój drogi. Nigdzie nie pójdę. Lecz siądę na fotelu. Musimy porozmawiać. Powiem ci to, co już wczoraj chciałem ci powiedzieć. Rzecz dotyczy, oczywiście, Mistrza Kapy. Ale poczekaj jeszcze chwilę, muszę się jakoś pozbierać. Usiądź sobie tymczasem. Zaraz krzyknę na niewolnika i przyniesie nam lekkiego wina.
- Nie, mój drogi, żadnego wina. Przynajmniej tą radę, racz przyznać, Lopeoda wypełnimy do końca. Napijmy się tej wody, co masz w amforze. Kosztowałem, to dobra woda.
- Jak chcesz, mój drogi.

Nieco chwiejąc się na nogach, Obik wstał i podszedł do drzwi, które wiodły do jego

prywatnej toalety. Nie było go tam przez chwilę. Tymczasem Oland nalał sobie do kryształowego kielicha wody z tej samej amfory, z której poił jeszcze tak niedawno Obika. Rzeczywiście, musiał przyznać to powtórnie, ta woda była pyszna. Wydawać by się mogło, że woda to tylko woda. Nic bardziej błędnego.

Gdy Oland dopijał już swoją wodę, z toalety wyszedł ociężały Obik. Miał jeszcze problemy z poruszaniem się. Tak jakby lewa noga chciała iść inną drogą niż prawa. Lecz głos już miał normalny, rzekł:

- Napisałem do ciebie wczoraj list, bo ważna rzecz się stała – usiadł na drugim fotelu.
- Cóż takiego?
- Mój drogi, jest naprawdę źle. Bardzo źle. Oto od mojego zaufanego wiem, pozwól, że zachowam jego imię dla siebie, dla jego i dla naszego bezpieczeństwa, iż Mistrz Kapa planuje zamordowanie naszego Miłościwego Pana Księcia Orotoga. Oto mój człowiek podsłuchał, iż Mistrz Kapa omawiał tę kwestię z emisariuszami boga Koboka. Jakoby żądał on, by Kobok mu pomógł w tym zamiarze, a przede wszystkim by w ogóle wyraził zgodę na usunięcie księcia Orotoga. - Obik, mówiąc to, spocił się niemało. Wyciągnął skądś jedwabną chustkę i powoli zaczął przecierać nią czoło.
- Nie może być, to przecież zdrada! - Wręcz wykrzyknął Oland.
- Sęk w tym, Olandzie, że nie mamy żadnych dowodów. Bo, gdybym je miał, Kapa by już dawno wisiał na haku przy zamkowej fasadzie. Tam gdzie zgodnie z zwyczajem jest miejsce dla zdrajców króla i królestwa.
- Więc coź zrobimy? Najlepiej powiedzieć wszystko królewiczowi. Niech on zdecyduje.
- Myślałem też o tym. Ale po pewnym namyśle zrezygnowałem. I tobie też radzę, by na razie się wstrzymać. Z tego co mi mówił mój człowiek. Teraz i w przeciągu najbliższych dwóch miesięcy nasz Pan, książę Orotog, jest zupełnie bezpieczny.
- Dlaczego? Wszak Kapa może się targnąć na jego życie, podobnie jak targnął się na twoje. - Oland był aż cały czerwony z emocji.
- Otóż, mój drogi Olandzie, bóg Kobok ma być wśród ludzi dopiero za owe dwa miesiące, a do tego czasu Kapa nie może nic sam decydować. Zbyt on się boi sam o swoje życie, a zdrzeć z Kobokiem, to tak jakby się już żegnać z życiem.
- No to co zrobimy?
- Mam pewien pomysł – Obik ściszył znacznie swój głos. - Musimy to my, nim Kapa to zrobi, dostać się przed oblicze boga Koboka i przekonać go, że śmierć Orotoga nie będzie dobra dla niego, właśnie dla Koboka. Choć to przecież bóg, lecz jest też skłonny ulegać pewnym argumentom. Tak mi przynajmniej mówią moi zaufani. Nic więc jeszcze nie jest przesądzone. Ale rozumiesz, jak bardzo jesteśmy teraz niebezpieczni dla Mistrza Kapy. Tak jak mnie chciał zgładzić,

ciebie też będzie chciał zlikwidować. Na to mu nie jest potrzebne pozwolenie od Koboka, z całym szacunkiem, jesteście jednak tylko blotkami przy naszym Miłościwym Panu księciu Orotogu. I ty bacz pilnie na swoje bezpieczeństwo. Ja już od dziś będę korzystał z królewskich próbowa czy jadła. Nim zjem coś, próbowacz będzie to jadł przede mną.

- Hm ... Ja mam zaufanego kucharza. Ale teraz oto zacząłem bać się o moją małżonkę. Jeśli Kapa jest tak bezwzględny, to może uderzyć w nią, tym bardziej by razić we mnie.
- Odeślij ją więc do swej posiadłości, do lenna. Taka moja rada.
- Zrobię tak, najpewniej – Oland przytaknął. - Lecz macki Kapy mogą sięgać aż Pustyni Róży. Tym bardziej jego magia.
- Jest i na to sposób – Obik już mówił swobodnie. Cała jego słabość odeszła bezpowrotnie. - Spytasz jaki?
- Otóż to, jaki? - przyznał mu Oland.
- A bo to jest jeden mag na tym świecie. Przecież i sam Mistrz Kapa był początkowo pożyteczny, bo neutralizował czary Maga Uberyka. Swoją drogą, widać doskonale, że ci wszyscy magowie są warci jednego.
- Bo to wiesz, chyba ta moc, jaką posiadają, tak ich wypacza.
- Może, może. W każdym razie ja postanowiłem sobie, że przyjmę do swego urzędu jakiegoś młodego, dobrego maga. Najlepiej protegowanego Ereja. Czyli takiego, co to skończył lub niedługo zakończy naukę w Szkolnicy Królewskiej. - powiedziała Obik. - To on mi pomoże zneutralizować wpływy magiczne Mistrza Kapy. Są na to pewnie jakieś środki.

Równocześnie podszedł do okna i zamknął okiennice. Trochę się ciemniej zrobiło w komnacie. Ale na to dictum Obik zapalił dodatkowe świeczniki, które w rogu stały.

- Wiesz, to jest nawet dobry pomysł. Erej wręcz nie cierpi Kapy i jego popleczników. Na pewno wyznaczy dla ciebie jakiegoś bystrego i młodego maga. - przyznał Oland. - Ja może i zrobię to samo, ale najpierw upewnię się, jak to wyjdzie u ciebie.
- Tylko pamiętajmy o tym, że czas pracuje dla Kapy. To my musimy zmienić przeznaczenie. To my musimy działać. Przyjdź jutro do mnie, to zastanowimy się wspólnie, jakie środki dalej przedsięwziąć. I ty przez noc zastanów się, jaką to metodą sprawić, by dostać się przed oblicze boga Koboka. Ja usilnie takowoż całą noc na obmyślenie tego stracę. Jeśli to się nam uda, to potem już będzie znacznie łatwiej. Nie uważasz? - Obik zawiesił głos.

Lamart z nabożną przewijał Księgę Jutra. Lecz kupując ją, z pomocą swego przyjaciela, Kolego, został trochę okantowany, oszukany. Oto bowiem okazało się, że akurat ten tom, który mu przypadł, był napisany w języku i alfabetem elfów. Najprawdopodobniej był to tom, który pierwotnie należał do Maga Uberyka. Lecz wynika stąd, iż ten swego czasu ten przeciwnik króla Amargadeusza znał także język elfów, Lamart zaś zupełnie nie. Nie mógł nawet się domyślać, co ta księga zawierała. Jednakowoż już teraz Lamart poprzysiągł sobie, że nim skończy edukację w Szkolnicy Królewskiej nauczy się języka elfów, a także języka gnomów, co też mu może się kiedyś przydać w życiu. Choć najpewniej była to księga Maga Uberyka, lecz nie było to pewnym niezbitkiem. Może ktoś sprowadził tę wersję prosto z zimnych i lodowych krain elfów. Jak panowała powszechna opinia na świecie obecnie było tylko kilka, może sześć lub siedem takich ksiąg. Żaden skryba nie odważyłby się bowiem skopiować tej księgi. Długo by bowiem nie pożył na tym świecie. Wiedzieli o tym wszyscy. Prości ludzie i królowie, i książęta. Lecz jak teraz tak rozwijał tę księgę, mógł dojrzeć, iż były tam, i to wcale niemało, ilustracje. Barwne, kolorowe, które przedstawiały adekwatnie do treści jakiś sens z tej księgi. Te ilustracje były starannie wykończone i przykuwały wzrok. Na jednej z takich ilustracji Lamart zidentyfikował, a tak przynajmniej mu się stało, wizerunek boga Kerdolota w swym rydwanie podniebnym, w swej karocy. Najpewniej to był sam Kerdolot, bowiem w rękę miał atrybut swej władzy, świetlistą błyskawicę. Na głowie zaś atrybut swej boskości, zakręcone bycze różki, które wystawały z płataniny włosów.

O tym, że księga jest spisana językiem elfów, Lamart mógł się przekonać tuż po jej zakupie, gdy oto chciał siłą swej ciekawości pokosztować tych mądrości zawartych w księdze. I oto taka niespodzianka. Być może to był główny powód tego, iż dawny właściciel rozstał się bez żalu, i nawet za dość małą sumkę, z tym tomiskiem. To był stary człowiek. Lamart, odbierając z jego rąk księgę, przy asyście Kolego, widział, iż jego ręce są tak pomarszczone, jak łodygi zeschniętych kwiatów. Nie dojrzał jego twarzy, bo ta była zakryta kapturem, lecz głos jego był dźwięczny, jakby należał do innej istoty. Dla starca skrajnie trudnym byłoby nauczenie się języka elfów, lecz Lamart był przecież jeszcze chłopcem, przed którym zaczynało się życie.

Koli, nie pomny klątwy Księgi Jutra, też chciał zobaczyć tę księgę na własne oczy. I on więc wiedział też, że jest zapisana językiem starożytnej rasy elfów. Po tym, gdy stali niczym zamurovani na skraju Targu Solnego, gdzie dokonywali transakcji z byłym właścicielem księgi, po odkryciu tego faktu, Lamart mógł doskonale zobaczyć na obliczu Kolego, iż tamten z jakąś taką radością westchnął i z ulgą, tak jakby przyjacielowi to, a nie jemu, sprzedano zbuka. Lecz szybko się pomiarkował i przywołał do porządku. Lamart zresztą był świadomy tego, iż to, że to on się stał właścicielem Księgi Jutra, a nie Koli, wynikało tylko i wyłącznie z tego faktu, iż Koli na teraz był zupełnie splukany, po tych wszystkich aferach, w których był ostatnio uczestnikiem. Gdyby nie to, nawet by pewnie Lamart nie wiedział, że istnieje szansa zakupu tak cennej księgi. Lecz Koli, to rzecz pewna, jeszcze długo nie będzie w stanie operować takimi kwotami, za które Lamart nabył swą Księgę Jutra. Lamart też jednak ani myślał rozstawać się kiedyś ze swym nabytkiem. Nauczy się prędej

mowy elfów, niżli sprzeda ją komukolwiek, nawet Koliemu.

Gertak był na dole w swym warsztacie, matka prała szaty na brzegu Letugi. I choć Lamart dawał rodzicom sporo ze swych talentów, co to należały mu się jako uczniowi Szkolnicy Królewskiej, to jednak ojciec, Gertak, był tak przywykły do ciężkiej pracy w warsztacie, że ani myślał z niej rezygnować. Ale ogólnie w domu był dostatek. Rodzice nosili nowe szaty, kupili też nowe meble, wybielili ściany. Stary, kopcący stale piec kuchenny, wymienili na nowy.

Ostatnio nawet przybył do ich domu sam Królewskie Nauczyciel Erej, pewnie chciał się przekonać, w jakich to warunkach żyje Lamart. Odbył on długą rozmowę z Gertakiem. I od tego to czasu ojciec później zaczął zupełnie inaczej traktować syna. Okazało się, iż Erej w rozmowie z nim nie mógł wręcz nachwalić się nad talentami, jakie miał Lamart. Powiedział on Gertakowi, że jego syn ma predyspozycje stania się tym, kim był swego czasu sam Cygan Dziad. Oto Gertak słyszał o tym człeku, o Cyganie Dziadzie, już wcześniej, bowiem jego sława dotarła też do prostych ludzi, do zwykłych obywateli Wendy. Wiedział, iż to był wielki mędrzec, więc szybko pojął, czym takie porównania mogą skutkować w przyszłości. Erej zamienił też kilka słów z Odą. Pogratulował jej tak bystrego syna i powiedział, co ona sama wyznała Lamartowi przy wieczerzy, że ma on nadzieję, iż otoczy ona opieką syna do późnych lat życia. Bowiem zgodnie z tym, co mówi jego horoskop, nie zazna on szczęścia przy boku żadnej kobiety. Więc to właśnie ona, Oda, matka, będzie dla Lamarta najważniejszą kobietą do końca życia jej lub jego. Oda wzruszyła się tym dość mocno, i nie spała z tej troski później kilka nocy z rzędu. Lecz w końcu po pewnym czasie doszła do wniosku, że skoro tak bogowie ustanowili, to przyjdzie pogodzić się jej z tym. Erej najpewniej upewnił się, że Lamart ma odpowiednie warunki do nauki i swego dalszego rozwoju w domu swych rodziców i bogaty w tę wiedzę opuścił domostwo swego ucznia. Na pożegnanie jeszcze tylko zostawił Odzie i Gertakowi po pięć talentów, jako nagrodę Szkolnicy Królewskiej dla rodziców za tak wzorowe wychowanie syna. Tyle pieniędzy Gertak zarabiał za wielomiesięczną ciężką pracę w warsztacie. Dlatego też ojciec zakomunikował rodzinie, że dobrze byłoby ulokować te pieniądze w jakieś trwałe dobra. Może w ziemię, a może w złoto? Lecz najlepsze w ich przypadku byłoby zakupienie jakiejś działki ziemi na obrzeżach Wendy, bo złoto było strach trzymać w domu. Tak przynajmniej uważał Gertak. Lamart zasugerował jednak ojcu, by może zmienił on fach i wszedł w spółkę z jakimś szynkarzem. Jak świat bowiem światem mężczyźni zawsze będą pili wino i piwo. Lecz na to, w samej rzeczy, było teraz jeszcze za wcześnie. Za mało mieli środków. Gdyby Lamart nie kupił Księgi Jutra, mógłby wspomóc Getaka w takim celu. Gdyby? Gertak nie wtrącał się w finanse syna, pomimo tego, że był jeszcze on tak młody. Od samego początku przyjął zasadę, że jest za mało mądrym, by kierować życiem Lamarta. W tamtych czasach dość wcześnie uznawano chłopców za w pełni dojrzałych i godnych tego, by samemu kierować swym życiem. Chyba właśnie dlatego Gertak nie wymagał od syna, by ten mu się rozliczał z wszystkich wydatków i z wszystkich przychodów. A to, że w domu rymarza znajdował się egzemplarz Księgi Jutra wiedziały tylko dwie osoby. Lamart i Koli, i nikt więcej. Lamart był

pewnym Kolięgo. Wiedział, że tamten nikomu nie zdradzi tej tajemnicy. I choć Koli miał tendencje, by stale pakować się w kłopoty i tarapaty, jednak ich przyjaźń była solidna i pewna.

Lamart przewijał więc Księgę Jutra, nic z tego nie rozumiejąc. Ale cały czas powtarzał sobie w duchu: ja się nauczę języka elfów, ja się nauczę... W miarę jak rozwijał księgę jego determinacja w tym względzie rosła. I nie przeszkadzało mu to, iż w opinii wielu ludzi język elfów uchodził za bardzo trudny, pełny niuansów i o innej tonacji niż język ludzi. Gdzieś czytał nawet, że nie wszyscy mędrcy byli zaznajomieni z tym językiem. Oto Lurycjan, mistrz prawa naturalnego, w jednej ze swych ksiąg jawnie przyznał się, że nie zna języka elfów, bowiem jest on za trudny w opanowaniu dla niego. Niejasnym jest, czy nawet sam Cygan Dziad władał nim sprawnie, pewne echa w innych księgach, innych filozofów, trzeba jednak podkreślić nieprzyjaznych Cyganowi Dziadowi, stawiają tę kwestię pod dużym znakiem zapytania. Ale nic tam Cygan Dziad, nic tam Lurycjan, Lamart był pewnym tego, iż on sobie przyswoi ten niełatwy język. Miał po temu przynajmniej potężną zachętę. Tą zachętą była możliwość w takim razie czytania o własnych siłach Księgi Jutra.

Już sobie nawet postanowił, że pożyczycy z biblioteki Szkolnicy Królewskiej odpowiednie słowniki i katalogi dotyczące języka elfów. Nie będzie z tym kłopotów, bo ostatnim razem sam widział, gdy przeglądał osobiście te zbiory, takie opracowania, które mocno zakurzone leżały na półkach. Mocno osamotnione i już mocno podniszczone upływem czasu. Nie było przecież wielu, czy w ogóle był ktoś taki?, kto wypożyczył choćby jedną z tych ksiąg dla siebie, ku pożytkowi. A przecież język elfów choć skrajnie trudny, był jednak wysoko ceniony, jako język poetów i filozofów, oraz przede wszystkim jako język magii i nauk ezoterycznych.

Wyraźnie widać nawet w tym względzie, że to jednak już ludzie opanowali i podporządkują sobie stopniowo i nieubłaganie wszystkie publiczne sfery życia. Najwięcej bowiem ksiąg było napisane w języku ludzi. W bibliotece Szkolnicy Królewskiej było tylko kilka, może kilkanaście woluminów napisanych językiem elfów, nieco więcej, lecz też nie za dużo, było napisanych w języku gnomów, lecz cała reszta była już pisana językiem ludzkim. Gnomy i elfy bowiem, gdy chciały dyskutować z ludźmi, nawet na tematy uczone, musieli znać dobrze język ludzki. Nie było to dla nich aż tak trudnym, bowiem w ich opinii język ludzki uchodził za stosunkowo łatwy i prosty w swej gramatyce. Jednak, jak to zazwyczaj bywa w takich razach, za tym, iż język ludzki był stosunkowo łatwym, kryła się jedna pułapka. Oto bowiem, fakt, język ludzki był łatwy, ale dzięki temu istniało mnóstwo odcieni gwarowych, jakie panowały wśród ludzi. Owszem gramatyka była jedna i wspólna dla wszystkich, lecz bardzo łatwo można było rozróżnić, czy dany człowiek jest górale z Jkuty, masywu górskiego leżącego na granicy Fluksji i Engory, czy był rybakiem z portu Ulende. To właśnie ten pogłos, zaśpiew, inna intonacja sprawiała tę mnogą różnorodność. Ludzie więc dzięki tej cesze swego języka bardzo dobrze się identyfikowali i rozróżniali pośród siebie. Co było niejako koniecznym, by swojak trzymał się swojaka, a obcy był zawsze obcym.

Szczególnie cenne to było, gdy przyszło toczyć wojny i potyczki z innymi narodami.

Podobno, tak Lamart słyszał swego czasu, a może gdzieś wyczytał, elfy w swym języku mieli jednaście nazw na określenie śniegu. Na wodę mieli takich nazwa pięć lub sześć. Język elfów uchodził za bardzo bogaty i wyrafinowany. Może więc i ta jego cecha stanowiła, że był tak trudnym.

Orotog siedział dumnie przy drewnianym stole na ławie. Obok na kamiennej posadzce warowało sześć wielkich wilczurów, ulubionych psów księcia delfina. Czekwały one na swoją dolę, jak to Orotog zwykle karmił je prosto z ręki. Te psy dzisiaj zjadły więcej mięsa, niż rodzina prostego kmiecia przez cały rok. Nieco dalej, w służebnej pozie, może ta trzy łokcie za stołem, stał pochylony Presurt Oland. To właśnie jemu zależało, by delfin przyjął go dzisiaj, i to nawet w porze posiłku. Oland był sam, bez szambelana, któremu znowu się nieco pogorszyło, bo dostał kataru żołądka. Lecz z Orotogiem biesiadowało kilku jego przyjaciół, kompanów swawol młodzieńczych i pijackich pojedynków. Jedli oni w spokoju, jak na razie w spokoju, siedząc przy tym samym stole, ale już nie na tak eksponowanych miejscach. To wszystko arystokratyczna młodzież była, niewiele starsza od samego królewicza. Żartowali oni sobie zwykle w swym towarzystwie, zabawiając wielce skutecznie tym samym księcia Orotoga, ale teraz była cisza. Żarty się skończyły. To może ton głosu poważnego Olanda to sprawił. A może po prostu Orotog uciszył gestem swe towarzystwo.

- Powiadasz, iżbym najlepiej jak wyjechał na prowincję? Czy dobrze cię rozumiałe, Olandzie?
- Tak, Wasza Królewska Wysokość, proszę Cię w imieniu swoim, szambelana Obika, oraz wszystkich naszych stronników.
- A czemuż to, skoro mi tu tak dobrze?
- Panie – podniósł nieco głos. - Tu chodzi o twoje bezpieczeństwo. Najlepiej, jakbyś, Panie, wyjechał aż do czasu twej, Wasza Królewska Mość, koronacji.
- O moje bezpieczeństwo? Nudzisz mnie tylko, wszak otoczony jestem stale gwardianami, mam liczną kompaniję. Cóż mi więc może grozić? Mów, jeśli wiesz? Lub nie psuj mi wieczery. Władcy zawsze, i przez całe życie, są narażeni na niebezpieczeństwa, z drzewa się urwałeś?!
- Panie – Oland jeszcze bardziej wzmocnił swój głos. - To jest realne niebezpieczeństwo. Zważ, iż twój wierny sługa padł ofiarą zamachu.
- Mówisz o szambelanie Obiku?
- Tak, Wasza Królewska Mość. Gdybyś zechciał odprawić na pięć minut z tej komnaty swoich kompanów, będę Ci mógł wtedy to dokładniej wyjaśnić.
- Bredzisz, Oland, a ja cię przecież tak lubię. Lecz nie naciągaj struny, bo skończy się nasza przyjaźń. - Widać było, że młody królewicz ma nieco w

czubie. Jego kompani zaś, słysząc w jaki sposób odnosi się on do Presurta Królewskiego, zaczęli się jawnie podśmiewywać. Byłoby może śmiesznie, lecz Orotog ich znowu uciszył gestem ręki.

Psy się spłoszyły. Wielkie wilczury miały respekt przed swym panem. Patrzyły teraz w gotowości na Orotoga, tak jakby czekały od niego rozkazu.

- Nalegam jednak, Miłościwy Panie, byś odprawił towarzystwo choćby nawet na te pięć minut. - Oland okazał się śmielszym.

Orotog jakby napiął się w sobie, jakiś grymas bólu przebiegł mu przez lico. Na chwilę umilkł i tylko ciężko oddychał. Popatrzał bezradnie na swoją kompanię przy stole, a potem się roześmiał.

- Ha, ha, ha. No dobrze. Niech ci tak będzie. Ja i tak mam wyrok śmierci u wojowników Okute, ale coś musisz mieć dla mnie ważnego, skoro tak napierasz. Zostawcie mnie na chwilę samego z Presurtem Olandem, zaraz was zawołam, potem sobie w ogrodach zrobimy jeszcze turniej łuczniczy, ale to już po wieczery. - Równocześnie zrobił znaczący gest. Już mocno mający w czubie młodzi arystokraci poczęli gramolić się ze swoich siedzisk i powoli wychodzili posyłając za sobą zjadliwe spojrzenia w kierunku Olanda. Wśród nich był prawnik barona Zubera, tego który umarł już dawno temu na Wyspach Gnomów, którymi zarządzał z ramienia króla Amargadeusza, miał on na imię Luhfe i był, jak widać to doskonale z portretów barona Zubera, wielce podobny, przynajmniej fizycznie, do swego pradziadka, tego swego czasu Kanclerza Ulandii.
- Dziękuję, Wasza Królewska Mość – odezwał się Oland.
- Więc mów, o co chodzi, tylko szybko i treściwie – rzekł Orotog, zaraz po tym jak zostali w komnacie sami.
- Panie, wielkie Ci grozi niebezpieczeństwo ze strony Mistrza Kapy, który działa na twą szkodę i nawet dąży do twej śmierci.- Oland postanowił, że wyłoży całą sprawę od razu.
- To na szafot go, ani minuty zwłoki – parsknął śmiechem Orotog.
- Panie, to sprawa poważna, nie czas na żarty. Nie możemy oskarżyć go o zdradę królestwa, bowiem raz, że nie mamy twardych dowodów, dwa, że ma ochronę, można rzec, że boską. Jest on bowiem pod bezpośrednią ochroną Koboka.

Orotog jakby się zamyślił, potem odparł:

- To co to jest z tym Kobokiem? Coć mi się tam obilo przypadkiem o uszy, gdy usłyszałem, jak raz księżę Regent rozmawiał z mą matką. Lecz ja nic nie wiem.

- Panie, zgodnie z tym co ja wiem, miałeś się wszystkie dowiedzieć w swoim czasie, to znaczy po koronacji. Ale wydaje się, że będzie to już zdecydowanie za późno.
- Ty coś wiesz na ten temat?
- Mało, miłościwy Panie, bowiem chorowałem mocno ostatnimi laty, więc nie jestem w tym biegły. A sprawy królestwa miał na swej głowie książę Regent, wspomniany zdrajca, Mistrz Kapa, oraz po części szambelan Obik i jeszcze inni ważni ludzie. Ale jest to dość wąskie grono osób obeznanych z tym tematem. Wiem tyle, że to właśnie Kapa pośredniczył między bogiem Kobokiem a twym szanownym ojcem, królem Amargadeuszem, potem także, po śmierci króla, księciem Regentem. Lecz z tego, co mi wiadomo, na całe lata te kontakty uległy zamrożeniu, i, co nam donoszą szpiedzy, mają się one odnowić właśnie powtórnie za twego, Wasza Królewska Mość, panowania. Lecz ten cały Kapa chce Cię, wybacź Wasza Królewska Mość za mocne słowa, wyeliminować.

Zapanowała martwa cisza. Orotog miał minę, niczym go ktoś uderzył w samą głowę, w czubek głowy. Chwycił się za serce, jakby go ktoś go tam raził nożem.

- Wiesz, ja chyba wiem dlaczego Kapa mnie znienawidził – powiedział Orotog, krzywo się przy tym uśmiechając.
- Za co, jeśli można wiedzieć, Panie? Ważne to będzie dla nas, twoich wiernych sług, bo będziemy znać motywy działania Kapy.
- No tak, masz rację, Olandzie. Oto ja wykryłem, będą na zimnych północnych łądach elfów, że najprawdopodobniej Kapa podszywa się albo pod kogoś innego, albo nie ma wszystkich święceń, wymaganych dla Maga Królewskiego.
- Więcej szczegółów, Panie – Oland jakby nastawiał uszu.
- Spytajcie się księcia Atagra, bo był wtedy ze mną. Ja tylko tyle powiem, iż spotkałem się tam z elfem, który mniej więcej w tym samym czasie, co Kapa, był z Zakonie Czarnego Elfa. On to rzekł mi, że nie było tam wtedy żadnego człeka o imieniu Kapa, a ci co byli, najpewniej nie złożyli wszystkich ostatecznych wymaganych ślubów.
- O! I, Panie, uważasz, że to jest powodem działania Kapy?
- Wydaje mi się, że tak. Obawia się on o swoją pozycję i reputację. Nikomu wszak tego nie mówiłem dotąd. Nie mówiłem o tym, cośmy razem z Atagrem odkryli tam na tych zimnych łądach. Lecz widzę teraz, że zrobiłem błąd. Gdybym od razu zdemaskował Kapę, byłby już skończony, ale nie stanowiłby także już zagrożenia.
- Właśnie, Wasza Królewska Mość, twój osąd i wnioski są słuszne. A teraz nam,

twoim wiernym sługom, będzie skrajnie trudno zneutralizować wpływ Kapy. Wszak to przez niego będzie przemawiał już wkrótce bóg Kobok. No, ale nic. Bądź dobrej myśli, Panie. Na szczęście masz wielu oddanych tobie wiernych sług, do których ja i szambelan Obik się zaliczamy także. Pocieszające jest, iż Kapa ma związane ręce co najmniej przez najbliższe dwa miesiące. I nie będzie mógł w tym czasie nastawać na twoje życie, Panie. Co innego my. Jak już ci mówiłem, Panie, jesteśmy tylko blotkami w tej grze. Więc musimy uważać na niego. Jednak rażąc w nas, będzie on też pośrednio raził w Ciebie, Panie.

W świątyni Isztar, ogromnej, zwalistej niby ziggurat, budowli, było dziś duszno i parno. To oddechy zgromadzonych ludzi na tym wielkim arystokratycznym ślubie to sprawiły. Ale był przy tym pewien zgrzyt. Oto okazało się, że ceremoniałowi nie przewodniczył Mistrz Kapa. Jakieś ważne sprawy osobiste zmusiły go, tak że Kapa musiał wyjechać nagle z Wendy. I to dosłownie na dwa dni przed uroczystością weselną księcia Atagra z baronówną Alekdą, córką baronowej Geldery. Zebrani w świątyni to byli wszyscy znaczni w Ulandii. Nie było tu tylko księcia delfina, oraz królowej Matki. Nie było też szambelana Obika, bo znowu odezwały się u niego problemy żołądkowe. Jednak Obik postawił się i, jakby chcąc wykupić swą nieobecność, posłał młodym prawdziwie królewski dar. Oto w darze weselnym złożył dwadzieścia przedniej klasy klaczy ze swej stadniny, oraz jednego wspaniałego ogiera. Atagr bowiem znany był powszechnie z tego, że lubował się w ujeżdżaniu i dosiadananiu wspaniałych wierzchowców. Więc będzie miał on wielki pożytek z tego daru szambelana. Uroczystości przewodniczył mag Kujh. Był to młody chłopak, ale bardzo dobrze o nim wypowiadał się Erej. Kujh był jednym z wychowanków Szkolnicy Królewskiej, odpowiednie zaś śluby maga złożył na ręce Mistrza Kapy, który to miał prawo wyświęcać, jako uczeń elfów, magów do swej posługi. Kujhowi posługiwały dziewice świątynne, panny oddane bogini Isztar do służby. Drżąca, chyba ze strachu, lub to wielkie emocje sprawiły, Alekda uczepiona była ręki swej matki, pół łokcia obok niej stał w lśniącym brokacie stroju weselnym Atagr, syn księcia Regenta. Kowdlar stał w pierwszym rzędzie. Powinni mu jednak dać jakąś ławę, bo wielce męczył się, opierając się na swej lasce. Lecz prawa to świątyni wymagały, by wszyscy stali z odkrytymi głowami. I nawet książę Regent musiał się, chcąc, nie chcąc, do tego prawa dostosować. Takie ceremoniały w rodach arystokracji trwały długie to godziny, lecz sama przysięga małżeńska była krótka i sprowadzała się do prostej formuły skleconej z kilku lub kilkunastu obowiązkowych ślubów. Wierność, miłość i oddanie aż do śmierci, oto były główne tezy tak sformułowanej przysięgi. Ta główna część była jeszcze przed młodymi. Może dlatego Alekda tak drżała. Atagr zaś przyjmował wszystko ze spokojem, czasami odwracał wzrok ku swym rodzicom. Księżna Teborna nie kryła łez, Atagr chyba chciał ją uspokoić.

Kowdlar zaś męczył się, i tylko się męczył. Na pewno był szczerze rad, iż córka Elubedy wychodzi za jego syna. Lecz nie okazywał tego aż tak emocjonalnie, tak jak robiła to Teborna. Presurt Oland wyglądał zaś okazale. Juta, która stała przy nim, wyglądała jak zahukana, biedna myszka, choć też przecież barwny strój miała ubrany. Lecz szaty Olanda poprzetykane były lśniącym złotem i drogimi kamieniami. Nawet sam król Amargadeusz z pewnością pozazdrościłby mu, gdyby tylko żył. Było to dobrze znanym i pamiętano jeszcze o tym, iż to właśnie król Amargadeusz lubował się w szatach pełnych przepychu. Alekda zaś cały czas się trzęsła. Młodziutka to przecież ona była, jeszcze do niedawna zdało się, że będzie owszem uczestniczyć w takich uroczystościach, lecz po przeciwnej stronie ołtarza. Miała zaś zostać przecież służką w świątyni Isztar. Lecz to oto życie tak się plecie, że stale nas zaskakuje swoją treścią. Alekda miała już brzusek. Tego Geldera nie była w stanie ukryć. Nawet ślubne szaty córki nie mogły zakryć tej jej wyraźnej oznaki grzechu. Ślub więc został zaaranżowany dość pośpiesznie. Lecz Alekda w samej rzeczy darzyła miłością Atagra, więc nie był to gwałt na jej woli. Ta decyzja by się wydała za syna Regenta uszczęśliwiała ją najpewniej. A i Atagra nikt nie ciągnął siłą przed ołtarz. Ziściło się więc dzisiaj wielkie marzenie rycerza Kowdlara, to o którym wspólnie snuli plany, on i poeta Elubed, wtedy, gdy w drewnianych kubkach pili po szynkach kwaśne wino. Pamięta to dokładnie. Pamięta ten dzień, gdy los go wyniósł. Gdy odciął łeb szczerozłotemu smokowi Zynowi. Wtedy tam narodził się na nowo. Teraz, Kowdlar, gdy patrzył na swego syna przed ołtarzem, i na córkę Elubedy, która też tam stała, poczuł, że najpewniej osiągnął wszystko to, o czym może pomarzyć śmiertelnik. Już niewiele piasku musi być w klepsydrze życia tego wielkiego pana. Bogini Chronora bezlitośnie odsypuje tą miarą jego życie. Czy Kowdlar doczeka jeszcze narodzin wnuka? Stojąc tak, wsparty o lasce, Kowdlar czuł, jak życie go już boli. Poczucie więc najpewniej ulgę, gdy klepsydra życia się w końcu przesypie. Pół roku zostało do koronacji Orotoga. A później niech króla bogowie wspierają. On, Kowdlar, położy się do łóżnicy, i przyjdzie na to, iż człek, który uczestniczył w tylu bitwach i potyczkach w szerokim świecie, dokona żywota zgrzybiały ze starości w swym łóżku. Kowdlar jeszcze tylko jedno miał pragnienie, by śmierć przyszła, gdy będzie pogrążony we śnie.

A Kujh stale intonował przed ołtarzem świątyni jakieś pieśni, dziewice świątynne wtórowały mu czasami. Ołtarz zalany był krwią ofiarną zwierząt. Kujh był zadowolony, bowiem rozerwane trzewia baranie mówiły, że młodzi będą mieli szczęśliwe życie.

To dobra wróżba była.

Mistrz Kapa chodził po beżowo-błedej plaży. Stąd było co najmniej kilka staj do portu Ulende. Morze miało tu barwę turkusową. Kapa wprzódę zdjął swe łykowe klapki. Tamten drugi też był bez butów. Szli więc tak po pustej plaży, sutanna Mistrza Kapy powiewała swobodnie na wietrze. Lecz żywego ducha tu nie było poza nimi dwoma. Może też tylko mewy i alki. Ten drugi miał czarny strój na sobie. Jakiś taki dziwny, daremno by szukać podobnego nawet w odległych krainach. I ta tkanina też była przedziwna. Jednak Mistrz Kapa doskonale wiedział, dlaczego strój tego mężczyzny był tak nietypowy. To był człowiek boga Koboka. Lecz to nie był Trzy, który zwykle kontaktował się z Kapą. Rozmawiali o czymś. Dość długo już rozmawiali. Ten mężczyzna jednak nie wywyższał się w tej rozmowie, tak jak to zwykł robić Trzy w kontaktach z Mistrzem Kapą.

- Lepiej odejdz z dworu, taka moja rada. - powiedział mężczyzna.
- Bóg Kobok nie jest przychylny mej prośbie?
- Nie. Za dużo żądasz. Kobok choć docenia twoją rolę, jednak, uwierz mi, nie spełni twej woli. Orotog ma żyć. Tak słyshałem, gdym usługiwał w karocy Koboka.
- To jak to może być, że ty już tu wśród ludzi, a Koboka jeszcze nie ma? - Kapa poprawił włosy, odchylił kaptur habitu.
- Kobokowi się nie śpieszy. Ponadto czeka go wprzódę jeszcze spotkanie z innymi bogami, dopiero później powróci na Ziemię.
- To gdzie on to jest, bo nie rozumiem?
- Tam. - Mężczyzna wskazał ni to na słońce ni to na chmury.- Daleko stąd, ale tam! - Jeszcze raz wskazał ręką na Zenit nieba.
- I gdzie mi przyjdzie żyć w takim razie? Czekaj! A powiedz mi, dlaczego Kobok chce Orotoga na tronie Ulandii?
- A czy ja to wiem. Skąd mi nawet domyślać się tego,co pragną bogowie.
- Dlaczego Trzy nie przybył osobiście?
- Jest w niełasce.

W pewnym momencie zobaczyli w oddali jak ogromny żółw pokonywał drogę przez wydmy i plażę prosto zmierzając w morskie odmęty.

- Widzisz, jak ten żółw, tak ja będę dążył do swego celu konsekwentnie – powiedział Kapa. - Orotog będzie złym królem. Kobok musi to wiedzieć.
- Może? Może? Lecz zważ, byś nie przebrał miary. Orotog już wie, że nastajesz na jego życie. Podobnie też stronnicy szambelana Obika. Oni wiedzą, że próbowałeś Obika wysłać na Pola Kerdolota.
- Więc, czy mogę jeszcze wrócić do Wendy? Czy może już czeka tam na mnie kat?
- Na razie mają jeszcze związane ręce. Wiedzą, żeś służył Kobokowi. To cię

ratuje. Lecz ja radzę ci, oddał się z dworu. Ogłoś, żeś ciężko zachorzał i musisz na prowincji ratować zdrowie. Może, jeśli będziesz posłuszny Kobokowi, on ci pomoże ułożyć sobie jeszcze życie.

Szli tak na bosaka, ale oto piasek zmienił się w czarny żwir. Mistrz Kapa skrzywił się, niby z bólu. Ten drugi nawet nie westchnął, szedł, lecz nagle zorientował się, że Kapa nie idzie dalej.

- Wracajmy. - powiedział Mistrz Kapa. - Jutro powrócę do Wendy, wezmę wierzchowca. A potem się jeszcze zastanowię. Takie życie na banicji nie leży w mej naturze. Ale mogę się poświęcić bez reszty magii. Może uda mi się w końcu odkryć ów Kamień Filozoficzny.
- No dobrze, dobrze. Gdyby Ci się to udało, to obiecuję Ci, bóg Kobok zawita u Ciebie.
- Gdybym odkrył Kamień Filozoficzny?
- No tak lub gdybyś odkrył eliksir nieśmiertelności. Zdradzę Ci coś, co zachowaj tylko dla siebie – człowiek w czerni zrobił znamiennej minę, która oznacza u ludzi, że coś ważnego zaraz rzeknie.- Bóg Kobok jest też śmiertelnikiem. Owszem, dla niego życie człowieka jest jak jeden dzień, ale tych dni ma też ograniczoną ilość. Więc gdyby się jakiemuś człowiekowi udało odkryć eliksir lub Kamień Filozoficzny, to, śmiem przypuszczać, Kobok pierwszy upomni się o to odkrycie. Może dlatego w ogóle my ludzie przez nich, przez Reptylian, jesteśmy tolerowani. Dlatego że jesteśmy tanią siłą roboczą, i dlatego że może któremuś z nas przecież wpaść coś tak cennego do głowy, tak cennego, że nawet bogów zadziwi.
- Chcesz mi powiedzieć, że bogowie nie wiedzą wszystkiego? -Kapa był wyraźnie zaskoczony.
- Otóż to. I mówię Ci to ja, człowiek który służy bezpośrednio bogowi Kobokowi. Gdybyś widział te cuda, co ja? Gdybyś widział tyle trupów, co ja? Gdybyś tam był, tam, w karocach bogów? A mimo to, i my ich możemy zadziwić, i czegoś nauczyć. I chyba dlatego jeszcze w ogóle żyjemy. - Mężczyzna był był wyraźnie poruszony.

Jakaś szalona mewa podfrunęła do nich skrzecząc i piszcząc okrutnie. Może tu gdzieś było jej gniazdo z młodymi. Ale oni już szli z powrotem, do miejsca gdzie się spotkali wprzód, do umówionego miejsca.

- Czy teraz to ty będziesz przychodził, zamiast Trzy?
- Nie wiem. -Odpowiedział tamten szczerze.
- A jak cię zwa, jak cię mam nazywać?

- Lullu, co znaczy człowiek.

Już się zaczęło robić ciemno. Najwyraźniej Mistrz Kapa przeliczył się. Wydawało mu się bowiem, że to jeszcze dziś dotrze do Wendy, lecz oto było już szarawo, a do rogatek stolicy zostało jeszcze dobrych kilkanaście staj. Jak nic trzeba się będzie gdzieś zatrzymać. Wierzchowiec musi się napić wody, trochę siana też by się zdało. Lecz oto, na szczęście, zobaczył nagle na horyzoncie jakieś małe sioło. Może to było pięć czy sześć drewnianych chat krytych strzechą. Było jeszcze na tyle jasno, że mógł się o tym przekonać.

Po kilku minutach stanął przed pierwszą chatą. Jakiś pies przy budzie, na łańcuchu, zaczął ujadać i jazgotać, tak że aż echo niosło. Mistrz Kapa zląkł się, że mu konia spłoszy. Jednak wierzchowiec był tak mocno utrudzony, że nie zareagował na tę jawną agresję. Lecz jazgot ten sprawił, że drzwi się uchyliły i ktoś wyszedł przed ganek. Był to jakiś barczysty chłop w trzecim dekambrze wieku. Krzyknął on do psa:

- Ardzia! Uspokój się. Ardzia, no już!

Na tę gadkę człeka pies wyraźnie się uspokoił. I tylko zaczął machać radośnie ogonem, najpewniej na widok swego pana.

- Ktoś ty i czego chcesz od nas prostych ludzi? - mężczyzna zwrócił się do Mistrza Kapy.
- Chłopie, chcę przenocować. Dostaniesz miedziaka, jak znajdzie się miejsce dla mnie na zapiecku. Jutro skoro świt ruszę swoją drogą.
- A ktoś ty, Panie? - chłop był konsekwentny.
- Nie twój w tym interes. Możesz zarobić tanim kosztem miedziaka albo nawet dwa, gdy znajdzie się też trochę wody i obroku dla mego konia.
- A znajdzie się, Panie, znajdzie. Lecz nie można mi wpuszczać do domu nieznajomych.

Mistrz Kapa zamyślił się. Najwidoczniej uznał jednak, że niczym nie ryzykuje, rzekł:

- Jam jest Mistrz Kapa, pierwszy mag na dworze królewskim.
- Ależ, Wielmożny Panie – chłop jakby dostał skrzydeł. - Wielki to dla mnie zaszczyt, Panie, wielki to zaszczyt dla mej rodziny. Zachodźcie, Panie, zachodźcie do środka. Zaraz się zajmę twym wierzchowcem. Matka! - chłop jakby krzyknął do środka. - Gotuj a szybko jajecznicę dla naszego gościa.

Panie, zaraz się posilicie. Mam wielki rarytas w tej okolicy. Jaja przepiórcze rano kupiłem na targu. Tak jakbym miał przeczucie, że się dziś nadają. My proste strawy jemy, ale jakbym miał przeczucie i kupiłem te jaja. W sam raz dla takiego wielkiego Pana jak Wy, Mistrzu.

Chłop przepuścił przodem Mistrza Kapę. A sam poszedł zająć się koniem przybysza. Mag, wchodząc do środka, mógł się przekonać, jak skromna to była chałupa. Zwykła drewniana powała, balowe ściany. Klepisko jako podłoga. Chata była podzielona na dwie części. W jednej było to chyba lokum dla ludzi, w drugiej ptactwo było, owce, kozy i osioł. To i tak duży był inwentarz. Kapa wszedł z pewnymi oporami do izby domowników. Domowników, bo w środku była kobieta, co przy piecu gotowała, a przy ławie Mistrz Kapa mógł zobaczyć, iż jakiś chudy starzec siedział na ławie. Przewiązane opaską oczy miał.

- Pozdrowienia gospodarzom – rzekł Kapa na przywitanie.
- Witamy, Panie, w naszych progach – odpowiedziała mu kobieta, nie przerywając swej pracy.

Ona rzeczywiście chyba robiła jajecznicę, co mógł nosem wyczuć Kapa. Ten starzec ani zareagował w jakiś sposób na przybycie gościa. Chyba był pogrążony w modlitwie lub w tak kiepskiej kondycji był, że zupełnie nie reagował na to co się wokół dzieje.

- Panie – rzekła kobieta. - Siadajcie przy stole, zaraz będzie jajecznica z podpłomykami, do tego słabe piwo korzenne. Nie zważajcie na dziadka, on jest w innym świecie, ale wam przeszkadzać ni jak nie będzie.
- A to wasz krewny, bo mnie intuicja mówi, że niekoniecznie?
- Macie rację, Panie. On nie jest naszym krewnym. Ale mieszka z nami. Kuzyn mego męża nakłonił nas, byśmy go przyjęli w nasze progi i zaopiekowali się nim. On jest bardzo spokojnym człkiem, ale to kaleka jest. Nie widzi i nie mówi.
- Budujące – westchnął Mistrz Kapa. - Tak bezinteresownie się nim opiekujecie, dobra kobieto? Hm... Wzruszyliście mnie.
- No tak, Panie. A gdzie on się ma podziać? Wilki by go zjadły w lesie. On już jest mocno stary, przy nas dokona żywota.
- Budujące – szeptem Mistrz Kapa powiedział do siebie. A potem wiedziony jakimś impulsem wyciągnął kiesę. - Poczekam na twego męża, gospodyni, ale tak żeście mnie wzruszyli, że zostawię w wasze ręce mały datek. Niech wam służy na zdrowie. - Kapa wyciągnął pięć złotych talentów. Położył je na drewnianym stole. A dziadek na to niby kiwnął głową, a może się to tylko Kapie zdało.

- Panie. Wielmoże. Przecież to majątek ! - Kobięcina na widok złota wręcz zastygła w miejscu.
- Musimy sobie pomagać. Ulandczykami wszak jesteśmy. Będziecie mieli na swoje wydatki.

Akurat, gdy to mówił, do izby wszedł gospodarz.

- Dałem koniu obroku i wody, Panie – powiedział. Nagle jednak jego wzrok spoczął na tych złotych talentach, co to na stole leżały. - A to co? - był mocno zdziwiony.
- Elwet, Wielmożny Pan dał nam za to, żeśmy dziadka przyjęli pod swój dach – powiedziała szybko gospodyni.
- No właśnie – przytaknął jej Kapa. - Słyszałem, że to kaleka, a wyście go przyjęli bezinteresownie do siebie.

Elwet podrapał się po brodzie, zrobił bezradną minę.

- Weźcie, weźcie, gospodarzu te pieniądze. Przydadzą się one wam niechybnie. - mówił Kapa.
- Skoro tak, Panie, uważacie – Elwet wziął Talenty ze stołu, uniósł jeden do oczu. - To tak wyglądają złote talenty?! – powiedział tak. Najwidoczniej pierwszy to raz mógł je na własne oczy oglądać. -Matka, a daj wielmożnemu Panu tej nalewki na pigwie, co to ją chowasz tylko na wielkie święta. Musimy to jakoś uczcić. Za jeden taki talent będziem mogli kupić żyta na całe dwa lata.
- Gospodarzu, powiedzcie mi coś o tym dziadku. Czy on słyszy, co mówimy teraz?
- Słyszy, słyszy, ale on stale zatopiony jest w swych myślach. Więc rzadko co do niego dociera. E! Dziadek! Chcecie kaszy? - Elwet wziął do ręki dłoń dziadka, lecz tamten ni jak nie zareagował.- Widzicie, Panie, on jest zatopiony w swych myślach. Możemy tu śmiało o nim mówić, do niego i tak nic nie dociera.
- Więc powiedzcie mi coś o nim. - Kapa wziął drewnianą łychę i zaczął jeść w końcu tę jajecznicę z przepiórczych jaj, co mu ją gospodyni przygotowała, zagryzał wszystko podłomykami.
- Kuzyn mi mówił, że to był kiedyś wielki włodarz, lecz został zdradzony. Wykastrowany, oślepiiony i język mu wydłubano. Wszystko to zrobiono, by zagarnąć jego wielki majątek. Ci, co to zrobili, porzucili go w takim stanie w lesie. Myśleli, że dziki zwierz nań się połakomi.
- Skąd to wiecie, gospodarzu?
- On umie pisać. I czasami coś babra patykiem po piachu lub w glinie. Lecz ja nie cytaty. Mój kuzyn zaś umiał czytać. I ten mu napisał o tym. Jednego co nie chce napisać.
- Czego to?

- Jak się zwie. Tego nie chce zdradzić. Boi się czegoś. Już tak doświadczony jest, że najpewniej boi się o swoje życie.

Elwet przysiadł się do Kapy, machnął żonie, by ta podała mu jedzenie. Jak szybko mógł się przekonać Kapa, była to gruba kasza ze skwarkami, do tego zsiadłe mleko i trochę zieleniny na parującą kaszę. Elwet umilkł i z zapalem zaczął pochłaniać swój posiłek. W tym samym czasie dziadek cały czas był zatopiony w swym świecie, świecie swych myśli, i ani on wiedział, co teraz działo się w izbie. Najwidoczniej taki układ odpowiadał wszystkim domownikom. Gospodyni cały czas kręciła się przy piecu. Elwet zaś, gdy już się nieco najadł, rzekł do Mistrza Kapy:-

- Panie, mam do was małą prośbę.
- Co takiego, gospodarzu?
- Otóż, chciałbym, byś, Panie, nikomu nie rzekł, że mamy w naszym domu dziadka. Mało co kto o tym wie, i chcemy, ja z żoną, by tak się to utrzymało. Jeśli jest bowiem prawdą to, że dziadek był kiedyś wielkim włodarzem, być może, Panie, takim jak ty, to może być, że sprawcy jego cierpienia i sromoty będą chcieli dokończyć to, co zamierzali wprzód uczynić. A wtedy nie tylko życie dziadka będzie w niebezpieczeństwie, ale także moje i mojej żony. Tacy ludzie bowiem nie pozostawiają po sobie świadków.
- Dobrze – Mistrz Kapa porozumiewawczo uścisnął rękę Elweta. - macie moje słowo. Nikomu nie rzeknę.
- No, kamień z serca – z ulgą odetchnął Elwet. - Matka, prosiłem cię, byś podała tej nalewki z pigwy.
- Już, już. - gospodyni sięgnęła do półki co to przy piecu wisiała. Wyciągnęła stamtąd coś. Podała to na stół. Obok stanął jeden, dość mały, drewniany kubek.
- Częstujcie się, Panie. To dla was ten kubek. Ja się później napiję.

Mistrz Kapa ostrożnie nalał z terakotowego flakonu trochę trunku do koślawego kubka. Może to on nawet nie miał ni trochę ochoty na to, by pić o tej porze, lecz, gdyby odmówił, obraziłby tym gospodarzy. Wychylił ostrożnie zawartość kubka.

- Dobrze – odezwał się w stronę Elweta. I było to w samej rzeczy zgodne z tym, co poczuł. Napitek bowiem był wyśmienity.
- Pijcie, Panie, pijcie jeszcze na zdrowie – gospodarz zachęcił maga, by tamten wypił jeszcze trochę.

Kapa, teraz już z większą wiarą w siebie, nalał sobie drugą porcję. Była to już solidna dawka. Łykając, poczuł słodycz, cierpkość smaku i błogość. Był to napitek godny królewskiego stołu.

- W samej rzeczy wyśmienite. Musicie mi dać, gospodarzu, przepis na tę

- nalewkę. Choć sam pijam trunki z umiarem, to jednak to, co mi tu podaliście, jest wyborne.
- To przepis mojej matki. Na pół garnca pigwy oczyszczonej i słodkich jabłek, trzeba nalać dwie kwarty starki, do tego trzy pundy miodu lipowego. Wszystko szczelnie zamknąć i pozostawić w chłodnej wodzie. Po trzech miesiącach miksturę odcedzić i tak to powstaje owa nalewka. Moja matka, jak jeszcze żyła, nauczyła moją żonę ją przyrządzać.
 - Na pewno zapamiętam. - Mistrz Kapa uśmiechnął się w stronę Elweta i nalał sobie jeszcze trochę do kubka. Było widać, iż gospodarz był mocno rad, iż napitek smakuje gościowi. Elwet to był prosty człowiek. Lecz tacy to mają najlepsze życie. Ludzie zaś bowiem, którzy mają majątki, albo którzy coś więcej znaczą, są z reguły pozbawieni skrupułów, są bezwzględni, i okrutni, bowiem to samo życie na nich to wymusza. Jest tak, iż majątki i władzę ludzie wydzierają sobie w okrutnej walce na emocje i słowa, i czyny. Ci zaś, co żyją skromnie, i cieszą się tym skromnym, co mają, ci, którzy nie prą po trupach byle do przodu, są zwykle ludźmi szczerymi i dobrymi. I taki też był najpewniej Elwet. Ludzie tacy też mają mniej trosk na głowie. Bowiem taka to jest prawda życiowa, że im wyżej na świeczniku, tym cięższe życie. Związane to jest z tą walką, wieczną walką, jaką tacy ludzie wysoko postawieni muszą toczyć w tych warunkach.
 - Panie, powiedz mi, czy księżę Regent jest rzeczywiście, tak jak to ludzie prości między sobą prawią, takim dumnym człowiekiem?
 - Hm... On już stary jest. I widać to po nim. A czy dumnym? Wszyscy na dworze królewskim się wynoszą. Ja także. Co przyznaję z pokorą. Choć ja jako pierwszy mag w królestwie najlepiej chyba znam dusze ludzkie i widzę znacznie więcej w oczach innych ludzi, co im gra tam, a nawet co myślą.

Dziwnym to się im zdało, ale dziadek jakby poruszył się niezwykle, niby doszło do niego, co rzekł Kapa. Ślina mu z ust zaczęła się sączyć, tak jakby chciał coś rzec. Chwycił się także za głowę. Jakiś skowyt mu się jął wydobywać z piersi. I zaczął głową trząść, tak w tą tak w tamtą. Niby chciał wydrzeć coś ze swego wnętrza.

- Matka, daj no wody, bo dziadek się męczy.- zareagował na to Elwet.

Takoż to, gospodyni przerwała swe zajęcia przy piecu. Wzięła wodę w dzbanie i go podała mężowi.

- Dziadek, napijcie się – powiedział Elwet przytykając dzbanek do rąk kaleki.

A tamten wyczuł to. Najpewniej zapachem i dotykiem. Zaczął też łapczywie pić, prosto z dzbanka. Zdało się, że wszystko wypije. Lecz nie, tak jak szybko zaczął, szybko też skończył. Elwet mrugnął porozumiewawczo do Mistrza Kapy.

- On chyba chce coś powiedzieć?! – powiedział szeptem. Kapa widział to też, że gospodarz chyba ma rację. Dziadek, zdało się mu też, chciał najpewniej coś im powiedzieć. - Czasami tak ma i wtedy mu dają patyk, a on coś tam babrze po podłodze, lecz my nie cytate, nic z tego nie wiemy. A potem mu przechodzi i znów się uspokaja.
- To dajcie mu, gospodarzu, jakiś patyk, zobaczymy co tam napisze.

W tej to chwili Elwet sięgnął do rogu izby i wyciągnął stamtąd kawałek drewnianka, który zwykle służy do rozpałki w piecu.

- Dziadek, macie – wetknął do ręki, prawie siłą, ten patyk kalece.

I wtedy stało się coś dziwnego, starzec pochylił się i zaczął na glinianej podłodze kreślić znaki. Mistrz Kapa, wielce zaciekawiony, również schylił się, by dojrzeć, co tam pisze. I w tej to chwili poczuł, że włosy mu na głowie stają dęba z przerażenia. Odczuł to nawet wcześniej, nim pojął sen tych krzywo kreślonych znaków, oto kreślonych z takim trudem i na wyczucie przez tego doświadczonego tak okrutnie przez życie człowieka.

Poniechaj zdrady. Jam jest Mag Uberyk.

Koli był dzisiaj jakiś nieswój. To dziwne, ale siedział cały czas spokojnie, praktycznie jakby był w jakimś transie, nie ruszał się i nie wyglupiał. A może to było wynikiem tego, że Jufe prowadził wykład ciekawie i z jakąś taką niezwykłą swadą. Lamart, choć był już w grupie wyższej, to dziś poszedł razem z Koli na ten wykład, tak jakby przeczuwał, że Jufe dziś sięgnie ideału nauczyciela. Jufe mówił o powszechnikach. I przywoływał na swym wykładzie najczęściej opinie Cygana Dziada, dotyczące tego zagadnienia.

Był to najpewniej ukłon w stronę Ereja. Jak bowiem najświeższa plotka niosła, Erej awansował Jufe podnosząc go do roli erorektera, czyli de facto trzeciej w hierarchii osoby w Szkolnicy Królewskiej. Jufe tym samym stał się zastępcą Ereja. I jeszcze tylko Mistrz Kapa formalnie stał wyżej. To, oczywiście, wiązało się automatycznie z podniesieniem, i tak już niemałych, uposażeń Jufe jako nauczyciela Szkolnicy.

Lamart z uwagą słuchał nauczyciela, równocześnie jednak zerkał cały czas na Kolię, tak jakby oczekiwał od tego jajcarza jakiegoś finalnego figla. Lecz nie, Koli był poważny i niby spijał każde zdanie, każde słowo z ust Jufe. Lamart, odkąd zaczął studiować język elfów, najczęściej teraz przesiadywał w bibliotece Szkolnicy. I z cierpliwością godną nagrody uczył się tego trudnego języka. Jego egzemplarz *Księgi Jutra* czekał cierpliwie na swego odkrywcę. A język elfów był bardzo subtelnym i bogatym w przeróżne wyjątki i niuanse językiem. Wymagał przeto wybitnej uwagi i cierpliwości. Na szczęście Lamart był w samej rzeczy dostatecznie bystry i mądry. I tylko kwestią czasu było, gdy w końcu przyswoi sobie tę potrzebną wiedzę. A wtedy to największe mądrości zawarte w *Księdze Jutra* otworzą się przed nim, niczym niewyczerpalne źródło. Tak sobie to przynajmniej teraz wyobrażał Lamart. Jak będzie w rzeczywistości? Czyż jednak *Księga Jutra* uchroniła kogoś od doli, którą mu bogowie przeznaczyli? Czy mądry człowiek z większą roztropnością od zwykłego kmiotka kładzie swoją głowę na szafocie pod katowski miecz? Tego jeszcze młodziutki chłopak, Lamart, nie mógł wiedzieć. Mówią, że najmądrzejszy człowiek na świecie, Cygan Dziad, westchnął tylko z ulgą, że to już koniec, gdy oddawał życie w swej ostatniej godzinie. Takie to już jest życie człowieka. Czy księgi formatu *Księgi Jutra* mogą tu coś zmienić?

A Koli cały czas słuchał z uwagą monologu Jufe. Lamart nie mógł się temu nadziwić. Owszem, i jego wykład Jufe dzisiaj wciągnął i zainteresował, i podobał mu się on niezmiernie.

- ... Wyobraźcie sobie taką sprawę – mówił Jufe. - Oto jest dylemat, czy Byt Idealny, Najdoskonalszy może istnieć, czy musi istnieć? Ty, Nyr – tu Jufe zwrócił się do jednego chłopca, co prawie dłubał w nosie. - Jak ci się, Nyr, wydaje? - Chłopak zrobił nietęgą minę, podrapał się po nosie i odpowiedział.
- No chyba może istnieć?!
- Błąd. Słuchajcie, to jest błąd. Oto wiadomo już od dawna, że byt Idealny, Najdoskonalszy musi istnieć. Musi istnieć. Po prostu musi. Zaraz wam wytłumaczę dlaczego. - Jufe sięgnął po kubek z wodą, co go to miał na ławie i upił solidny łyk. Następnie odwrócił się znów do słuchaczy i rzekł: - Wyobraźcie sobie, że Najdoskonalszy Byt istnieje tylko w naszych głowach jako myśl, jako idea, lub ewentualnie w księgach filozofów i poetów, ale ja się pytam: czy to jest byt najdoskonalszy, skoro istniejący naprawdę byłby od niego jeszcze doskonalszy? Widzicie więc, że doprowadziłem naszą przesłankę, iż byt Najdoskonalszy jest tylko naszym wymysłem, do absurdu. Wynika stąd, iż byt Najdoskonalszy nie może być tylko ludzkim wymysłem, lecz że musi istnieć naprawdę. Rozumiecie to, chłopcy?

Odpowiedzią na to był ogólny pomruk aprobaty. Wszak to byli wszystko wybrańcy spośród ludu, chłopcy bystrzy, co to w lot łapali wszystko. Oni to najpewniej

zrozumieli. Lecz był jeden wyjątek. Oto Koli jakby pokręcił z niedowierzaniem głową. Lamart, co siedział przy nim, zauważył, że Koli chyba tego za bardzo nie rozumie. Na szczęście dla Koli, Jufe nie zauważył tej jego bezradności.

- Ty, o co tu chodzi? Bo nie rozumiem. - Koli szepnął w stronę Lamarta.
- To proste, później ci wytłumaczę. Nie przeszkadzaj, bo dziś Jufe jest jak w natchnieniu. - Lamart na odczepne odpowiedział, również szeptem.

A Jufe w samej rzeczy był aż cały czerwony z tej zapalczywości, z jaką dziś wywodził swój wykład.

- Co to, chłopcy, oznacza w praktyce? Ty, Nyr, powiedz – Jufe sobie dzisiaj upatrzył ofiarę i konsekwentnie się na nim odgrywał. A powód był chyba tego takim, iż Nyr to była podpora frakcji Mistrza Kapy w Szkolnicy Królewskiej, przynajmniej na tych niższych jej poziomach.
- Aa..a co? - Nyr wydukał z siebie z trudnością. Dalej manipulował coś przy nosie.
- Chłopcy, to znaczy. I tu wyjawię wam wielką tajemnicę, którą jednak prędeż czy później musielibyście poznać, skoro studiujecie w naszej szkolnicy. Otóż, chłopcy, ten Najdoskonalszy Byt z czym wam się kojarzy? No który odpowie. Może ty, Lamart? - Jufe zwrócił się do Lamarta, bo ten miał tu opinię wybitnie bystrego.
- Hm... Może z bogiem?! - Lamart sam nie był pewien.
- Tak! Brawo! Otóż to. To znaczy, że najdoskonalszym bytem jest Bóg. A czy Kerdolot, lub Kobok, lub bogini Isztar są z tym jakoś związani? No, chłopcy, który wie. Lamart? Nyr? Byiy? Który? - Jufe bezradnie wodził wzrokiem po swych słuchaczach. Lecz nikt się nie odezwał.- Chłopcy, to są tylko symbole. A prawdziwy Bóg, ten Najdoskonalszy Byt, jest jeden, i ubiegnę teraz nieco kilka następnych lat kształcenia w naszej szkolnicy, i powiem wam teraz, że to On stoi za stworzeniem naszego świata. To, coście się dowiedzieli teraz jest wielką tajemnicą, i nawet wykształcenie w tym magowie kultuwują nadal wszelkie stare obrzędy związane z bogami. Z Kerdolotem, Kobokiem, i innymi, dlatego tylko, by nie burzyć tradycji i nie wzniecać u prostych ludzi fermentu. Ale wyście są śmietanką. Dlatego poznaliście to. I wiecie jak udowodnić, że jest to prawdą. O tym wszak, że Bóg, jeden Bóg, Najdoskonalszy Byt stoi za stworzeniem tego świata dowiedziecie się później, ale teraz możecie już o tym wiedzieć.
- Nauczycielu !– nagle odezwał się Vyr, który siedział dwa rzędy niżej niż Lamart i Koli. - Ale przecież tego nie ma nawet w księdze *O bycie kilka słów* Cygana Dziada.
- Dlatego, chłopcy, iż nie mógł on wzbudzać zbyt dużego dla porządku świata fermentu i zamieszania. Lecz spytajcie Nauczyciela Ereja, i on wam powie to

samo, co ja wam rzekłem dziś. Ta wiedza, jest wszak, przeznaczona tylko dla wybrańców. A wy jej nie powtarzajcie za murami Szkolicy, bo grozi to wielkimi przykrościami. Baczcie, by kat nie zainteresował się tym, co opowiadacie innym. Kat bowiem jest po to, by pilnować starego porządku na tym świecie. To też musicie wiedzieć. Pamiętajcie! Wasze wstępne śluby w Szkolnicy, zobowiązują was, byście słuchali poleceń waszych nauczycieli.

Królowa Matka, Sylanda, chodziła nerwowo po komnacie. Byli sami, tylko ona, matka, i jej syn, królówic Orotog. Szczapy na uchwytach przy drzwiach głośno strzelały. To smoła, w których były obtoczone, w ten sposób reagowała na ogień i powietrze. I choć było dostatecznie jasno w komnacie, to jednak Orotog trochę się zaszył w kąt, niby w cieniu, jakby nie chciał, by matka widziała dokładnie jego lico. Orotog przyszedł przed chwilą, lecz już zdążył w tym czasie mocno zdenerwować matkę.

- Przecież to taki dobry człowiek – powiedziała.
- Kto? Mistrz Kapa? Chyba żartujesz! - odpowiedział jej.
- I co? Mam wyjechać na prowincję? A może mnie chcesz wygnać na Wyspy Gnomów? Wtedy ci na pewno nie będę zawadzała.
- Mamo, przestań. Tu chodzi o twoje dobro. On nam zagraża. On mi zagraża. Więc i tobie także. A skąd wiesz, że on nie chce sam władać naszym królestwem?

Sylanda jeszcze bardziej nerwowo zaczęła chodzić po komnacie. Orotog widząc to, zareagował.

- Ale nie denerwuj się tak, mamo. Na razie jesteśmy bezpieczni. I to jeszcze przez co najmniej miesiąc. W tym czasie ty już będziesz gdzieś na wsi. A ja. A my. To jest ja i moi zaufani rozprawimy się z tym zdrajcą. Nawet mu Kobok nie pomoże.
- Hm... - Sylanda ciężko wzdychnęła. - O jakże ty jeszcze jesteś dziecinny. Wydaje ci się pewnie, że to jak w baja, jakie gaworzą po wsiach i dworach stare dziady. On ma za sobą magię, której potęga jest wielka. No i Kobok go przecież ochrania.
- To się zmieni. Już mamy plan, by przeciągnąć Koboka na naszą stronę. I są pewne sygnały, że to jest dobra droga. Pono Kobok nie jest przychylny planom Kapy. - Orotog uśmiechnął się przy tym. Jego perłowe zęby zabłyśły w

pólcieniu, tam gdzie stał.

- Dobrze więc. Zrobię tak, jak sobie życzysz – powiedziała Sylanda. - W końcu to ty zostaniesz królem i panem Ulandii. Twoja więc wola.

Poprawiła swą szatę, poprawiła włosy. Dopięła złotą agrafę, którą miała upięte włosy w kok.

- Ty, mój synu, musisz się już powoli przyzwyczajać do rządzenia. Ale nie traktuj nikogo, nawet zwykłego ciurę lub niewolnika, jak zwierzę. To zawsze są jednak ludzie. Człowiek, jak nisko by upadł, zawsze zostanie człowiekiem, i to najbardziej jego sumienie go będzie bolało, gdy dopuści się jakiegoś zła. Twój ojciec, Amargadeusz, nigdy nie pozwolił sobie, by w jakimś człowieku zniszczyć słowem, gestem lub czynem jego godność. Nawet, gdy karał surowo swych wrogów, nie niszczył w nich ich człowieczeństwa. I ty o tym pamiętaj.
- Wiem, wiem, matko. Podobne uwagi już czyniłaś. Myślę też, iż Erej zadbał o to, by mnie nauczyć szacunku dla życia ludzkiego.
- Lecz pamiętaj także i o tym, że twoje zdanie będzie zawsze decydującym i będzie ostateczne. Przynajmniej w relacjach nas, ludzi. Warto jednak czasami choćby tylko wysłuchać, co druga strona ma do powiedzenia. Za zdradę jednakowoż musisz zawsze karać śmiercią. Gdyby nawet twój druh, księżę Atagr, lub baron Lucerdus dokonali jej przeciwko tobie, nie miej litości. Król, który jest pobłażliwy na zdradę, nie ma respektu i szacunku u innych ludzi, u swych poddanych. Co kończy się zawsze dla niego i jego rodu tragicznie. Wiedział to dobrze twój ojciec. Gdyby żył, przekazałby ci najpewniej te nauki. A tak musisz polegać na swych nauczycielach, no i na mnie. A przecież niewiasty nie są przeznaczone do rządzenia w tym tak okrutnym świecie.
- Ja cię, mamó, szanuję i darzę uczuciem synowskim, więc na pewno nie zlekceważę twych rad, pomimo tego, żeś jest słabą niewiastą, jak sama tak twierdzisz.
- Kiedy mam więc wyjechać? - Sylanda podniosła dumnie głowę.
- Poczekaj jeszcze tydzień. Muszę z baronem Olandem i szambelanem Obikiem przygotować odpowiedni plan działania. Na razie czekamy na przyjazd Kapy. Pono pojechał on do portu Ulende. Lecz powinien już być z powrotem. Jeśli nie dziś, to najpóźniej jutro rano.
- Oddacie go od razu katu na wypytki?
- Nie, mamó. Za nim to bowiem stoi bóg Kobok. Nie mogę go, ot tak, posłać do lochu. Musi coś zrobić takiego, co będzie jawną zdradą stanu. Musimy też to my piersi dostać się przed oblicze Koboka lub kogoś, kto go będzie jawnie reprezentował.
- Czyli on nie wie, że wy go już traktujecie jak wroga?
- Nie, on chyba jeszcze nie wie. Nie wie, że jego plany rażenia we mnie są już

odkryte. Kapa cały czas myśli, że jego to cios będzie pierwszy w tej walce.

Królowa Sylanda westchnęła ciężko. I tak jakby ją coś zamroczyło. Musiała się chwycić ławy, inaczej by najpewniej upadła na dywan. Orotog zauważył tę słabość matki, bowiem i na jego twarzy pojawił się grymas cierpienia. Cierpienia z tego, iż matka cierpi.

- Nie bój się o mnie. Ja mam wielu takich, co dla mnie rzuciliby się w ogień.
- Tak? Doprawdy? Gdy już poczujesz koronę władania na swych skroniach, takie iluzje prędko porzucisz. Pamiętaj, że król nie ma przyjaciół, tylko ma swoich poddanych. Musisz się nauczyć odpowiednio nagradzać ludzi, ale także ich karać.
- To co? Ja nie mogę mieć też przyjaciół? - spytał trochę zmieszany.
- W ogóle z tą przyjaźnią to jest dziwnie. Bowiem nie tylko królowie są jej niepewni, ale także zwykłe ciury obozowe. Tak naprawdę nie ma przyjaźni prawdziwej, jest tylko walka o swoje. A przyjaźń to tylko rodzaj przywiązania. Lecz jak mówią mędrcy, człowiek się powinien nauczyć, że nic nie ma stałego raz na zawsze, i do niczego się nie powinno przywiązywać. Z tego punktu widzenia nie ma też wiecznej przyjaźni, a nawet miłości.
- Miłości nie ma? A między dziećmi i rodzicami? No przestań – Orotog silnie odbierał tę lekcję, którą mu dzisiaj Sylanda serwowała.
- Do pewnego stopnia tylko. Zawsze będziesz miał miejsce w moim sercu. Ale gdy się ożenisz, zrozumiesz, że miłość rodzicielska jest przechodnia. Będziesz wtedy musiał mieć swoje dzieci, i wtedy dopiero poczujesz tę miłość w pełni. I wtedy, gdy będziesz miał już swoją królową, zobaczysz i zrozumiesz to, o czym teraz ci staram się powiedzieć. Tak to już jest urządzone. I tak to działa nie tylko u nas, ludzi, lecz w ogólności w całej przyrodzie. U nas jeszcze jest o tyle łagodniej, iż matki nie przepędzają swych synów od siebie, gdy tamci podrosną na tyle, by same umiały o siebie zadbać. Ale na przykład niedźwiedzica musi siłą przepędzać swe dziatki. Podobnie robią orły, sokoły, pantery. Tak to już jest. U nas, to ślub dziecka jest tym momentem, gdy żegna się dziecko uczuciowo, w pewnym sensie, z matką i ojcem.
- Aha ! - Zdało się, że Orotog jest trochę oszołomiony. - Ale pamiętaj, mamo, że zawsze cię będę kochał. Do końca.
- I ja też ciebie. - Sylanda podeszła do Orotoga i objęła jego ręce. - Dlatego, mój synu, czasami to dobrze jest być człowiekiem. Choćby właśnie dlatego.

Leniwe dni, leniwe noce. Cisza była między ludźmi. Tak jakby to każdy był pogodzony ze swym losem. Najpewniej było tak, bo wieści dochodziły z Fluksji i Engory, iż sprawcy i uczestnicy niedawnego powstania niewolników zostali srodze pokarani. Wielu to z nich przeniosło się na Pola Kerdolota. A ci, co zostali wśród żywych, nie byli pewnie już tak skorzy do takiej przeprowadzki. Tak więc i niewolnicy, chłopci, rzemieślnicy, wszyscy oni mocno pogodzenie ze swym losem, ciężko pracowali na swój kawałek chleba. Ci nieliczni, tacy jak Lamart, tacy, co mogli się poświęcić swemu rozwojowi, co mieli na to czas, pilnie notowali w kronikach wszystkie nauki i pożytki jakie niosło teraz życie. A nauki to, w samej rzeczy, były doniosłe. Nie było wielu takich, co to mogli skutecznie studiować dzieła filozofów, Cygana Dziada lub Lurycjana, lub innych, ale ci, co to robili, chcieli i musieli to robić z pożytkiem dla innych.

A Lamart w tych dniach zrobił mocne postępy w nauce języka elfów. Ponadto dużo zadowolenia sprawiało mu uczestnictwo w wykładach, które prowadzili Nauczyciele Szkolnicy Królewskiej. Chodził nie tylko na wykłady Jufe i Ereja, ale także innych. Miał taki przywilej, który mu nadał sam Erej, taki to przywilej, iż mógł chodzić swobodnie na wykłady adresowane dla uczniów nawet wyższych grup. W opinii bowiem wielu uważany był za wyjątkowo bystrego. A jego obalenie paradoksu nazywanego powszechnie paradoksem kłamcy odbiło się już niejakim echem nie tylko w Ulandii, ale także w innych krainach, tam wszakże gdzie żyli ludzie na tyle mądrzy, by to docenić. Po prawdzie Erej tylko dlatego powstrzymywał ten najpewniej zasłużony awans Lamarta, iż był on przecież jeszcze tylko chłopcem, który, gdyby zbyt wcześniej skończył Szkolnicę Królewską, nie nadawałby się, właśnie z racji wieku, do żadnej funkcji państwowej w Ulandii, czy innej krainie. Za młody byłby także do funkcji maga lub medyka. Lamart był jednym z najmłodszych uczniów Szkolnicy, i tylko ten oto jego feler stał za przyczyną tego, iż go awansowano ale niepośpiesznie, a wręcz bardzo powolnie. Można nawet śmiało rzec, że go specjalnie przytrzymywano i nie dawano mu się w pełni rozwinąć. On sam zresztą doskonale o tym wiedział. Nie śpieszyło mu się takowoż do w pełni dorosłego życia. Na razie te talenty, które tu dostawał, doskonale mu służyły. Pomału gromadził kolekcję swych własnych ksiąg filozofów. Pomagał swej rodzinie i pilnie studiował język elfów.

Koli zaś, widać to było doskonale, właśnie teraz przechodził jakiś wewnętrzny kryzys. Nauczyciele zaczęli się nawet skarżyć Erejowi, że nie widzą żadnego postępu w jego rozwoju. Na wykłady zwykł przychodzić ostatni, a pierwszy z nich uciekał. Był stale rozkojarzony, wiecznie nieobecny. Lamart doskonale widział, że coś niedobrego dzieje się z przyjacielem. Mocno też zmieniła się fizys Koliego. Urósł, wyszedł mu mocny zarost, głos nabrał mocnej męskiej barwy, jego szczęka nabrała męskiego, kanciastego formatu. I można było przypuszczać, że to właśnie stało za rzeczywistymi przyczynami zmiany jego nastawienia do nauki i do swoich obowiązków jako ucznia Szkolnicy. Lecz nie wpłynęło to w żaden sposób na ich wzajemną przyjaźń. A nawet teraz Lamart zaczął czuć wobec Koliego pewien

podświadomy odruch respektu i szacunku dla jednak starszego. Koli zaś cały czas zachowywał się wobec Lamarta tak, jakby się nic nie stało, tak jak w czasach, gdy chodzili potajemnie nad brzeg Letugi, by podglądać myjące się tam w strudze wody niewiasty i ich córki.

Lamart zresztą jednak chyba wiedział, co tak naprawdę stało za tym pozornym spadkiem umiejętności przydatnych dla ucznia Szkolnicy. Poznał on ją także. Kiedyś natknął się na nich w jednym z ogrodów Wendy. To była Gyla. Piękna Gyla. Koli teraz świata poza nią nie widział. Więc jak mógł on teraz angażować się z pełną siłą w swoją naukę? Koli szybko przedstawił ją Lamartowi. Parsknęła śmiechem, kiedy się z nią witał. Co też Koli jej o nim naopowiadał? Dziewczyna miała może piętnaście, może szesnaście lat. Pochodziła z rodziny pomniejszego kapłana świątyni Isztar w Wendzie. Orye, ojciec Gyli, stale był zajęty, i chyba prawie nie zauważył, że jego własna córka mogłaby już być, z racji wieku, służebnicą w świątyni.

Koli więc, jako to było oczywistym, bardziej się teraz interesował swą Gylą, niż czym innym. Lecz Lamart czuł pewien niepokój z tym związany. Taki to, czy z tej przyczyny nie usuną Kolię ze Szkolnicy? A dobrze to wiedział, iż Koli ani ma zamiar wrócić do swej wsi, ani tym bardziej podjąć te obowiązki, które mu narzuca krewni. Nie było jeszcze tragicznie. Jeszcze to Erej nie zaważwał przed swe oblicze biedaka. Ale niewiele już ku temu brakowało. Niech tylko jeszcze raz Koli spóźni się na wykład, niech tylko jeszcze raz coś zawali. Wtedy ten czarny wątek może się zrealizować. Lamartowi było żal Kolię, jego przyszłości. A przede wszystkim ich przyjaźni, która najpewniej szybko by się skończyła, gdyby Kolię usunięto ze Szkolnicy. Ale i teraz Koli wolał przebywać raczej ze swą miłością, niżli z druhami, który mu już nieraz uratował tyłek. Już to przecież raz Lamart pożyczył Koliemu niemałą fortunę, gdy tamten zalegał za niezrealizowaną dostawę tobaco.

Gdy to Lamart przypierał do muru druha, tamten mówił coś oględnie, iż, jeśli go wyrzucą ze Szkolnicy, zaciągnie się do zaciężnych legionów. Oto, takiego był zdania Koli, oni nic nie robią poza robieniem sobie i innym kawałów, a dostatnio i wygodnie im się żyje. Jest to więc wymarzony fach dla niego. Tak to twierdził Koli. Większych bzdur Lamart w życiu nie słyszał, ale Koli go zawsze rozbrajał tonem i śmiechem, z jakim to mówił. Czyli zdało się, że Koli sobie po prostu dworuje. Koli był, choć sprytny i rezolutny, zbyt delikatny w swej konstrukcji emocjonalnej, by się nadawać do zabijania innych w bezpardonowej walce legionistów. Lecz, jak się kusi bogów i demonów losu, to ci mogą się mu tak odwdzięczyć, iż ścieżki życia mogą go w końcu zaprowadzić prosto do wojska.

Koli miał zawsze w uszach to, co kiedyś usłyszał na wykładzie Ereja : ...

pamiętajcie to, iż słowa mają tę samą siłę co czyny. Baczcie, by słowem nie sprowokować swego losu. Najtrudniej to bowiem w życiu naprawiać te niekorzystne skutki, które wynikły ze złego słowa ...

Jeszcze to Lamart nie uczestniczył w wykładach o magii. W wykładach takich mogli brać udział tylko ci, co byli już na to gotowi, a przede wszystkim wyznaczeni na to przez Ereja. Lecz jak już to dobrze Lamart wiedział, wielką siłę w magii mają wypowiedziane słowa i zaklęcia. Dlatego on sam mocno pilnował się w tym

względnie. I na marne nie rzucał ni słowa , ni zdania. Myśli też trzeba nauczyć się kontrolować. I tego też był pewnym. Jak mówią jednak filozofowie w swych dziełach, jest to bodaj najtrudniejsza rzecz na świecie.

- Presurcie, chciałbym, byś powtórzył księciu Orotogowi oraz księciu Kowdlarowi w moim imieniu, że ja jestem zmuszony opuścić Dwór Królewski – Mistrz Kapa mówiąc to cały był czerwony. Widać było, że mówi to z trudem, jakby przeciw sobie.
- Ekscelencjo. Dlaczego to sam nie powiesz księciu Regentowi? - Oland stał oparty o kamienistą ścianę pieczary.
- Z pewnych osobistych powodów nie mogę; proszę więc ciebie, baronie, byś to dla mnie uczynił.
- Aha! No dobrze, dobrze. Nie będzie to dla mnie jakiś wysiłek nie do uczynienia. Co więc zamierzasz, Ekscelencjo?
- Baronie, udam się do swej wiejskiej posiadłości w prowincji Muy w królestwie Spoka.
- W Spoka? Nie do wiary, dlaczego tam? Co ja mam powiedzieć delfinowi i Regentowi? Powiedz mi choć pobieżnie. - Oland był również zdenerwowany. Ale gdzieś tak podskórnie się nawet cieszył. Wyglądało na to, że Kapa ucieka i teraz stara się tylko pozorami maskować swą porażkę.
- Baronie, jestem chory. I nie ma na to lekarstwa. Nawet magia nie pomoże. To jest tak, Panie, jak ze stratą nogi. Żadna to magia nie spowoduje, by nowa noga odrosła. Są pewne granice dla magii, zresztą jak dla wszystkiego czym się człowiek zajmuje.
- Ach! Rozumiem. Choroba?! Tylko, Ekscelencjo, powiedz mi, czy to trąd?
- Nie, baronie, nie trąd, uspokoję cię. Nie musisz się obawiać. Jak oceniam to, za jakiś czas choroba ta sprawi, iż nie będę mógł ruszać kończynami. - Mistrz Kapa przechodził teraz samego siebie. I chyba nawet sam uwierzył w to, co mówił.

Prowadzili rozmowę w pieczarze Mistrza Kapy, tuż przed Zamkiem Królewskim. Dziwne to było, iż Mistrz Kapa, choć był już w Wendzie od kilku dni, ani razu nie był jeszcze na Zamku. Po prawdzie nikt go tam nie wzywał. Ani królowa Matka, ani królewicz, ani książę Regent. Oland zaś został zaproszony do siedziby maga. Wczoraj nocą był umyślny z pismem od Kapy. Dlatego też, to właśnie dziś baron Oland zjawił się o ustalonej porze w pieczarze Kapy.

- Baronie, nie zostawiam Was samych sobie. Moim godnym następcą niech

zostanie mag Kujh. To dobry mag, poradzi sobie z wszystkimi moimi obowiązkami.

- Kujh? Nie jest on jeszcze za młody?
- Baronie, wierzaj mi, bo to w końcu ja się znam na rzeczy, on sobie da doskonale radę. A Jego Królewska Mość, książę Orotog, będzie miał w nim dobrego sługę. Dobrego i skutecznego maga.
- Takiego jak ty?
- Dokładnie, Panie. Takiego jak ja. - Kapa, mówiąc to, wyraźnie posmutniał.- Panie, wiesz dobrze, że ja już mam swoje lata. Jestem stary. No, może nie aż tak stary jak książę Regent. Ale i ja odczuwam na swych barkach to brzemię swego wieku. No i ta choroba, o której ci mówiłem. Dlatego pozwalam sobie, za twoim pośrednictwem, zwrócić się do księcia Kowdlara, by zwolnił mnie z mej służby.

Olandowi zdało się, że Kapa skrzywił się w grymasie bólu. Może to ta jego choroba, a może to jego zranione ambicje? Teraz jednak było pewnym, iż Mistrz Kapa odstąpił od swych zdradzieckich zamiarów. No, skoro się sam wycofywał i uciekał na jakąś zapyziałą prowincję, i to w dodatku nie w Ulandii lecz w Spoka. Lecz czy uniknie kary? Zdrada będzie zawsze zdradą. Za zdradę się płaci życiem. Najpewniej, gdy to już Orotog będzie koronowany, upomni się o swoje.

- Dobrze więc. Powtórzę to księciu Regentowi – powiedział Oland.- Kujh to zdolny człowiek. Już wiele dobrego o nim słyszałem. To sam szambelan Obik mi go wielce zachwalał.
- No tak, baronie. To zdolny chłopak. I bardzo młody, ale to mu tylko dodaje uroku. - Przyznał Kapa. - Właściwie, hm ... on jest chyba nawet lepszy ode mnie, gdy byłem w tym wieku – to była niespodziewana deklaracja. - Więc, daleko zajdzie. - Kapa dodał szybko.
- A gdzie on się nauczył swego fachu?
- Baronie, on jest uczniem moim i pobierał nauki w Szkolnicy Królewskiej.
- Aha! To bardzo dobrze. - Oland uśmiechnął się. - Bardzo! To znaczy, że my sami możemy się dochować własnych elit. Ty, Ekscelencjo, pobierałeś nauki w Zakonie Czarnego Elfa, jeśli mnie pamięć nie myli?
- Tak, tak. W Ulandii nie było jeszcze wtedy Szkolnicy Królewskiej. To była bardzo mądra decyzja króla Amargadeusza. Ta, by założyć Szkolnicę.
- O tak. W samej rzeczy – zgodził się z tym Oland.

Jakiś pochmurny cień mętnych myśli i emocji znów przemknął po obliczu Kapy. Lecz Oland nie był tego zupełnie świadomy. Patrzył bowiem teraz na te wszystkie magiczne rekwizyty, które zawierała grota maga. Część z nich stoi tu już od wielu lat. Ba! Chyba nawet od czasów Maga Uberyka. Najpewniej mumia Faraona i szkielet były tu chyba od zawsze. Na wielkim stole, czy raczej ołtarzu, stało kryształowe lustro a także kula magiczna z kwarcu różowego. Mistrz Kapa miał tu wielce zagracone środowisko. Najpewniej to on sam pilnował porządku w swej świątyni magii. A że mężczyźni są raczej marni w utrzymywaniu porządku i ładu, tym łatwiej wytłumaczyć ten brud i nieład, jaki tu panował. Mistrz Kapa nie należał najpewniej do typu czyścioszków. Lecz o zgrozo dopuścić tu sprzątaczkę byłoby wielkim grzechem.

Księżę Regent siedział z wielkim trudem na szerokiej ławie, przynajmniej tak się musiałoby zdać każdemu, kto by na niego patrzył. Na szczęście byli sami. Tylko Kowdlar i jego syn, Atagr. Atagr widział jednak, że ojciec się męczy. Lecz cóż mógł na to począć?! Już mu to Lopeod mówił ostatnio, iż najlepiej dla ojca byłoby, gdyby kilka dni został w łóżnicy. Lecz, by nie leżał wtedy na miękkich poduchach lecz na twardej desce. Wtedy to, tak utrzymywał Lopeod, Kowdlar mógłby dojść do siebie. Obowiązki! Obowiązki wobec królestwa nie pozwalały nawet na krótką chwilę tego odpoczynku. Stale coś się działo w Ulandii lub w sąsiednich królestwach, tak że Regent miał ciągle zajęcie. Już i tak większość pracy przejęła kancelaria Regenta. Jedyną więc nadzieją na odbudowanie sił i poprawę zdrowia sam Kowdlar widział tylko w tym, iż za niedługo to już czas w końcu odbędzie się koronacja Orotoga. Osobiście Kowdlar miał już dość tego wszystkiego. Ten ostatni dekambr rządzenia na reszcie się skończy. Ostatnie lata to już była męka. A może da się jeszcze uratować kilka lat życia, a może choćby tylko jeszcze rok. Wtedy to, gdy organizm uwolniony od obowiązków, będzie mógł odbudować mocno nadwątlone siły witalne? Kowdlar wiedział dobrze, że każdy człowiek rodzi się z dwoma lub nawet trzema zasobami sił witalnych. Jedne z nich, to były siły witalne odziedziczone po swych przodkach, drugie zaś stale odnawiały się z każdym oddechem i z każdym kęsem jadła i napitku. Lecz, i to Kowdlar też doskonale wiedział, że te pierwotne siły witalne nie odnawiały się. I człek żył tylko tyle, ile mógł czerpać z tych sił mocy. Wiedział też jednak, co było świadomością dość bolesną, iż właśnie chyba ten zapas sił pierwotnych był już u niego mocno nadwątlony, a nawet, najpewniej, wyczerpany. Kowdlar jednak jeszcze łudził się, iż doczeka narodzin swego wnuka. O jakaż to byłaby radość dla jego starych kości. Wtedy to bez żalu, a nawet z chęcią i ulgą, mógłby udać się już tam, gdzie czeka nań Elubed. Księżna Teborna widziała to też doskonale, że mąż zapracowany mocno jest obciążony tym jarzmem, przynajmniej w tym przypadku, rządzenia. Starła się też jak mogła być użyteczną dla niego. Miał więc regularne posiłki. Jadał tylko to, co sama księżna, za radą medyka Lopeoda,

uznawała za zdrowe dla niego. Pilnowała też, by po zmroku nie przekazywano mu żadnych pilnych raportów. Dlatego też księżna już od jakiegoś czasu częściej przebywała w Wendzie niżli w posiadłości Poleda. Już to straż królewska miała odpowiednie instrukcje pochodzące od księżnej, takie to by nie dopuszczać do księcia Regenta żadnych nadzwyczajnych posłańców po zmroku lub w porach posiłków. Tym musieli się już zajmować kanceliści lubo szambelan Obik, lub jeszcze inni dygnitarze dworscy. Część z nich mogła się to już dobrze przekonać, iż ich funkcje dworskie wcale się musiały oznaczać tylko tytułarnych i grzecznościowych przywilejów. Ulandia bowiem była niczym żywy organizm. I potrzebowała ona stale dobrych rządów. Lecz jeszcze zostało niespełna dwa miesiące do koronacji. A potem to już przyjdzie młode.

- I gdzie to jedziecie na swój odpoczynek? - Kowdlar z wyraźnym wysiłkiem zwrócił się do syna.
- No, nie wiem, tato. Może pojedziemy do portu Ulende. W pobliżu są tam piękne plaże, a woda morska jest ciepła i przejrzysta.

Atagr pochylił się nad swym ojcem, niby mu chciał poprawić kołnierz, który zmiął się nieznacznie.

- Powiedz mi, synu, na jak długo planujesz odpoczynek? Bo, widzisz, ja widzę dla ciebie nową funkcję przy Dworze. Już to najwyższy czas, byś wydorósł. Ożeniłeś się, będziesz miał dziecko, pora porzucić to swobodne życie, jakie dotąd wiodłeś, powiedzmy to sobie otwarcie, w sposób próżniaczy.
- Ależ, ojcze, nie zapominaj, że stałem się tym samym powiernikiem księcia delfina.
- Wiem, wiem, ale to wszystko mało. Ja cię widzę na jakimś uczciwym stolcu przy Dworze.
- Ależ, ojcze – zdumienie Atagra wyraźnie wrosło. - Nie uważasz, że księżę Orotog, już po koronacji, znajdzie mi jakieś zajęcie? Nie musisz się więc martwić.
- Właśnie, że się martwię – Kowdlar był uparty – Obawiam się, że przez najbliższe pięć, sześć lat księżę Orotog będzie się dopiero uczył rządzenia, a ty musisz być, i to koniecznie, już na jakimś stanowisku. Bo inaczej te najbliższe zmarnowane lata Orotoga, to będą i twoje zmarnowane lata. Ty jednak jesteś starszy, i nie możesz już sobie na to pozwolić.
- Hm... No, niby masz rację, tato. To gdzie mnie widzisz? Jaką mi rolę powierzysz? - Atagr chyba sobie uświadomił, że ojciec ma większe doświadczenie życiowe.
- Myślę, byś został elektanem floty. Będzie to ode mnie wymagało wiele zachodu. Ale w sumie, myślę, że jest to w zasięgu naszych możliwości.
- Ależ tato, ja w życiu nie byłem na żadnym okręcie.

- Ach! Ty niecnoto – Kowdlar się aż zakrztusił. - Przecież elektan pełni swą funkcję na ładzie, a ściśle przy boku króla. Lecz, dobra myśl. Jak będziesz w Ulende, to postaraj się, by odbyć tam krótki rejs okrętem. Może wzdłuż zatoki? To ci się przyda, zważywszy na twoją przyszłą funkcję. Ha, ha, ha – Trochę żałośnie wypadł ten śmiech seniora.

W komnacie było dość ciemno i ponuro, najpewniej będzie dziś burza, późno letnia burza. Kowdlar siedział już na swym drewnianym fotelu, wyścielonym cennymi skórami. Atagr stał, prawie że przesłaniając światło. To jakby jeszcze bardziej męczyło Kowdlara, tak jakby te okruchy jasności trzymały go dotąd jeszcze w jako takiej kondycji. Kowdlar zresztą machnął Atagrowi, by ten się nieco przesunął. Młody jednak nie reagował. Może sobie nie zdawał sprawy z tego, że przyczynia się tym samym do większego cierpienia ojca.

- Co z tym całym Mistrzem Kapą się dzieje, nie wiesz? - Spytał z nagłą Atagr.
- Złożył na me ręce rezygnację. Wprawdzie nie osobiście, ale przez Presurta Olanda.
- Zgodziłeś się?
- No cóż, ma już swoje lata. Ponad ćwierć wieku służył królestwu. Ponoć mocno zachorzał. Tak mi to powiedział baron Oland. Wierzaj mi, o jak ja go dobrze rozumiem, jak dobrze. - Kowdlar ciężko westchnął. - Czas teraz na was, młodych. Pokażcie, co jesteście warcii.
- A kto po nim będzie głównym magiem królewskim? - Atagr teraz nieco odsunął się w bok. Ta odrobina jasności wyraźnie poprawiła humor Kowdlarowi.
- Niejaki mag Kujh.
- Znam, toć to ten, co nam dawał śluby małżeńskie.
- Ten sam, synu. Ten sam.
- Młody, młodszy ode mnie.
- No właśnie. Widzisz więc, że i ty musisz w końcu coś konkretnego ze swym życiem zrobić. Taki Kujh będzie głównym magiem, a ty?
- No przecież zostanę na stałe elektanem, tato? Co ty chcesz więcej? Ożeniłem się. Dziecko w drodze. Czy ty nie masz zbyt wymagających oczekiwań co do mnie?!

Ta ostatnia uwaga Atagra, było widać, mocno zadziałała na Kowdlara. Aż mu się usta wykrzywiły w dziwnym grymasie. Może to książę Regent uzmysłowił sobie w tej chwili, że przecież to jego syn ma rację. Chyba w rzeczy samej wymagał zbyt wiele od tego jeszcze młodego mężczyzny. Osiągnięcia przecież Atagr miał całkiem spore.

Był przecież zausznikiem i przyjacielem samego królewicza. Doskonale orientował się we wszystkich niuansach panujących w kamaryli dworskiej. Ożenił się. I, jak sam się chwali, wkrótce będzie miał dziecko. Dajcie bogowie, by syna!- Westchnął w myślach Kowdlar. Nie było to mało. W jego wieku on sam był tylko rycerzem króla Amargadeusza. Golcem marzącym o wielkiej sławie. To prawda. Wszystko, co zamierzał, mu się spełniło. Ale Atagr nie musi się już przecież aż tak siłować z życiem jak on. Nie musi. To szczerą prawdą.

- Chciałbym, synu, by twa młoda żona na razie osiadła w naszej posiadłości Poleda – niespodziewanie powiedział Kowdlar.
- Ależ, ojcze, ona się dobrze czuje tu, w Wendzie.
- Niewątpliwie, ale teraz, w ciąży, powinna na siebie mocno uważać. A ten tłum pospółstwa, jaki się tu w naszej stolicy panoszy, moim zdaniem, jest niebezpieczny.
- Przecież całe życie tak żyła. Ona umie o sobie zadbać.
- Niewątpliwie, synu, o siebie tak. Ale tu chodzi także o twego potomka. Tu chodzi o dziedzicę naszego rodu. Musisz to na niej wymóc, by w najbliższym terminie razem pojechały do Poledy, ona i twoja matka, Teborna.
- Hm ... No nie wiem, nie wiem, Nie wiem, czy mnie posłucha. Bardzo związana jest z Gelderą. A tamta na nią teraz dmucha i chucha. To dziecko przecież będzie też wnukiem Geldery.
- To niech Geldera jedzie razem z nimi. Świat się od tego nie zawali, gdy opuści na kilka miesięcy swą rezydencję w Wendzie. - Kowdlar zasepił się. Przyszło mu bowiem do głowy to, iż będzie ten plan jego trudny w realizacji. A i Atagr nie pozostawił mu żadnych złudzeń.
- Ojcze! Ona poza Wendą. Nie to niemożliwe. Geldera prędzej pozbyłaby się swych rudych włosów na głowie, niżli zrobiła to, czego ty się domagasz.
- W każdym razie to rozkaz. Ja ci rozkazuję, a ty masz skłonić swoją kobietę do uległości. To w końcu ty jesteś głową swojej nowej rodziny. I, pamiętaj, ty mnie zresztą dobrze znasz, ja nie zniosę braku posłuszeństwa. Choćbyś miał ją jakoś przekupić, zrób to. Za miesiąc, najpóźniej za miesiąc ma być w Poledzie. Ze swoją matką lub bez niej. I ma tam być aż do porodu, a i po porodzie także. Zrozumiano, synu!- Kowdlar podniósł nieco tembr głosu. I choć to może nawet było w żartach powiedziane, lecz już to dobrze Atagr wiedział, iż z ojcem nie ma co sobie pogrywać. Wszak to właśnie Kowdlar był Regentem. Nie kto inny. To on decydował o setkach i tysiącach losach Ulandczyków. To on podpisywał wyroki i ułaskawienia. Za jego dobrą lub złą emocją, za dobrą lub złą myślą stały setki kurhanów kamiennych a i kołaczy weselnych. Przeto Atagr pokiwał tylko głową na znak, że rozumie. Dostał więc wytyczne od ojca, teraz to on będzie musiał je jakoś zrealizować. O Kerdolocie! Daj mu siły i przychyłność losu. Niech się to dzieje podług twojej woli.

Dookoła pełno terakotowych kufelków. Zapach taniego piwa roznosił się nad nimi niby opary na bagnisku. A oni tacy radośni, siedzieli i rozmawiali, nie przeszkadzał im nawet pijacki bełkot, który dochodził z innych stołów. Była w ich sytuacji niespodziewana korzyść. Oto mogli rozmawiać swobodnie, bowiem karczemny pogłos głużył ich rozmowę, tak iż już dwa łokcie od nich nic nie można było zrozumieć z tego, co też tam sobie prawili. Lamarta trochę to na początku gorszyło, iż Gyla razem z nimi dwoma weszła w ogóle do karczmy. Wszak to była dziewczyna. Kobiety, a już tym bardziej dziewczyny, raczej rzadko nawiedzały takie domy, no chyba że to były pospolite kurewki, które baczyły tylko na swój zarobek. Jednak Koli najwyraźniej nic sobie z tego nie robił. Trzymali się tylko stale za ręce. Tak jakby to miało uchronić Gylę od męskich zaczepk. I w rzeczy samej, na początku mężczyźni patrzeli dość obcesowo na kobietę, ale już po jakimś czasie chyba uznali, że ta dziewczyna ma już swojego mężczyznę. Tym mężczyzną był wszak Koli. Pili więc sobie spokojnie tak w trójkę piwo. Gyla chyba jednak robiła to z pewnym przymusem. Jak się Lamart mógł szybko zorientować, piwo nie było jej ulubionym napojem, i piła chyba tylko ze względu na Kolię. A Koli, zdało się, zupełnie się tym nie przejmował. Radośnie gaworzył sobie, co chwila wysyłając ku Gyli spojrzenia zakochanego.

Lecz to, że dziś byli właśnie tu, w tej karczmie, w Kuli Złota, nie było przypadkowym. To właśnie Koli wybrał dziś to miejsce. Już, jak to się Lamart domyślił, chyba mu chodziło głównie nie o piwo, lecz o dyskrecję. Od samego bowiem początku Koli zaczął wygadywać na, porąbane, stosunki panujące w Szkolnicy. Oto bowiem Erej został mianowany rekerem, teraz to dodatkowo z prawie absolutną władzą w Szkolnicy Królewskiej. A frakcja Mistrza Kapa była w głębokim kryzysie, za sprawą tego, iż Mistrz Kapa wyjechał, jak powiadają dobrze poinformowani, z kraju. Gdzieś tam do swych włości w królestwie Spoka. Zrobiła się więc dziura. I to taka, że groziło nawet, iż cała Szkolnica się zawali. Tak to bowiem jest na tym świecie, że tylko takie rzeczy są stabilne, w których działają zawsze dwie antagonistyczne siły. Zaczęło więc tym samym brakować przeciwnika dla stronników Ereja. No owszem, zostali jeszcze dawni poplecznicy Mistrza Kapy. Ale skulili oni pod siebie ogony i udawali, że ich nie ma. Nie podobało się to wszak niektórym, i, jak się mógł o tym Lamart przekonać, do takowych należał także Koli. Zaczął on, przy tym koślawym karczemnym stole, wygadywać na Ereja, i na jego władzę. Ten był entuzjasta Ereja, ten, który wszak Erejowi zawdzięczał, iż nadal mógł być uczniem Szkolnicy, teraz zamienił się, i to Lamart mógł się przekonać dobitnie, w krytyka poczynań całej frakcji Ereja. O co mu chodzi? - pomyślał w pewnym momencie Lamart. Wszak nie może to Koli rościć sobie ambicji, by zastąpić samego Mistrza Kapy. Po prostu Koli był na to za krótki. A może Koli wie o czymś, co jest na razie tajemnicą? - To była następna myśl Lamarta. Może to już jest przesądzone, że ktoś zajmie miejsce Mistrza Kapy? Tylko kto? Kto taki? Lamartowi wydało się, iż nie może to być żaden z nauczycieli Szkolnicy. Tylko kto w całym królestwie może o tym zdecydować? Zdaje się, iż tylko księżę Regent lub, być może, szambelan Obik. Innych kandydatów Lamart nie umiał się doszukać.

Pili więc powoli piwo z terakotowych kufli i rozprawiali o nowych porządkach w Szkolnicy.

Nagle to jednak Koli zmienił radykalnie temat rozmowy.

- Słuchaj, Lamart, ja z Gylą wyjeżdżamy z kraju? Co ty na to? - posłał równocześnie znaczące spojrzenie w kierunku Gyly.
- Jak to? A Szkolnica? - Lamart był po prawdzie mocno zdumiony.
- Dostałem ofertę. - Koli był tajemniczy. - Zaraz ci powiem. Co, Gyla, Powiedzieć mu?
- Powiedz, powiedz – przytaknęła dziewczyna, równocześnie odsunęła z pewną niechęcią od siebie kufel.
- Słuchaj więc, bo może cię to zainteresuje. Jest taki Zakon. Zakon Księżyca. Całkiem nowy. W Engorze. Uczyć w nim będą elfy i filozofowie. Dostałem zaproszenie od nich. I co ty na to? Uczyć tam będą prawie same elfy. A wiesz to dobrze, że to są najlepsi nauczyciele. Jedziesz z nami?
- Aaa... - Lamart był mocno poruszony. - Ja nie mooo...gę. - Wydukał z trudnością.
- Rzucaj wszystko, jedź z nami. Ja chcę być filozofem i magiem. I tam moje marzenia mogą się spełnić.
- Nie mogę... Nie mogę zostawić rodziny. Ty jesteś starszy. Nie łączy cię też nic z twoimi. Nie, nie mogę... - Lamart powtarzał, niczym jakąś mantrę.
- No jak chcesz. - poważnym tonem rzekł mu Koli. - Może tam początkowo nie będzie tak dobrze jak tu. Bo tam raczej uczniom nie będą dawać żadnych złotych talentów. Ale po ukończeniu nauki będę miał znacznie większe możliwości jak ty.
- No dobrze. A masz w ogóle jakieś środki, by tam, w tym Zakonie, zapuścić korzenie.

Na to Gyla uśmiechnęła się szczerze, tak jakby wiedziała o czymś więcej.

- Tak. Będziemy żyli z posagu Gyli. Na szczęście w tym Zakonie nie obowiązuje celibat i śluby czystości.
- To kiedy ślub?
- Już był. - Koli uśmiechnął się do Gyli.
- No taki jesteś przyjaciel? - Z pewnym wyrzutem rzekł Lamart.
- Nie miej urazy, bracie. Ojciec Gyli wymógł to. To była skromna ceremonia. Tylko my dwoje, ja i Gyla, i rodzice Gyli. Nawet moi nie wiedzą o niczym. Bo to pospolite kmiotki są – powiedział z pewną wzdrgną, jakby się wstydził skąd jego ród. - Ale najlepsze jest to, że posag Gyli jest całkiem niemały. Co, kochanie, nieprawda? - Tamta tylko z uśmiechem skinęła głową. - To nam pozwole urządzić się tam na miejscu. Najważniejsze, iż w tym Zakonie nie ma żadnych ślubów, które utrudniają zwykle życie ludziom, którzy chcą z życia

czerpać pełnię możliwości.

- Więc, kiedy wyjeżdżacie? - Lamart poczuł jakiś taki wewnętrzny żal, może smutek.
- Muszę jeszcze rozliczyć się z niektórymi ludźmi. A tak swoją drogą, czy ja ci jestem jeszcze coś dłużny? Mów teraz, bo za miesiąc już mnie w Ulandii nie będzie.
- Nic mi nie zalegasz. - Lamart upił solidny łyk piwa.

W tej samej chwili Koli wziął kufel Gyli. I widząc, że ta nie pije, i że nie smakuje jej, postawił przed sobą ten kufel.

- Teraz jestem całkowicie wypłacalny, lecz znasz mnie, nie wiadomo, jak to długo potrwa. Na razie jednak nie mogą w pełni dysponować posagiem Gyli.
- No tak, kochany, mój tato to doskonale wiedział. - powiedziała na to Gyla.
- No, właśnie, jej tato zawarł pewne warunki w intercyzie ślubnej – Koli przyznał, równocześnie posłał dziewczynie całusa.

Lamart był nieco zdumiony, w jaki sposób oboje odnoszą się razem i z osobna do tego. Tak, jakby nie było między nimi żadnego sporu w tej kwestii. Najwyraźniej Gyla była świadoma tego, jakim ryzykantem jest jej małżonek.

- Najbliższe lata chcę się jednak skupić na nauce w Zakonie Księżyca.
- Więc, wyjeżdżacie jeszcze w tym miesiącu?
- Tak, Lamarcie, właśnie – powiedział Koli. - Nikt, oprócz ciebie, nie zmartwi się tym, że opuszczam tak szacowną szkolnicę. A myślę nawet, że Nauczyciel Erej będzie nawet zadowolony z tego faktu. Przyznaję, byłem może nazbyt niesfornym uczniem.
- W takim razie, to jak to będzie z tobą w Zakonie Księżyca? - Lamart był ciekaw.
- Tam to co innego. Po pierwsze będziemy mieszkać z dala od ludzi, nie w jakimś grodzie, lecz dosłownie w Zakonie. Jak wiem, gdzieś na wyspie. Choć żona będzie mogła ze mną mieszkać. Wiem, bo się pytałem.
- Zamienisz więc życie pełne przygód w Wendzie, na życie skromnego mnicha, który myśli tylko o swej pracy?
- Otóż to, Lamarcie. W tym cały sens. I, wierząc mi, ja w tym widzę większą szansę dla siebie. Większą szansę, by ukończyć tam całą naukę. Tu, w Wendzie, miałem zbyt wiele pokus. Sam to tak oceniam.
- A może ty masz i rację – przyznał Lamart. -Bo, wszyscy wiedzą, że jesteś nad wyraz bystry, lecz przygody życia mocno cię odciągają do nauki i doskonalenia ciała i ducha.

- No, właśnie. I ja to wiem dobrze. Nie mam twego charakteru. Nie umiem się skupić na nauce, gdy opodal grają w tekeluku, albo szynk jest otwarty, a w nim morze wina i piwa.

Gyla chyba jednak nudziła się tu. Dyskretnie zasłaniała ręką usta, bo ziewać nagle zaczęła. I to mocno. Koli za to czuł tu się doskonale. Dopijał powoli piwo z kufła Gyli i cały czas usta mu się nie zamykały.

- Wyobraź sobie, elfy. Elfy mnie będą uczyć magii i nauk tajemnych – mówił.
- Rzeczywiście, trochę ci tego zazdroszczę. No, ale przecież Erej jest uczniem samego Cygana Dziada.
- No, dobrze, dobrze – szybko zareagował Koli. - To masz takiego jednego na całą Szkolnicę. A w Zakonie Księżyca jednak uczyć będą ci, co najlepiej znają się na tym, czyli elfy. Ludzie nie mogą dorównać w tym elfom. Tak to już jest.
- Tak, słyszałem o tym. Tylko dziwne, dlaczego tak się dzieje?
- Powiadają – mówił Koli. - iż elfy są znacznie starszą rasą niżli ludzie. Z tej przyczyny, choć mniejsi od nas, są za to mądrzejsi.
- Starszą, starszą, a co to ma za znaczenie ? - nagle włączyła się do rozmowy Gyla.
- Ma, kochanie, ma. Oni więcej przepracowali doświadczeń życiowych. Dusze bowiem wszystkich istot żywych, czy to zwierząt, czy gnomów, elfów i ludzi wędrują z życia na życie, i uczą się – Koli był jak w natchnieniu.
- Aha! Cyba że ta, ale ja się na tym nie znam – przyznała strapiona Gyla.
- No właśnie, kochanie, ty się na tym nie znasz.

Jakiś raban się zaczął na końcu izby. Chyba to podpici plebejusze grodzczy wszczęli między sobą jakiś zatarg. Łać się zaczęło piwo z rozbitych kufli, którymi jeden drugiego okładał po głowie. To było trzech roślących z wyglądu górali. W ruch poszły w końcu pięści. To dwóch mniejszych zaczęło okładać tego trzeciego. Ale ten trzeci to był chłop na schwał. Nic sobie nie robił z tej pozornej przewagi przeciwników. Koli zauważył, że Gyla zaczęła się najwyraźniej bać. Chyba bała się tego, że ten zatarg z końca izby przeniesie się do nich. Wszak to bowiem inni zaczęli kibicować to jednej to drugiej stronie walczących. Zrobił się ogólny raban, w szynku pogłos walki zmieszał się z okrzykami kibicujących.

- Nie bój się, kochanie, nic się nie stanie. - Koli powiedział Gyli.
- Jak chcesz, ale ja stąd wychodzę. Te podpite dzikusy jeszcze trochę przetoczą się przez nasz stół.
- Ależ, kochanie, oni są zupełnie niegroźni.
- To może tobie się tak zdaje.

Gyła energicznie wstała z ławy. I było widać, że zaraz ruszy w stronę wyjścia.

Ludzie stali jak oniemieli. Wpatrzeni byli w to dziwne widowisko, które najpewniej zgotowali sami bogowie. Oto wysoko na niebie, pośród chmur zwisały majestatycznie jakieś ogromne, wielkości ogromnych gmachów, choćby to świątyn lubo Szkolnicy Królewskiej, z kształtu podobne do wydłużonych kabaczków obiekty. Nad Wendą było chyba takich siedem lub osiem olbrzymów. Co jakiś czas z ich środka wyskakiwały i pruły zachmurzone niebo na przestrzał mniejsze, podobne w swym kształcie do czapek Alahitów, które to z wielką prędkością leciały gdzieś, a potem wracały i znikwały ponownie w tych olbrzymich kabaczkach. -Co to? Co to? Co to za dziwy? - mieszczanie wymieniali uwagi. Lecz nikt, zaprawdę nikt nie umiał na to dać odpowiedzi. Na ich twarzach był tylko strach i przeznaczenie. -To bogowie! To bogowie! - zaczęło tam pośród nich krążyć niczym mantra. -Uciekajmy! Ratujmy się. - i takie też były głosy. Ale chyba strach był tak wielki, że nogi same nie chciały się oderwać od ziemi. Ludzie patrzyli w niebo, i czekali, co też się teraz stanie. Może czekali tylko na własną śmierć. Czegoś takiego jeszcze kroniki miasta, a nawet i Ulandii, nie odnotowały. - A może to koniec Świata ? - ktoś rzucił w tłumie. Ale to tylko spotęgowało tylko ten ogólny strach, który gościł teraz w serca Wendyjczyków. A było też tak, iż nawet ci bogatsi, ci, co zwykli przemieszczać się przez miasto w lektykach niesionych przez niewolników, stali obok swych ludzi i patrzeli w osłupieniu. Ludzie wychodzili z domów i dołączali tym samym co coraz większego tłumy gapiów. Przekupnie porzucali baczenie na swe kramy, kowalom przygasał ogień i żar w piecach. Co to też się stanie? Co to ma oznaczać? - W niejednej głowie rodziły się takie myśli. Lecz oto, po jakiejś godzinie, nagle te wielkie zwisające kabaczki ruszyły się i powoli, majestatycznie, niby albatrosy szybujące nad wodą odpłynęły. Tak, by po chwili odlecieć gdzieś, gdzieś w inne rejony Ulandii. Ludzie w końcu stracili z nimi kontakt wzrokowy. Oto nic się nie stało. Nic się złego nie stało! Nie było końca Świata. Lecz strach dalej nie chciał opuścić serca ludzi. Bo strach to takich demon, iż raz wzbudzony, nie łatwo oddaje to terytorium, w którym zapanował. Tak z sercami ściśniętymi strachem i lękiem ludzie pomału, poczęli powracać do swych zwykłych zajęć. Zbiegowisko zaczęło maleć, by po kilku dosłownie minutach sytuacja wróciła do swej zwykłej normy. Lecz najpewniej ta manifestacja bogów już na zawsze będzie tematem rozmów pomiędzy Wendyjczykami. Dla jednych będzie to namacalny dowód, iż bogowie istnieją i nie są wymysłem kapłanów, czyli tych, którzy z tego żyją. Będzie to dowodem, że życie z ustaniem bicia serca nie kończy się. Będzie to dowodem, iż gdzieś tam na Polach Kerdolota czekają na nich dawno zamarli krewni, przodkowie. I tylko więc ludzie prawdziwie mądrzy, tacy jak Erej lub Jufe, będą wiedzieć to dobrze, że jedno nie ma nijakiego powiązania z drugim. Ale dla prostych ludzi, prostych miejskich rzemieślników, znaczenie tego dzisiejszego zjawiska będzie doprawdy wiekopomne. Pozwoli im, być może, ufnie patrzeć na życie, a nawet na śmierć, mając przekonanie, że porządek tego świata jest słuszny i prawidłowy. Oto należy oddawać cześć bogom

i kultywować pamięć po swych przodkach. A ofiary całopalne ze zwierząt są tym samym czymś zgodnym z duchem kultu i wierzeniami. Należy też łożyć środki na świątynie, których w samej Wendzie było kilkadziesiąt. Trzeba to dbać, by kapłanki, magowie i kapłani świątynni mogli żyć w dostatku, bo to oni przecież są pośrednikami między ludźmi i bogami.

- Wiesz więc dobrze, kim jestem?
- Wiem, Panie, jesteś Lullu. - powiedział Kujh.
- Czy Mistrz Kapa uprzedził cię także, co to oznacza? Czy powiedział ci o Koboku? Czy powiedział ci, że poprzez moją osobę będziesz otrzymywał instrukcje od Koboka?
- Tak, Panie.

W pieczarze było ciemnawo, bo to jedynie płonące polana rozświetlały jako tako tę ponurą izbę. Jednak w tej dawnej siedzibie Maga Uberyka, potem Mistrza Kapy, teraz urzędował Kujh, który oto już od niemal dziesięciu dni pełni zaszczytną funkcję Pierwszego Maga Królewskiego.

- Oto, przekaz księciu Regentowi, iż bóg Kobok jest już w swej przystani na Ziemi.
- Od kiedy, Panie?
- Cóż to ma za znaczenie? Kobok oczekuje od ciebie, że sprawdzisz się w swej nowej roli nie gorzej od Kapy, a może nawet lepiej. Bo Kapa miał taką dziwną cechę, że lubił oceniać sytuację wyłącznie ze swego punktu widzenia. Jeśliś dostatecznie bystry, a ufam, że tylko ktoś taki może być na twoim stanowisku, bacz, by nie powielać błędów Kapy.

Zapanowało niezręczne milczenie. Kujh zamilkł, bo nie wiedział, co rzec, a Lullu umilkł z tej przyczyny, iż bacznie zaczął przyglądać się, jak zareaguje ten młodzieńcy mag. Po chwili jednak, chyba kontent z tego, co zobaczył, rzekł:

- Oczywiście Mistrz Kapa wywiązywał się dobrze ze swej roli. Kobok nie ma większych zastrzeżeń, lecz ty możesz być jeszcze lepszym. Zostaniesz za to sownie nagrodzonym.
- A Mistrz Kapa?

- On też swoje zyskał. W dostatku zakończy swój żywot ziemski. Ale zostawmy to w spokoju. Wiesz jednak, że Mistrz Kapa musiał zrezygnować, bo za dużo chciał, i tu nie chodzi, w samej rzeczy, o dobra materialne?
- Nie, Panie, nic nie wiem. Mistrz Kapa mi nic nie rzekł, poza tym, iż ciężko zachorzał i dlatego wyjeżdża z Ulandii.
- Hm... No, hm ... to, prawda, zachorzał? Zachorzał, ale to raczej choroba duszy niżli ciała jest.- powoli odrzekł Lullu.

W kotle, co to w rogu się znajdował, mag Kujh przygotowywał najpewniej jakieś zioło. A może Kujh pracował na Kamieniu Filozoficznym? Ciepły, bagienny- leśny zapach ziół, które się tam warzyły, unosił się nad paleniskiem i dochodził do każdego zakamarka groty. Czujne oko Kujha dostrzegło, że raz za razem Lullu jakby odwracał się w kierunku kotła. Zapach tej mikstury musiał mu się z czymś kojarzyć. W rozmowie jednak ni razu Lullu nie odniósł się do tego.

- Panie, więc oto co ma przekazać od boga Koboka Regentowi?
- To by był spokojny, bowiem to sam Kobok będzie czuwał nad losem królestwa. Powiedz też, iż księżę delfin jest całkowicie bezpieczny, i Kobok chce, by to Orotog właśnie został koronowany. Te półtora miesiąca, co zostały do koronacji, księżę Regent powinien przeznaczyć na stopniowe przekazywanie władzy królewiczowi.
- No, to jest chyba oczywiste. - Kujhowi na licu wystąpiły czerwone plamy. - I bez boga Koboka tak też i by się stało. - Kujh był cały rozpalony. Ale mag miał rację. Więc Lullu musiał mu odpowiedzieć.
- Słuchaj, magu. Mogłoby się nie dokonać to, co sobie tu wy, Ulandczycy, zaplanowaliście.
- Dlaczego to? - Na licu Kujha wystąpił jeszcze większy rumieniec.
- Powiem ci teraz coś, co musisz zachować tylko dla siebie. Nie możesz nikomu rzec. Jeśli coś rzekniesz zapłacisz cenę najwyższą. - Lullu nabrał powietrza w płuca. Spojrzał uważnie na maga i rzekł. - Nie jest dobrze między bogami. Blisko jest wojny. Na razie Kobok panuje nad sytuacją, ale nie można zgadnąć co będzie za pół roku. Na te dwa najbliższe miesiące będzie jeszcze pokój, ale ...
- Wojna między bogami? Czy ja dobrze słyszę? - Kujh był poruszony.
- Właśnie. Konkretnie między Kobokiem i Kerdolotem. Lecz na razie Kerdolot jest daleko. Bardzo daleko stąd. Jest tam, gdzie inne Słońce świeci. Lecz za dwa miesiące ma nawiedzić Ziemię. Dlatego przygotuj Regenta Kowdlara, iż Kobok będzie potrzebował pewnych środków od was śmiertelników, o których w swoim czasie ty się dowiesz, a przez ciebie sam Regent Kowdlar.
- Rozumiem... Panie, lecz daj mi jakiś dowód na to. Tak, bym mógł przekonać

Regenta. Inaczej książę się zeźli i pośle mnie do kata. Wszak wojny bogów nie zdarzają się często. Mogę zostać oskarżony o sianie defetyzmu.

Na te słowa maga Lullu jakby się zamyślił. Westchnął głęboko. Zrobił gest aprobaty głową. I, nie namyślając się długo, wyciągnął coś z kieszeni. Jak Kujh się mógł przekonać, był to rodzaj ramki na papirusie lub coś takiego.

- Zobacz, pewnie nic takiego dotąd nie widziałeś? - Powiedział do maga.

I w rzeczy samej Kujh poczuł wielkie zaskoczenie i wręcz konfuzję. Oto na tym niby papirusie było coś tak jakby namalowane lub naniesione. Jakiś dziwny obraz, rodzaj portretu.

- Co to? - Kujh wydusił z siebie.
- Książę Regent już coś takiego kiedyś widział. Wprawdzie było to lata temu. Ale to go w zupełności przekona. Uwierz mi.
- A co to za portret?
- To bóg Kobok.
- Taka duża głowa. Wręcz nieforemna? - Kujh nie umiał dojść do siebie.
- Właśnie. W tym rzecz. Taka duża głowa! W tym rzecz. W tym rzecz, magu Kujhu.
- Ale, o ile ja się znam na malarstwie, to nie jest obraz wykonany jakąś znaną techniką. - Kujh był mocno poruszony. - Sam trochę dla siebie maluję, więc wiem.
- Bo to nie jest obraz malowany farbami, tylko rzut rzeczywistości na materię. - Lullu miał już dość rozmowy na ten temat. Kujh jednak nie rezygnował.
- Nie obraz, tylko rzut?! Ale ja nie znam żadnego człowieka, co mógłby to wykonać.
- Masz, magu, absolutną rację. Dlatego to jest dowód, który przekona księcia Regenta, dowód, że ty faktycznie mówisz prawdę, i jesteś wysłannikiem Koboka. Ten obraz faktycznie nie jest uczyniony ludzką ręką.
- Aha! Aha ... W rzeczy samej. To faktycznie może mnie uwiarygodnić. - przyznał Kujh.
- Masz jak najszybciej dostać się do księcia Regenta. Dla ciebie, dla Pierwszego Maga Królestwa nie będzie to trudnym. Najlepiej byłoby, gdyby Kowdlar przyjął cię jutro.
- Ale ja nie wiem, czy książę Regent jest akurat w stolicy? Ostatnimi czasy, z racji to wieku i pogorszenia zdrowia, książę Kowdlar coraz częściej woli przebywać w swej posiadłości, w Poledzie.

- Ja też nie wiem – przyznał Lullu. - Ale to, jak książę Kowdlar będzie już w Wendzie, ty masz się z nim spotkać i przekazać mu, co ci powiedziałem. Zrozumiano? - teraz Lullu podniósł nieco głos.

Kujh odłożył portret na stół. Jak Lullu mógł się przekonać. Na stole leżało kilka magicznych rekwizytów. Nieco w rogu stała klatka. Lullu dotąd nie widział tego, a był w niej przecież czarny kruk. Lullu go nie dostrzegł, bo ptak się dotąd nie ruszył i dopiero teraz lekko strzepnął skrzydłami. Najwyraźniej była to reakcja ptaka na swego pana.

- No, Abelder, jak się masz? - powiedział do kruka Kujh. - Czy chcesz wody?

Ptak zaczął głośno krakać.

- To mądra bestia. Rozumie wszystko. - rzekł mag.
- Kto? - Lullu był trochę zdezorientowany.
- No, mój kruk. Abelder.

Na te słowa Abelder jeszcze głośniej zaczął krakać.

- Umie nawet liczyć.
- Kto? - Lullu był najwyraźniej rozkojarzony.
- No, mówię o Abelderze.
- Aha. Być może, być może. Gdybym miał więcej czasu najpewniej sprawdziłbym to, ale muszę jeszcze dzisiaj dostać się do kopalni soli w Puku. Więc śpieszę się.
- Jak to w Puku? Przecież to wiele stai stąd. Żadnym wierzchowcem tam się, przy Panie, dziś już nie dostaniecie.
- A kto ci, magu, mówi, że ja tam dostanę się wierzchem? Inaczej. Zupełnie inaczej.
- Czyli jak? Drogą wodną? Barki są jeszcze powolniejsze. Choć drogą wodną stąd jest znacznie bliżej niżli traktem.
- Ach! Nieważne. Za długo musiałbym ci się tłumaczyć. Niech ci to tylko wystarczy, że my, ludzie Koboka, mamy takie możliwości. Tę drogę do kopalni w Puku pokonam w pół godziny. Ale potem wiele godzin zajmą mnie pewne sprawy w Puku, o których nie mogę ci niestety nic powiedzieć. Rozumiesz?
- No tak, Panie, zrozumiałem.
- Nakarm lepiej swego kruka.

Książę Orotog z wysokości swego łoża patrzył na poświatę, jaką tworzyły poranne promienie słoneczne, tańcząc przy tym na jego porozrzucanych po komnacie królewskich szatach. Orotog nie czuł się dobrze. Znów wieczorem bolało go serce. Kiedyś to usłyszał od medyka Lopeoda, że jego choroba ma duży związek z emocjami, które przeżywa. I w samej rzeczy, teraz, gdy do koronacji pozostały tylko tygodnie, trzy tygodnie, miał taki natłok bolesnych myśli i emocji. I właśnie teraz oto odezwała się boleść serca. Orotog dobrze to wiedział, iż jego ojciec, król Amargadeusz, także chorował na boleści serca. I, najpewniej, skonał on z przyczyny tej choroby. Nikt jednak, poza matką i Lopeodem, w całym królestwie nie wiedział o tym. Nie wiedział, iż książę delfin ma słabe serce. Matka, królowa Sylanda, już o to zadbała. Wiedziała bowiem dobrze, iż syn jej, gdyby prawda wyszła na jaw, mógłby nawet zostać odsunięty od tronu. I to nawet nie chodziło o samego księcia Kowdlara. Nie! On był już mocno stary, i on nie miał takich ambicji, by władać jako namaszczony król Ulandią. Jednak czy mało to w tak dużym kraju jest takich, co chętnie by zasiedli w królewskim siedzisku? Gdyby tylko wyczuli słabość Orotoga, jak hieny mogliby go nawet zagryźć własnymi zębami. Sylanda bała się o swojego syna. A może też bała się, co wówczas z nią samą stałoby się? Nie było wszak miejsca na całym świecie, gdzie mogłaby doznać słusznej ochrony, gdyby oto inny, niż Orotog, nastąpił król w Ulandii. A ona wszak jeszcze nie była stara. Jej życie dalekie jeszcze było ku końcowi.

Dwa wielkie wilczury czuwały przy jego łożu. To było także jeszcze dodatkowe zabezpieczenie. Gdyby jacyś siepacze przedarli się przez szpaler strażników królewskich, gwardian, wtenczas oto jeszcze Bur i Fol, dwa wierne brytany, stanowiły ostatni ratunek dla królewicza. Były mu wierne, oddane, jak to tylko psy umieją dla człowieka zrobić. Były na tyle wielkie i silne, iż mogły z powodzeniem uczestniczyć w łowach na niedźwiedzie lub tygrysy. Lecz na tembr głosu Orotoga warowały równie wiernie jak małe pudelki. Gdyby Orotog zechciał rzuciłyby się bez oporów i bez zwłoki w nurty nawet zdradliwej rzeki. Teraz zaś leżały przy łożu swego pana. I co jakiś czas czujnie nastawiały uszów.

Orotog leżał jednak nieruchomo, i tylko wodził oczyma za słonecznymi promieniami. Nie czuł jeszcze głodu. I za potrzebą poranną nie czuł jeszcze parcia. Myślał cały czas o swym przeznaczeniu. Jak to będzie, gdy nałoży koronę na skronie? Te nauki, których mu dzielili mądrzy ludzie, tacy jak Erej. Czy one przydadzą się mu na coś, gdy będzie już władał? Teoria bowiem, jak już w swym młodym życiu się nieraz przekonał, czasami daleka była od realiów rzeczywistości.

Nagle poczuł wyraźny ucisk w piersiach. To serce. To serce się odzywało. Wiedział o tym dobrze. Gdyby na to było jednak jakieś lekarstwo, już dawno Lopeod by mu je zaserwował. Jedyne jego rada, która, co prawda czasami się sprawdzała, co musiał przyznać i Orotog, była taka, by królewicz nie przejmował się tak i brał życie bardziej radośnie. By nie dopuszczał do siebie toksycznych myśli. By cieszył się pogodą ducha. Lecz, wszak życie niełatwe jest, i to nawet dla następcy tronu. Takie to ciężkie czasy są. Czy było kiedyś inaczej? Czy będzie kiedyś inaczej? Orotog mógł z łatwością powątpiewać w to. On dobrze wiedział, że życie zawsze było ciężkie i takie

też będzie w przyszłości. To sami bogowie wszak zadbali o to. Niedbale zsunął z ciała wełnianą kołdrę. I choć w komnacie zimno już było, Orotog nie czuł tego chłodu. Mógłby zawołać służącego niewolnika, by ten rozpałił w kominku, ale jakoś nie było mu to na rękę. Może dlatego, iż miał tylko przepaskę biodrową na sobie, a może chciał jeszcze choć przez kilka minut zachować dla siebie to swoiste osamotnienie? Dziwnie to brzmi: królewicz wielkiego królestwa samotny. Lecz, w rzeczy samej, Orotogowi nie w pełni podobała się ta rola, jaką mu życie i bogowie nałożyli. Czasami, tak jak teraz, wolał zaszyć się gdzieś i przez jakiś czas pomedytować. A wszak był jeszcze dzieckiem. Dopiero za trzy tygodnie pożegna się na zawsze ze swą dziecinnością i niewinnością. Ten rozgardiasz, jaki mu zawsze towarzyszy w życiu. Mnogość ludzi, którzy wokół niego krążą. Wszystko to było zbyt męczące. Czasami myślał o tym, jak sobie z tym radził jego ojciec, Amargadeusz. Lecz żaden nauczyciel ni słowem nie poruszył tego tematu. Nikt mu też nie dał żadnych cennych rad, jak z tym żyć, jak sobie radzić. Czasami ludzie są tak męczący, iż po takich dniach, nie rzadkich lecz raczej zbyt częstych, potem mocno tulił poduszki do łoża i ciemną nocą modlił się do swych przodków, by mu pomogli to wszystko wytrzymać. On, potomek boga Re. On, syn wielkiego Amargadeusza. Wstyd mu było się żalić swym kompanom do wypitki. Nawet przed Atagrem starał się udawać, że wszystko jest dobrze. Lecz nie było dobrze, i Orotog dobrze o tym wiedział.

Jeszcze kilka minut uratować dla siebie. Jeszcze trochę ciszy zachować pod pazuchą. Tak myśląc, wstał nieśpiesznie z łożnicy. Uchwycił ręką sierść swego wilczura, pogłaskał go. Drugiego. Założył ciepły szlafrok i usiadł na ławie. Na stole zostały wczorajsze owoce. Już trochę były nieświeże. Lecz służba zmieni to dopiero po śniadaniu. Ugryzł soczyste, słodkie jabłko. Poczul jak siły życia z tym kęsem napływają w jego nadis. Serce przestało pobolewać. Poprawił włosy. Z trzaskiem rozprostował stawy palców dłoni. Rzucił jeszcze okiem na rozwiniętą księgę *O bycie słów kilka*. Wczoraj niemal zasnął, czytając tę pracę. A ona się rozwinęła i upadła obok łoża. I tak przeleżała całą noc. Podniósł więc księgę, zawinął zwoje i odłożył na komodę. Potem uchwycił w rękę dzwonek i zadzwonił na służbę.

- ...Czy nie zastanawialiście się nad tym, dlaczego strzała dosięga celu, przecież w każdej chwili zawisa ona i jest nieruchoma? No, kto wie, dlaczego tak się dzieje? - Erej spytał, lecz było to niczym pytanie do niemego. Nikt się nie odezwał. A w sali Szkolnicy dzisiaj na wykładzie Ereja, rektora tejże Szkolnicy, był komplet. Nie było wolnego miejsca.

Lamart też tam był, siedział, ściśnięty między dwoma wyrosniętymi wyrostkami. Znacznie od niego starszymi. Dzisiaj na wykładzie grupy były wymieszane. Byli więc ci, co to dopiero zaczynali naukę, i byli już ci, którzy najpóźniej za dwa, trzy miesiące będą przymierzać się do końcowych egzaminów, a po ich ewentualnym zdaniu do uzyskania wymaganych błogosławieństw i ślubów magicznych. Lecz Lamarta nie obchodziła zbytnio ta dzisiejsza niewygodna. Chłonał wszystko, o czym mówił Erej.

- Otóż, moi drodzy, rozwiązaniem jest to, iż każda strzała oprócz swego położenia ma też dodatkową właściwość, którą trzeba koniecznie uwzględnić. Ta wielkość to zmienność. Każdy byt na świecie ma te dwie charakterystyki. Ową zmienność oraz położenie. Gdybyśmy nie mieli tej cechy zmienności, zaprawdę nie moglibyśmy rozstrzygnąć ten pozorny paradoks, iż w każdej chwili strzała wisi nieruchomo w powietrzu. Nie ona nie wisi, bowiem ona ma jeszcze ową zmienność. Gdy ta zmienność jest zerowa, wtedy faktycznie ciało jest w spoczynku. Zrozumiano? - Erej podniósł nieco tembr głosu. - Ta zmienność każdego bytu, co ciekawe, nie ma charakteru absolutnego, jest ona względna i każdy, zaprawdę, który ją ze swego punktu widzenia rejestruje, może stwierdzić jedynie jej względny charakter. Może też być tak, iż dla niejednego będzie ona zerowa, a dla drugich różna od zera. I to odnośnie do tego samego ciała. Widzicie więc doskonale, że oprócz tego, iż podkreśla się do prawidłowego opisu ciał nie tylko położenie i zmienność, lecz należy także podać z jakiego to punktu widzenia stosuje się tę obserwację. To jest bardzo ważne, i zaniechanie tego prowadzi do błędów i wypaczeń...

Lamart miał aż czerwone uszy z emocji. Erej od pewnego czasu stał się dla niego niczym najważniejszy mistrz i nauczyciel. Już był na kilku indywidualnych lekcjach. Erej polecił mu kilka książek, które na szczęście były na stanie w bibliotece Szkolnicy. Lamart zresztą miał już jedną przeczytaną w połowie. Była to księga Lurycjana *Strategie i taktyki prawa naturalnego*. To był bardzo płodny filozof. Jego liczne prace były częścią niejednego zbioru, nie tylko biblioteki Szkolnicy, ale także zbiorów ludzi, przynajmniej dość majątnych, którzy mieli ambicje uważać się za mądrych ludzi.

- Otóż w tym przypadku lecącej strzały, ona ma zmienność niezerową. A jedynym punktem widzenia, w którym jej zmienność byłaby zerowa jest punkt związany bezpośrednio z nią samą. Widzicie więc, że nie ma tu mowy o żadnym paradoksie. Ci, którzy tak twierdzą, nie uwzględniają zmienności strzały... - Widać było, że Erej mówił niemal w natchnieniu. Najpewniej bardzo dobrze przygotował się do dzisiejszego wykładu.

Lamart spojrzawszy kątem oka na dwóch chłopców, którzy siedzieli po jego lewej stronie. Nie znał ich dobrze, nawet nie znał ich imion. Lecz, co prawda, widział ich już nie raz w Szkolnicy na wykładach. Mógł to dobrze teraz zaobserwować, iż i oni byli mocno pochłonięci tematem wykładu. Wpatrzeni byli w Ereja, niby spijali mu słowa z ust. Podobnie i inni słuchacze, chłopcy tam zebrani, byli mocno zajęci tym, co mówił Erej. Lecz Lamart nie miał ni czasu, by bardziej się przypatrywać, i znów skupił się na tym, co mówił nauczyciel.

- Chłopcy, należy też tu zauważyć, iż jeśli mamy dwa różne kamienie. Różne wielkością i masą, a one wykonują podobne ruchy, to zawsze jednak ten większy kamień będzie się charakteryzował większą zmiennością. Jasne to jest dla was? - Erej rzucił pytanie w słuchaczy. A tamci, chyba ze względu na poważanie dla Ereja, zaczęli mocno kręcić głowami na znak aprobaty. - No, to dobrze – zauważył Erej. - Te fakty, które wam tu przedstawiam odkrył wieki temu filozof Vyrte, który opisał to w swym wiekopomnym dziele *Prawidła natury*. Do dziś jednak znamy te pojęcia raczej tylko w formie jakościowej. Geometria bowiem nie radzi sobie jeszcze tak dobrze z opisem takich zjawisk. Wy zaś macie ten przywilej, iż jako jedni z niewielu ludzi w naszym królestwie możecie tego się dowiedzieć. Docencie to, bowiem jaka znam się nieco na rzeczy, nawet elfy z swych szkolnicach i zakonach rzadko ten temat omawiają. Pomijając go bowiem, dlatego iż nie ma dostatecznie przejrzystych metod określania tego w sposób ilościowy. Ja jednak uznałem, że uczniowie naszej Królewskiej Szkolnicy muszą poznać te fakty, jeśli mają mieć pożytek z nauki u nas. Docencie to, powtarzam wam, docencie. Powracając znów do przykładu strzały wypuszczonej z łuku. To jest ona niby w bezruchu, powiedział by laik, w każdej chwili. My jednak wiemy już, że ta strzała charakteryzuje się swoją zmiennością, którą uzyskała z napięcia cięciwy łuku, i dlatego nie jest ona w spoczynku, nawet gdy coraz bardziej będziemy zmniejszać przedział czasu. I dlatego strzała ta razić będzie w końcu cel. - Erej jakby skończył. Chwycił się za brodę. Popatrzał na chłopców. - No to tyle dzisiaj. Aha! Lamart i Kyrta mają się stawić u mnie po wykładzie. A reszta niech pamięta, iż jutro ze względu na Święta Płodności bogini Isztar nie będzie żadnych zajęć. Macie więc dodatkowy czas wolny, by przemyśleć dzisiejszy mój wykład.

Płonące, umocowane na żeliwnych hakach, pochodnie rozświetlały izbę Ereja. Co prawda miał on tam też światło z okna, lecz akurat teraz pochmurne niebo dawało mało światła. Lamart stał w rogu, czekał co też nauczyciel chce dziś od niego. Kyrat przed chwilą został już odprawiony. Teraz więc byli sami, i Lamart czuł, że Erej ma jakąś ważną dlań sprawę. A Erej tymczasem przeglądał swoje tabliczki gliniane, miał coś tam pewnie ważnego. Na jego pulpicie, rodzaju stołu, stał kałamarz z wydzieliną ośmiornicy. Lecz to był kosztowny środek utrwalania idei na papierusie. Bowiem atrament z ośmiornicy wart był tyle złota ile sam ważył. Wszyscy więc bardzo oszczędnie używali atramentu. Czasami więc, i to nie rzadko, korzystano z tabliczek i pisma klinowego.

- Słuchaj no, Lamart, wezwałem cię – powiedział nagle Erej – w konkretnej sprawie.
- Słucham, Nauczycielu.
- Otóż, nie wiesz co się dzieje z Koli?
- Jak to? - zareagował Lamart.
- Gdzie on jest? Wprawdzie ma on mocno już u mnie naigrane, lecz chciałem mu dać jeszcze jedną szansę, a on zniknął. Gdzie jest? Wszak jesteście przyjaciółmi.
- Koli?
- No, Koli, Koli.
- On wyjechał, Panie, do Engory.
- A po cóż to? Znowu robi jakieś szemrane interesy?
- Nie, Panie. Ma oto wstąpić do Zakonu Księżyca, i tam odbyć cały staż uczniowski.
- Przecież ten chłopak nie wie w co się pakuje. A ja tu go chciałem awansować do wyższej grupy. Cóż on to narobił. - Erej z żalem aż pokręcił głową.- Tam mu dadzą taki wycisk, że tego nie zniesie.
- Panie, on tam pojechał ze swą żoną, z Gylą.
- O bogowie! W samej rzeczy trudny ma on przed sobą okres. To prawda, ostatnio mocno wydorósł i zmężniał. Ale żeby tak od razu decydować się na ślub? No nic, widzę, że to już sprawa przegrana. Nic nie mogę mu już pomóc. A zawsze miałem do niego dziwną słabość. I wiele mu darowałem przewin, bo zawsze mi się one kojarzyły w psotami urwisa. No, ale oto Koli już wydorósł. Ślub z kobietą to taki wieńczący młodość i dzieciństwo moment. Szkoda, bo chodziłby z tobą do tej samej grupy. Widziałem, że dobrze na siebie działaliście. On tobie by pomógł w zaradności w życiu, a ty jemu w nauce w naszej Szkolnicy. Lecz powiedz mi jeszcze, kiedy to się stało? Kiedy się zdecydował? I czy jest już tam na miejscu?
- Nauczycielu, on już od kilku tygodni się z tym nosił. I popłynął barką tydzień temu. Czyli w samej rzeczy powinien być już na miejscu. On i Gyla. Dostał znaczny posag od swej żony. I myśli, przynajmniej tak planuje, poświęcić się w

pełni nauce sztuk magii i filozofii. Bo, jak rzekł mi na pożegnanie, tu w Wendzie zbyt wiele spraw go odciągało od nauki.

- No, tu się muszę niestety z nim zgodzić. Może w odosobnieniu jego potencjał nabierze rozmachu. Pozdrów więc go ode mnie, jeśli będziesz miał z nim jakiś kontakt.

Powiedz mu także, może w liście lub przez gońca, że rok cały będę trzymał jeszcze dla niego miejsce w naszej Szkolnicy. Może mu się tam przeje ten elfowski chleb i podpłomyki. Jeśli do roku wróci, to go przyjmujemy z powrotem. To bystry i zaradny chłopak, no, teraz już mężczyzna. Poznał on dobrze cienie życia, mógłby cię wiele nauczyć. Bo ty jesteś, Lamart, bardzo mądry i nad wyraz bystry, ale obawiam się tylko w teoretyzowaniu, a życie od nas wymaga także mądrości zwanej zaradnością życiową. Nie obraż się, ale gdzie ci bogowie zbyt wiele dali, to gdzie indziej też zabrali. I zaradność to, niestety, Lamart twoja słabsza strona.

Lamart, słysząc te cierpkie słowa, posmutniał nieco. I to chyba tylko dlatego, iż miał o sobie całkiem jednak inne zdanie. To prawda, może nie był jeszcze dość zaradnym, ale przecież miał dopiero czternaście lat. Mutacja była jeszcze przed nim. Jak wyczytał w jednej z ksiąg ze swego małego zbioru, który miał w domu u siebie, mężczyzną chłopak staje się dopiero wtedy, gdy przejdzie mutację i gdy zarost na brodzie się pojawi. A to przecież dopiero od mężczyzny oczekuje się zaradności życiowej. Tak to sobie chłopak myślał. Jednak wychodziło na to, że inni mieli zupełnie inne zdanie.

- Ty zaś, Lamart, - mówił Erej - pamiętaj, by trzymać się blisko Szkolnicy i mnie. Bo teraz ciężkie czasy nastaną.
- Jak to? - spytał zdumiony Lamart.
- No tak. Sam stawiałem horoskop dla Ulandii, delfina Orotoga i tej części świata, w której leży nasze królestwo. - Erej miał taki dziwny, zniesmaczony wyraz twarzy, gdy tak to mówił. - Nie mogę ci podawać szczegółów, bo mógłby się mną zainteresować Presurt Królewski albo nawet kat. To tajemnica państwowa. Ale powiem ci tylko jedno: trzymaj się blisko Szkolnicy. Bez względu na wszystko. Bez względu na okoliczności. Ciężkie czasy nadchodzą. Czas próby już bliski.

Lamart w zdumieniu obserwował Ereja. Chodziły słuchy, że Erej znalazł tajną księgę magii, którą dawniej Mag Uberyk używał, i teraz sam on ją zaczął wykorzystywać. Jako to sława Ereja narastała z każdym rokiem. Toż to było po myśli Cygana Dziada, by pozostawić po sobie godnych następców. I w samej rzeczy najpewniej tak stało się. Ciężkie czasy nadejdą! Jeszcze Lamartowi to w uszach dźwięczało. O tak, ciężkie to będą czasy.

Jakieś piekło się rozpętało na niebie. Potężne błyskawice rozdzierały z hukiem przestrzeń. A było dokładnie w południe. Ludzie obserwowali to wszystko, i strasznie dziwili się, iż kropli deszczu nie było przy tym. Gdzieś w oddali niby wielkie kabaczki, chmury to były czy rydwany bogów? Nie można było tego stwierdzić. Ten spektakl przyrody widoczny był z zachodniej części Wendy. Do Zamku Królewskiego jednak dochodziły już tylko potężne ryki i huk niby tysiąca piorunów. Nawet z najwyższego punktu Zamku nic nie było widać. Lecz odgłosy tego tumultu wygoniły na dziedziniec wszystkich mieszkańców Zamku Królewskiego, od księcia Orotoga, królowej Matki po pomocników kucharza włącznie. Nie było tylko księcia Regenta, który akurat był w Poledzie, gdzie, jak mówią dobrze poinformowani, szykował już swoje włości do ostatecznego zamieszkania tam i całkowitej rezygnacji z życia i uroków w stolicy. Nie było też barona Olanda, a szambelan Obik był tak osłabiony, iż pomimo tych huków ostał się w swej komnacie. I tylko wysyłał co rusz służbę, by ci mu donosili, co to też się tam dzieje. Drugą istotnie różną cechą tej nawałnicy, różniącą ją od tych powszechnych, było to, iż huki to narastały to malały, ale w sumie trwało to przynajmniej kilka godzin. Kilka godzin tak strasznych dla ludzi, tak wyczerpujących ludzkie zmysły. Ludzie bali się wchodzić do swych domostw, bo razem z hukami aż ziemia się cała trzęsła. Chcą, nie chcąc musieli więc wszyscy być świadkami tego dziwnego zjawiska. Małe dzieci po pewnym czasie tylko już łkały, niewiasty wznosiły modły do bogów, w tym głównie do bogini Isztar. Wszyscy modlili się, by to się w końcu skończyło. Ci z ludzi, co byli najbardziej za zachód, mogli zobaczyć jakby jakby jakieś obiekty z ogromną prędkością wzlatywały i nurkowały, były one niczym czapki Alahitów. Niby z ich rączych grzbietów owe gromy tryskały tak jak krople wody z fontanny. Nagle, gdzieś tam w oddali, ogromny kabaczek, lub raczej coś, co go przypominało, zachwiał się i niby runął, jak ludzie to mogli dojrzeć wprost do morza. Tak się przynajmniej musiało zdawać tym, co dobrze Ulandię znali. Bo najdalej za zachód od Wendy, jej zachodnich dzielnic, port Ulende był. Wprawdzie nie było go stąd widać, lecz kto wiedział, ten wiedział, a było takich sporo. Głównie tych, co handlowali morskimi specjami. Na rynki i targi w Wendzie to bowiem dzięki nim zwykle trafiały dość świeże ryby i owoce morza. Lecz gdy tak się zdało, że jeden z tych domniemanych zwisających na niebie wielkich kabaczków stoczył się do morza, jakby cały tumult stopniowo zaczął się zmniejszać. By po dalszych pół godziny zupełnie umilknąć. I tylko dziwny swąd było czuć w całej stolicy. Chmury też na niebie nabrały dziwnej szmaragdowej barwy, i wypiętrzały się one wprost do Słońca, nabierając bajkowych kształtów. Wtedy to dopiero książę Orotog, zadziwiony wielce spektaklem, zdecydował się, że wróci na swe komnaty. Ziemia również przestała drżeć. Gwardianie więc otoczyli kręgiem delfina, i razem z nim wrócili na królewskie pokoje. Podobnie uczyniła królowa Matka. Służba królewska powróciła do swych obowiązków.

Jeszcze całymi godzinami komentowali wszyscy w stolicy, ba! Wszyscy mieszkańcy tej części Ulandii, co to się takiego działo na niebie. Szmaragdowy kolor nieba pozostał taki nawet na drugi dzień. Dziwny zapach unosił kilka dni. Mag Kujh jednak

zapewniał konsekwentnie królewicza i królową Matkę następnymi dniami, że było to wszystko naturalne zjawisko. Prawda, że dość rzadkie, ale jednak w całości stworzone siłami natury. I tylko natury, i że nie ma żadnego zagrożenia dla królestwa i stolicy. Szybko też odległe krainy całego świata zaczęły się dowiadywać, bo gońcy roznosili te nowiny, iż w Ulandii coś niezwykłego się wydarzyło. Magowie, filozofowie a także świątli ludzie zaczęli się wymieniać hipotezami na temat, co to się w ogóle tam wydarzyło. Korespondowali oni tak między sobą. Gromadzili wszelkie informacje i tak minęło kilkanaście, kilkadziesiąt dni. Zagadka jednak nadal nie była całkowicie rozwiązana. A hipotezy były przeróżne. Pyryl ze Spoka, który korespondował z Erejem, utrzymywał, że to rodzaj tajfunu zaczął się w zatoce portu Ulende, i który to tak wzburzył powietrze, iż dziwne pioruny i potargane chmury stworzyły to całe widowisko. Nie umiał on jednak w żaden sposób wytłumaczyć, dlaczego to też taka spalenizna na kilka dni była wyczuwalna prawie we wszystkich zachodnich prowincjach Ulandii. Ponadto, dlaczego to niebo nabrało tak intensywnej szmaragdowej barwy. Inny, nie mniej utytułowany, niejaki Rytel z Koletecji, jedynej wyspy królestwa Engory, utrzymywał, iż to bogowie zabawili się kosztem maluczkich, tworząc spektakl, który miał pobudzić wyobraźnię ludzką. I najlepiej byłoby dla ludzi, by ci zignorowali to całe zjawisko. Bo, jak stwierdził Rytel, to spowoduje jedynie to, iż snadnie w przyszłości też bogowie będą się tak bawić ludźmi. Ale był jeden człowiek na świecie, który dobrze wiedział, co to też się stało. To był mag Kujh. Wiedział on bowiem dobrze, że między bogami źle jest. Tylko, jak mu to zdradził przecież Lullu, do spięcia między nimi, między Kerdolotem a Kobokiem, miało dojść dojść dopiero za miesiąc z okładem. Lecz teraz, już po wszystkim, Kujh domyślał się, że zatarg ten się już właśnie odbył. Tylko jaki był wynik konfliktu? Kto kogo pokonał? Było zagadką, którą Kujhowi się zdało, iż pozna dopiero przy najbliższej wizycie Lullu. Oczywiście, tylko w przypadku, gdy taka wizyta do skutku w ogóle dojdzie. Teraz zaś Kujh starał się wszystkim opowiadać, iż zjawisko, które się odbyło, miało naturalny charakter. Najbardziej niespokojny z wszystkich był szambelan Obik. Tak jakby życie dla niego nabrało nowej barwy. Czy to wskutek chorób, które niedawno przebył. Jego wola życie wybitnie wzrosła. A z tym wzrosło także uczucie wielkiej trwogi utraty tego życia. Kujh musiał długo zapewniać szambelana, że nie ma żadnego zagrożenia. A Obik i tak czuł tu jakieś podwójne dno. Nie był do końca przekonany do tego, co mu mag starał się wmówić. Najbardziej spokojnie całe zjawisko zniosła królowa Matka, która powiedziała nawet Orotogowi, że to wspaniała wróżba na jego przyszłe władanie. Oto bowiem kilka dni wcześniej Sylanda modliła się do bogini Isztar, by ta dała jakiś znak, iż czuwa nad losem Orotoga. Więc królowa Sylanda była całkowicie przekonana, że to bogini dała jej tym znak przymierza. Medyk Lopeod przekonał jednak szybko królową, by zachował to w tajemnicy i nie rozpowiadał o tym nikomu. Gdy zaś Lopeod był u szambelana Obika to aż puknął się w czoło, gdy o tym nadmienił Obikowi, dając tym wyraźny znak, iż uważa wymysły królowej za jej konfabulację. Nadmienił także, iż nie byłoby to dobrym, gdyby lud Ulandii dowiedział się o takiej genezie całego zjawiska. Na pytanie Obika: dlaczego? Lopeod

powiedział, iż nie dobrym jest nadmierne strasznie ludzi dziwami, a potem tłumaczenie tego w tak banalny sposób. To w konsekwencji tylko by zaszkodziło królewiczowi. A poco to tak fatalnie zaczynać władanie. Ludzie prości powinni bowiem cieszyć się, iż księżę Orotog już niedługo zasiądzie na tronie monarszym. Cieszyć się, a nie martwić.

A do koronacji było coraz bliżej. Już nie kwartały, nie miesiące, nawet nie tygodnie, lecz zostały jeszcze tylko dni. Tylko dni, i aż dni. Tylko, bo to wszak mgnienie, a aż, to głównie dla królewicza, który to już w wyobraźni widział się na tronie swego ojca, króla Amargadeusza. Nie umiał się już doczekać. Ludzie mądrzy jednak wiedzą to dobrze, iż, jeśli się czegoś tam mocno chce, wtedy wredne dewy zła i Eroyry, nimfy zatracenia, bardzo chętnie takiemu krzyżują wszelkie plany, mając przy tym mnóstwo radości i zadowolenia, bo dla tych bytów cierpienie ludzkie jest pożywką dla dalszego istnienia na Planie Astralnym. Dlatego to też wszyscy, którzy byli świadomi niecierpliwości królewicza, jak mogli go tonowali. W tym głównie Nauczyciel Królewski Erej oraz Presurt Oland. A i sam księżę Regent był tego świadom i również miarkował zapędy młodego delfina. Oto Kowdlar już widział się w oddaleniu od Dworu Królewskiego. Czekał jedynie na wnuka i na to, aż bogini Chronora przesypie jego klepsydrę życia. Nie było mu więc żal oddać całą władzę. Już było to też umówione, a z pewnych źródeł było wiadomo pewnym, że Orotog temu sprzyja, sprzyja, by księżę Atagr miał sprawować godność elektana floty. To był duży zaszczyt, i wielka odpowiedzialność. Ale Kowdlar nie widział swego syna jako konkurenta dla Orotoga. Wiedział bowiem dobrze, że zdrada w konsekwencji obraca się przeciwko temu, który się jej dopuścił. Niejedno on już widział na swe oczy, i wołał tę w miarę godną, nawet bardzo godną, funkcję elektana dla swego potomka. Często też mówił Atagrowi, by ten nigdy nie stawał po stronie zdrady. Cokolwiek by się działo w królestwie. Bogowie bowiem zawsze biorą w konsekwencji stronę pomazańca. A takim z urodzenia był księżę Orotog. Całą uwagę teraz zajmowało Kowdlarowi to, by pozostawić w otoczeniu młodego króla godnych i mądrych doradców. Na pewno do takich można było zaliczyć Ereja i nauczycieli Szkolnicy Królewskiej. Na pewno do takich Kowdlar mógł także zaliczyć Presurta Olanda i barona Lucerdusa. Szczególnie to też Regent cenił Lucerdusa, bo ten nie dość że mądry, to jeszcze bardzo młody. Mógłby więc, gdy bogowie dopuszczą, służyć radą królowi długie lata. Co do Atagra, to niestety Kowdlar był rozdarty. Wszak to była jego latorośl, lecz często sobie zarzucał, że nie dobrze pokierował wychowaniem syna. Zbyt wiele miał bowiem obowiązków wobec korony, i za bardzo zawierzył innym a także mądrym księgom, by te wychowały dziedzica. Na stare lata jednak doszedł do smutnego wniosku, że to jedynie dobry przykład ojca, szlachetnego rycerza, powinien być dla Atagra, a także dla każdego innego chłopca, prawidłowym wzorcem i tym, co takie dobre wychowanie najpewniej zapewni. Niestety on, Kowdlar, on, księżę Kanclerz, on, księżę Regent, zbyt wiele miał jednak obowiązków i nie wywiązał się z tej roli ojca należycie. Jedyńą więc miał jeszcze tylko nadzieję, że krew przodków i opieka duchów opiekunów ich rodu nie dopuszczą, by Atagr miał nieszczęśliwe życie. I że życie nauczy Atagra jeszcze

prawidłowej postawy. I że relacje międzyludzkie dadzą mu konieczną wiedzę.

Lamart ślęczał nad księgą. Była to *Księga Jutra*. Nikt nawet nie wiedział, poza Kolim, który był daleko, daleko stąd, że on ma tak cenne dzieło. Nie wiedzieli ni rodzice, ni nauczyciele Szkolnicy. Minęło jednak już oto trochę czasu, odkąd postanowił sobie, że się nauczy mowy elfów. I był już wpół drogi. Wprawdzie nie wiedział dokładnie, jak elfy wypowiadały swój język, ale z tych źródeł, do których miał dostęp, głównie do biblioteki Szkolnicy, miał niejaką świadomość, może pobieżną i niedokładną, jak oni rozmawiali ze sobą. Najważniejsze jednak było to, że już całkiem dobrze znał mowę pisaną, jaką elfy stosowały w swych księgach. Gorączkowo więc przewijał tę opasłą księgę. Jednak, i musiał to przyznać z pokorą, treść tego, co już przeczytał, nic mu nie mówiła. Może to była przyczyna tego, iż mało był jeszcze doświadczony życiem, wszak był dopiero nastolatkiem i dopiero zaczynał tak naprawdę swe życie. Bo, z tego co mógł się zorientować, wiedza ukryta w *Księdze Jutra* była wiedzą szalenie enigmatyczną, schowaną za różnego poziomu stopniowanych alegorii, przypowieści. Przypowieści, które znali głównie starzy bazarze, wędrujący ze wsi do wsi, z sioła do sioła. Nie było nic ot tak kawa na ławę. Nie było nic podane wprost. Gotowe do zastosowania. Ponadto, co też z goryczą odkrył, najlepiej się czytało księgę, gdy fakty już się wydarzyły. O tak! Po fakcie rzeczywiście można się było doszukać pewnych analogii z tekstem księgi. Ale tylko do tego, co już się wydarzyło w historii królestwa i znanego świata. Nie można było jednak ni jak wywnioskować, co się w przyszłości wydarzy. A przecież on tylko dlatego kupił *Księgę Jutra* za tak duże pieniądze, bowiem chciał poznać przede wszystkim przyszłość.

Lampka oliwna świeciła już słabym światłem. Wokół ciemności. W sąsiedniej izbie spali rodzice. A on cały czas jeszcze czytał księgę. Musiał uważać, by nie zaproszyć ognia. Lampkę z oliwą miał bowiem przy łóżku, stojącą na drewnianym zydłu. A ten zydlel chwiał się na koślawych nogach. Był jeden głębszy oddech, a ściślej wydech Lamarta, mógł tę równowagę zakłócić. Z trudnością więc przewijał mahoniową rolkę z nawiniętym papirusem, bacznie uważając równocześnie, by nie wytrącić lampki ze swej mało stabilnej równowagi.

Lecz on się jednak zawziął dzisiaj. Postanowił sobie, że coś znajdzie. Coś ciekawego. Nagle, gdzieś w okolicy, zawył pies. Może samotny wilk? Mieszkali na samej granicy miasta. Kilka staj stąd był już prawdziwy las. Młoda arystokracja urządzała tam zwykle polowania na kuraki. Nawet sam książę delfin bywało, że chętnie w nich uczestniczył.

Oto, gdy już tak naprawdę chciał zwinąć księgę, nagle coś przykuło jego wzrok do tekstu. Z łatwością odczytał i od razu przetłumaczył sobie na język ludzi. **Koniec będzie wtedy, gdy ludzie pełni pychy równać się będą chcieli z bogami. Wtedy to wielka katastrofa nastanie, złe emocje zaleją wszystkie umysły ludzkie. A będzie to w te dni, gdy z rodu smoka zapragnie wybudować zigguratę sięgającą nieba.**

-No, coś konkretnego – pomyślał sobie. I z tym większą pasją zaczął szukać jeszcze. I znalazł coś jeszcze ...**i ojciec stanie przeciw synowi, matka przeciw córce.** **Wszystkie zwierzęta staną się wrogiem człowiekowi, nawet pies zwróci się przeciw swemu panu. Człowiek będzie szukał więc schronienia, lecz tylko niedostępne i zimne ziemie północy będą mogły to stać się oazą dla strudzonego śmiertelnika...** Było to już coś. Coś takiego, co szukał od początku w tej księdze. Jednego jednak nie umiał określić. Kiedy to się stanie? Był więc trochę rozczarowany. Spojrzał na coraz słabszy ognek z lampki oliwnej. Jeszcze trochę i oliwa się skończy. Słyszał przez ścianę, jak ciężko przez sen sapie ojciec. To wielce strudzony był człowiek. Lecz bez tego swego warsztatu nie umiał on po prawdzie żyć. Choć przecież ciężka praca mocno nadwyrężyła jego siły. Mógł przecież teraz zwolnić. Nie zrobił tego, dalej teraz pracował ponad swe siły. Teraz, gdy jadła mieli w bród. Teraz, gdy w końcu mogli się nosić godnymi szaty. Teraz, gdy wszyscy sąsiedzi zaczęli okazywać i matce, Odzie, i ojcu, Gertakowi, głęboki szacunek. A wszystko to przez to, że Lamart kształcił się w Szkolnicy. Oto syn rymarza, prostego człeka, ma stać się w przyszłości ważną osobistością. Podobno stara Eryta, ciotka Ody, dała w świątyni ofiarę z małego koziołka, by kapłanki Isztar uczyniły dywinację na przyszłe życie Lamarta. Odpowiedź bogini była jednoznaczna. Lamart będzie wielkim magiem i filozofem, z którego zdaniem liczyć się będą sami królowie i wielcy włodarze. Lecz, i to stara Eryta zachowała tylko dla siebie, inni sąsiedzi się tego nie dowiedzieli, miał ci on nigdy nie doznać szczęścia w miłości, i bez potomków mu przyjdzie zemrzeć w obcej krainie. Tak przynajmniej mówiła wróżba od bogini Isztar. Rodzice Lamarta, a i on sam, nie byli tego jednak świadomi. Tej akcji ciotki Eryty. Tak to bowiem za plecami samych zainteresowanych troszczą się zwykle sąsiedzi o przyszłe życie tych, co to im się trochę lepiej zaczyna powodzić. I znowu ten skowyt samotnego wilka. Lamart, słysząc to, poczuł, że przechodzą go ciarki od stóp po sam czubek głowy. Dzisiaj to była pełnia Księżyca. Wilki więc zwołują się po całej stronie. A może to był tylko jeden zagubiony wilk, który szukał stada?

Niebo nad Wendą nadal miało odcień szmaragdowy. Ludzie, mieszkańcy stolicy królestwa Ulandii, chodzili z pochylonymi głowami. Oni najpewniej bali się. Co to teraz może się stać? Każdy Ulandczyk miał to pytanie głęboko w sercu. Ludzie zaczęli chorować. Nie była to zaraza. Ale tak jakby z wodą, ciała nawiedzała dziwna boleść. Bolały kości, bolały stawy. Starsi nie umieli nawet chodzić. A gdy człek staje się nieużyteczny i nie umie sam wykonać najprostszych codziennych czynności, wtedy już jest tylko przeszkodą i zawadą dla rodziny. Taki człek cierpi w dwójnasób; najczęściej to wtedy szybko umiera. Tak jakby sama natura dbała o to, by tylko użyteczni mogli się do woli cieszyć powietrzem w płucach i chlebem powszechnym. Co ciekawe, teraz to tylko chyba książę Orotog był jedynym w całym królestwie, który niedawne zjawiska na niebie tłumaczył sobie jako przychylną wróżbę. We wszystkich świątyniach wieszczono, że trudne czasy nadchodzą. Magowie i kapłanki nie kryli, że może nadchodzą już ostateczne czasy. Czasy, gdy skończy się świat, a stanie się to tak, iż zółw Nekulod połknie w końcu Ziemię, tę cześć, którą nosi na swej skorupie. Tak przynajmniej utrzymywali ci, co raczej byli niepiśmiennymi śmiertelnikami. Wykształceni ludzie śmiali się z nich, twierdząc, że to wierutne bzdury. I tak naprawdę Ziemię podtrzymują dwaj Atlasi, więc mowy nie ma, by Ziemia zniknęła w paszczy Nekuloda. A jeszcze inni, z tych mądrych, byli zdania, że Ziemia to wielka wyspa otoczona zewsząd oceanami. I oni także jednak wykluczali, by Nekulod miałby pożreć lądy.

A szambelan Obik czuł się z każdym dniem coraz słabszym. Ta słabość zaczęła się od tej pamiętnej nocy, gdy chciano go otłuć. Niby doszedł później do siebie. Ale od tamtego czasu zaczęło się coś psuć w tym niepozornym z postury dawnym pierwszym zaufanym króla Amargadeusza. Medyk Lopeod stwierdził, że przyczyna leży po stronie ducha szambelana. Tak jakby Obik stracił chęć do życia, bo tak zawiódł się boleśnie na ludziach. Najlepiej dla niego byłoby, by oddalił się z Dworu Królewskiego. Lecz przecież tyle pracy i starania kosztowało Obika wypracowanie sobie tej pozycji na Dworze, jaką teraz zajmował. To byłoby równoważne z rejteradą z pola bitwy. Wszak żaden rycerz na coś takiego nie może sobie pozwolić. A Obik miał serce godne najszlachetniejszego rycerza. Dlatego niepomny na swe cierpienie, starał się jednak cały czas wykonywać swe obowiązki. Najczęściej wyręczał się w drobnych sprawach swymi zaufanymi, czasami gońcami, czasami prosił o przysługę swego przyjaciela Presurta Olanda.

Dzisiaj szambelan był tak słaby, że nie wstał z łóżnicy. Słudzy więc podali mu śniadanie do łóżka. Już pora była ta, iż miał się pojawić u Obika ktoś od Olanda. Może przyjdzie Puto, a może to zjawi się sam Oland? Obik miał nadzieję porozmawiać sobie osobiście z Olandem. Oto Obik dowiedział się, iż w kamaryli dworskiej aż huczy od plotek, iż to Mistrz Kapa przed odjazdem tak przeklął swych dawnych mocodawców, iż czeka ludność Ulandii teraz tylko męka i cierpienie. A fala chorób, która teraz wybuchła, jest tylko wstępem do tego dzieła zniszczenia. I te dziwne zjawiska na niebie. I to co stało się nad portem Ulende. Wszystko to wzajemnie uzupełnia się we wróżbie cierpień i katastrof, które czekają Ulandczyków. Obik więc czekał. W ręku miał pióro gęsie i kartę pergaminu. Przygotował sobie na

piśmie te sprawy, które musi omówić z Olandem. Obik miał w planie stworzenie tajnego zakonu. Ten zakon miałby czuwać nad bezpieczeństwem nowego króla Orotoga. Cały plan tak wstępnie opracował, iż członkami zakonu mieli być tylko i wyłącznie ludzie pewni. A sam Orotog miał nic nie wiedzieć o istnieniu tego bractwa. Sam pomysł przyszedł do głowy szambelanowi w czasie jednej z bezsennych nocy. Przypomniawszy sobie wówczas, iż kiedyś, w czasie rozmowy w cztery oczy, król Amargadeusz zasugerował podobny pomysł wtedy osobistemu swemu słudze Obikowi. Amargadeusz bał się, że Orotog będzie za młody, by ustrzec się od wrogów i własnych błędów. Wrogów, owszem, każdy ma, lecz błędów można się jednak ustrzec. Dlatego Orotog powinien mieć jakąś pomoc, nawet jeśli by sobie do końca nie zdawał z tego sprawy. Obik myślał o tym, iż taka niewidzialna ręka pomocy królowi powinna istnieć przynajmniej na kilka pierwszych lat rządzenia nowego władcy. Potem, gdy Orotog okrzepnie, zakon zostanie rozwiązany. Tak wstępnie wymyślił szambelan. Teraz chodziło tylko o to, by pozyskać do tego pomysłu godnych zwolenników. Na pewno takim byłby ewentualnie Presurt Oland. Wszak już teraz Oland razem z Obikiem pilnowali skutecznie bezpieczeństwa królewicza. Więc raczej pewnym zdało się, że to właśnie Oland przyłączy i poprze pomysł Obika. Lecz trzeba też znaleźć innych. I to była podstawowa trudność. W tak wielkim królestwie wszak trzeba było ze świecą szukać godnych członków takiego bractwa. Nie brakowało ludzi szlachetnych, nie brakowało ludzi uczciwych, ale niewielu jednak było takich, którzy by nawet oddali swoje życie i majątek tylko po to, by uchronić Orotoga. Owszem, wielu by to deklarowało, ale Obik obawiał się, że w konsekwencji skończyłoby się tylko na słownych deklaracjach. A gdyby przyszło do jakiegoś zagrożenia, ci ludzie najpewniej zmieniliby szeregi, tylko w celu uratowania własnej skóry. Taka to wszak jest natura człowieka. I tu nie ma co się roztkliwiać nad tym. Wielu ludzi w momencie zagrożenia życia lub majątku rejteruje i ucieka w popłochu. Nawet jeśli wprzód mieli oni nawet szlachetne intencje. Oto więc pierwszą trudną sprawą jaką będą musieli ustalić, on, Obik, i ewentualnie Oland, będzie kogo dobrać do tej kompanii, którą razem utworzą, dla dobra tylko i bezpieczeństwa nowego króla Orotoga.

I oto tak, gdy Obik zastanawiał się nad tą sprawą, do komnaty wszedł sługa i zaanonsował Olanda.:

- Wasza łaskawość, przybył Presurt Królewski Oland.
- Niech wejdzie – powiedział słabym głosem szambelan.

Po tych słowach w drzwiach ukazała się głowa Olanda.

- Jakże się miewasz, szlachetny przyjacielu? Czy ze zdrowiem już lepiej?
- O tak – lecz wbrew zapewnieniu głos szambelana wyraźnie komunikował, że nie wszystko jest w porządku ze zdrowiem.
- No to cieszę się. Wezwałeś mnie, przyjacielu. Więc słucham, jaki masz

problem?- powiedział dość radośnie Oland.

Oland rozsiadł się na drewnianym fotelu. Miał doskonały humor, niby właśnie wracał z termy, może był akurat po masażu błotnym, a może wypił doskonały trunek.

- Otóż, szanowny przyjacielu, niepokoi mnie dzisiejsza sytuacja w królestwie. - rzekł Obik.
- To znaczy?
- To znaczy, czy nie uważasz, iż młody delfin, jest jeszcze w rzeczy samej za młody na samodzielne rządy?
- No ale koronacja już za tydzień. Wydaje się, że trochę spóźniłeś się, szambelanie, z tą uwagą.
- Ja, broń mnie Kerdolocie, nie uważam, by odwlec koronację. Nic z tych rzeczy. Ale uważam, że to właśnie my, stronicy Orotoga, powinniśmy jakoś zabezpieczyć panowanie naszego władcy. - Obik znów zaczął mówić z trudnością, niby sprawiało mu to mnóstwo bólu.
- Co masz szambelanie konkretnie na myśli. - Oland poprawił się na fotelu.
- Otóż, moim zdaniem. Nasz mały sojusz. To znaczy ja z tobą, jest jednak, wydaje mi się, niewystarczający. Musimy związać więcej ludzi z nami, i z tym, co dla nas najważniejsze, czyli z dobrem króla. - Tu Obik zrobił pauzę. - Myślałem o utworzeniu rodzaju bractwa lub zakonu. Organizacji, która będzie broniła młodego króla.
- Aha! - Oland wydawał się być zaskoczony. - Ale zważ, Obiku, że narobimy sobie tym samym mnóstwo wrogów. Zwłaszcza tych, których nie zaprosimy do tego bractwa.
- Właśnie, dlatego myślałem, iż to bractwo będzie miało charakter tajny. I tylko my, i nasi współczłonkowie będą o tym wiedzieć.
- A król? - Niemal zakrzyknął Oland.
- Dotknąłeś, przyjacielu, istoty sprawy. Według mojego zamysłu i król nie będzie wiedział o tym, iż ktoś nad nim czuwa i mu pomaga. Co myślisz o tym?
- No tak, Obiku, pomysł wydaje się sensowny. Byleby on nas nie zaprowadził na szafot. Przecież w królestwie nie może funkcjonować nic, na co by zgody nie udzielił król, suweren. - Oland trochę ostudził zapędy Obika.
- Tak uważasz? - wydukał blado. - Hm ... - Obik rzekł po pewnym namyśle. - Istotnie, chyba masz rację. Musimy jednak wtajemniczyć w to królewicza. Ale dopiero po koronacji. Dopiero po – Obik podkreślił. Znów zrobił przerwę. I zaczął. - Dlatego proszę cię, przyjacielu, byś zrobił małą listę tych, co do których jesteś pewien, że mogliby być członkami naszego bractwa. I ja zrobię też taką listę. Potem je porównamy. I zobaczymy na czym stoimy. Ludzi szlachetnych i gorliwych stronników królewicza w Ulandii nie brakuje. Ale muszą to być także ludzie ustosunkowani. Poetów i filozofów nie będziemy przyjmować.

- Tak. I ja tak myślę – Oland zgodził się z Obikiem.

Lecz oto niespodziewanie Obik niby to zaczął się trząść, niby dusić, z trudnością łapał powietrze w płuca. Oland, widząc to, zupełnie nie wiedział, jak się zachować.

- Pomocy! - ostatkiem sił wykrztusił Obik. - Zawołaj Efsyre ... , zawołaaaaaj... nie zww...lekaj – po czym Obik zapadł się w sobie.

Na tę radę konającego Oland zareagował jednak racjonalnie. Krzyknął tubalnym głosem:

- Efsyre! - głośno – Efsyre!

W kilka sekund otwarły się z hukiem drzwi i jakaś kobieta, niewolnica, najpewniej była to rzeczona Efsyre, wbiegła do komnaty.

- O bogowie! - krzyknęła. - Znowu Pan ma atak.

Nachyliła się nad szambelanem. I zaczęła robić coś, co Olandowi zadało się nedorzecznym, a najmniej dziwnym. Oto niewolnica przywarła ustami do ust swego Pana, i niby tłoczyła mu tym samym powietrze w ten sposób do płuc. Trwało to tak może pięć minut. I oto nagle szambelan stęknął, kaszlnął. Potem jęknął. Kobieta odstąpiła, a tymczasem Obik otworzył oczy.

- Już mi lepiej...Już mi lepiej. - wydukał. -Lecz, Efsyre, musisz dziś znowu czuwać całą noc przy moim łóżku. A ciebie, szlachetny przyjacielu zapraszamm... na jutro. Bo, jak sam widzisz, dzisiaj już nic nie ustalimy. Przemysł tę moją propozycję przez noc. Ustal listę swoich kandydatów do naszego bractwa. - mówił z wyraźną trudnością.

Oland poczuł ulgę, iż Obik doszedł do świadomości. Ta niewolnica najwidoczniej już nie raz musiała w ten sposób pomagać swemu Panu.

- Dobrze, szambelanie, ja się dostosuję do twojej sugestii. Więc przyjdę jutro o tej samej porze. A może ci, przyjacielu, polecić jakiegoś dobrego medyka?
- Hm... Medyka? To by się może nawet przydało. Ale powiem ci, Olandzie, że badało mnie już wielu medyków, i to z różnych szkół. Lecz żaden z nich nie znalazł na to lekarstwa. Nawet szlachetny Lopeod tu nic nie poradził. Więc dzięki za twe starania, lecz raczej nie trudź się. Na szczęście mam Efsyrę, ona jest dla mnie niczym zbawienny oddech. W tym dosłownym tego znaczeniu.

Jest wspaniale. Przyjeżdża, jeśli możesz. Nareszcie mogę się skupić i mogę, bez przeszkód, zgłębiać nauki. Zakon zlokalizowany jest na wyspie. Cisza i nauka. To dwie rzeczy, które tu dominują. Tym samym uspokoilem swego ducha. Ma żona, Gyla, codziennie rano pierze z innymi niewiastami pranie w okalającej wyspę rzece Kyr. Właściwie ona jest, moja kobieta, jedyną rzeczą, jeśli się można tak wyrazić, wiesz, chodzi mi o jej zmysłowość, która odwraca mą uwagę, na szczęście tylko nocą, od mej nauki. Jest tu jeden elf, zwie się Vyre. Tak mocno stary, iż nie jest to do pojęcia na ludzką miarę. Powiadają, że przeżył dziesięć dekambrów. Wyobrażasz sobie?! I choć ledwo chodzi, to mówią, że może pożyć jeszcze kilka lat. Pełni on tytułarną funkcję Odźwiernego Zakonu. Właściwie jest tak naprawdę rezydentem. Kiedyś był nauczycielem lecz w innej szkolnicy. Widać jednak, jak elfy traktują go z wielkim szacunkiem i mirem. Choć właściwie się już nie liczy. Nie prowadzi wykładów i nie naucza. A na posiłki go czasami przynoszą w lektyce, bo wielce już jest słaby. Jego siwa, biała broda sięga mu pasa. Powracając jednak do mojej propozycji. Proszę cię o jedno, zważ to przynajmniej w spokoju i powadze. Na pewno byłbyś tu jednym z bystrzejszych uczniów. I choć wiem, że opuszczając Szkolnicę w Wendzie, dużo byś stracił finansowo, lecz ja uważam, iż w pewnej szerszej perspektywie na pewno by ci się to opłaciło. Wszak życie trzeba planować strategicznie, długofalowo, a nie taktycznie, na krótką metę. Ponadto tęsknię też za rodakami, a twoja uśmiechnięta twarz często przypomina mi w mych snach, gdy mi staje ona przed oczyma, nasze wyglupy i żarty w Szkolnicy. Tu, gdzie jestem, żartować nie wypada. I to jest chyba jedno z nielicznych utrudnień, jakie tu muszę przeżyć bez skargi. Ale nie, nie skarzę się. Tu przez ten krótki czas zrobiłem większe postępy na mej drodze zostania magiem, niż przez cały czas, jaki byłem w Szkolnicy pod pieczęcią Nauczyciela Królewskiego Ereja.

Pozdrawiam Cię wraz z mą Gylą i czekam niecierpliwie odpowiedzi.

Koli.

Lamart odłożył list na stół. List przyszedł dwa dni temu, lecz cały czas Lamart powracał do jego treści. Ale decyzję już podjął. Nie mógł palić za sobą mostów. Nie mógł pozostawić rodziców. Ponadto, te talenty z funduszu Szkolnicy były dla niego zbyt cenne. Nie miał wszak żadnego posagu żony, ba! Nie miał wszak jeszcze żony, nawet narzeczonej, ni nawet dziewczyny. Koliemu się dobrze mówi: zostaw Szkolnicę. Dla Koliiego to prawda cisza i spokój w nauce to były silne argumenty. Lamart miał jednak inną konstrukcję duszy. Umiał doskonale się dostosować do warunków Szkolnicy Królewskiej w Wendzie. Było też tak, iż Lamart wyczuł, iż stał się ulubieńcem nauczycieli Szkolnicy, i to nie tylko samego rektora. Wiązano wszak z nim wielkie plany. W opinii rektora Ereja był równie utalentowany jak sam Cygan Dziad. I Erej nie siebie, lecz właśnie Lamarta, widział jako bezpośredniego następcę Cygana Dziada.

Ostrożnie wiązał w ręce raz jeszcze, który to już dzisiaj raz?, list od Kolięgo. Wyraźnie czuć było bagienno- moczarowy zapach kartki listu. Widocznie ta cała wyspa, na której żyli Koli z Gylą, była ulokowana gdzieś na bagnach. Gdzieś, gdzie ludzie nie zwykli się zapędzać. Lamarta nurtowało już od dawna, dlaczego to panuje powszechny pogląd, iż to właśnie elfy są najlepszymi nauczycielami magii, a nawet zielarstwa i uzdrawiania. Gdy się tak nad tym zastanawiał, doszedł w końcu do wniosku, iż wynika to najpewniej stąd, iż żyją oni znacznie dłużej od ludzi. Czego najlepszym przykładem był Vyre, wspomniany w liście Kolięgo. Stąd też mogą oni znacznie dłużej uczyć się. Wszak ludzie, elfy i gnomy, co powiadają zgodnie mądrzy ludzie, uczą się całe swe życie. A wśród zwierząt tę cechę przejawiają także słonie i jednorożce. Jeśli te zwierzęta nie uczą się wszak w tym dosłownym znaczeniu, to jednak są bardzo pamiętliwe. Pamiętają wszelkie szkody im uczynione. Na szczęście coraz większą dobrą sławą, nie tylko w tym regionie świata, ale nawet w dalekich krainach, takich jak Oforyka, cieszyć się zaczęła Szkolnica Królewska w Wendzie. Jej bogata biblioteka była już znana w innych zakonach i szkolnicach. Lamart więc zbytnio nie cierpiał z tego powodu, że trafił właśnie tu. Nawet uważał się za wielkiego szczęściarza, że go tak los wyróżnił. Nie zazdrościł także Kolięmu tego, że uczą go elfy. Erej czy Jufe to byli w samej rzeczy wybitni mędrzy i filozofowie. I śmiało można było ich porównywać z innymi, nawet z elfami. Ludzie, w tym filozofowie, mieli ponadto tę przewagę nad elfami, że to właśnie ich ziomekowie dominowali i władali ziemiami i morzami świata. Mogli więc bez przeszkód wymieniać się własnymi doświadczeniami pomiędzy krainami, wzbogacając tym samy ogólną, ludzką wiedzę. Elfy, niby mądrzejsze, żyły jednak na niedostępnych, lodowych ziemiach. Izolowały się. I rzadko to bywało, by tworzyli zakony gdzieś w szerokim świecie. Zakon, w którym kształcił się Koli, był więc chwalebny wyjątkiem. Ale to przecież sama lokalizacja tego Zakonu, jak się domyślał Lamart, gdzieś na bagnach i mokradłach, dopełniała jednak w zgodzie tę zasadę izolacji. Każdy jednak, komu było dane kształcić się wiedzą zawartą w mądrych księgach, przyzna, iż w takiej nauce najważniejsza jest możliwość stałej wymiany poglądów i wiadomości. Dlatego to z tej przyczyny, ludzie mieli pewną przewagę nad elfami. Ludzie byli bardziej otwarci na wzajemną wymianę wiedzy i doświadczeń. Lamart więc miał wiele wątpliwości, czy Koli nie pożałuje kiedyś swej decyzji. Strategię, na którą się powoływał Koli w liście, wszak, czy jest słuszna czy nie, można jednak ocenić dopiero po fakcie.

Kowdlar rozglądał się z okna swego gabinetu. Już to dobrze nadchodziła jesień. Poleda w takim okresie przyrody wyglądała cudownie. Naprzeciw okna, jednak w pewnej oddali, widać było szmaragdowe wody niewielkiego jeziora. Jezioro, które, już po ich osiedleniu się tu, Kowdlar kazał poszerzyć. To stamtąd pochodziły ryby serwowane w posiłkach dla pary książęcej. Karpie, liny, leszcze. Ale też sprowadzone tu z dalszych stron, nieco egzotyczne, pyrgy i korety. Poleda była oddalona od morza, stąd Kowdlar rzadko miał okazję jadać świeże owoce morza i morskie ryby, przynajmniej w Poledzie, dlatego musiały mu wystarczyć karpie i pyrgy. On, jak to on, miał to już za nic. To właśnie mógł się sam przekonać, co kiedyś słyszał od mędrców, iż na starość mocno ograniczony jest zdrowy apetyt, i że się głównie tylko z przyzwyczajenia. Ale mimo to, że nie miał już takiego apetytu jak w młodości, cały czas, z tygodnia na tydzień ciała przybywało. To pewnie stąd, iż mocno ograniczył przez ostatnie lata swoją aktywność. Wszędzie teraz był noszony w lektyce lub wożony karocami. Jak był dopiero co mianowany na księcia Średniego Lasu Mistrz, Kapa wspominał

mu, jak dobrze to teraz jeszcze pamiętał, iż, gdy człek się nie rusza, to wtedy dzia dzieje. Nabywa chorób i niezdrowych zwyczajów. Wypisz, wymaluj, tak po prawdzie było teraz z Kowdlarem. Lecz on to miał gdzieś. Życie go już tak wymęczyło, że wszelkie starania poprawy swego samopoczucia skutecznie w sobie dusił. I już tylko myślał o tym, by z końca z Elubedą wypić cienkusa gdzieś tam na Polach Kerdolotach. Może tam też są jakieś podłe knajpy, gdzie można się zatracić w tanim i kiepskim napitku? Teraz z pewnym bólem, bo coś w ostatnio go w brzuchu zaczęło uciskać, czuł pod prawym boki em stale tępy ból, rozglądał się na tę panoramę rozciągającą się z okna swej posiadłości. Gdzieś tam w oddali niewolnicy zbierali drwa na podpałkę. Drzew tu mu nie brakowało. Tego było w brud w całych Średnich Lasach. I w Poledzie, wszędzie gdzie by się człek nie spoj rzał były drzewa i drzewa, i drzewa. Dostojne platany, posadzone ludzką ręką to bliżej pałacu, dęby z naturalnego przychowu w głębi posiadłości, buki, klony, lipy i modrzewie. Nagle dojrzał kątem oka, iż z prawej strony ścieżki do Poledy idzie kucharka Irtyna. Niosła ci ona coś w koszyku.. Najpewniej zawartość tego koszyka okaże się treścią dzisiejszego posiłku na stole książęcym. Ale i to nie wzbudziło większego zaciekawienia u Kowdlara. Irtyna szybko przeszła na stronę, tam gdzie służba miała swoje wejście. Znow pusto się stało przed pałacem. Nawet nie było ni jednego psa, kota lubo oswojonego geparda. Kowdlar miał dwa swoje gepardy, które ze swej natury nie przypominały żadnego z kotawych, lecz raczej były podobne do wytresowanych psów. Służba często puszczała je samopas. A były tak oswojone z pałacową menażerią, że ani nie wchodziły innym w paradę, ani też same nie były atakowane. Z wielkimi wilczurami Kowdlara zwykły się one bawić i siłować tylko, niby w zabawie.

Cicho. Dość ciepło. Lekka bryza wiała przez okno do komnaty Kowdlara. Tak to się trzeba pomału żegnać z tym światem. Jutro pojedzie w ostatnią drogę do Wendy. Za kilka dni koronacja Orotoga. Potem już nigdy za swego życia tam nie pojedzie. Tak sobie przyrzekł w duchu. Kiedyś tam pragnął władzy. Dziś jej nienawidzi. Władza

odbiera człowiekowi radość życia. Z tego pewnego i bogatego już oglądu własnego życia mógł stwierdzić, że to była niewdzięczna dla niego samego funkcja. Jak to dumnie brzmi: książe Regent. Dumnie i pusto zarazem. Żadnych przyjaciół, żadnych sentymentów. Codzienna troska nad losem kraju i jego mieszkańców. I ciężka praca. Godziny spędzone nad pergaminami. Tysiące urzędowych rozmów. Audiencje i przyjęcia. I on zawsze w centrum. I on zawsze obserwowany uważnie. Każda mina, każdy gest, każde słowo.

Kowdlar na samą myśl o tym aż ciężko westchnął do siebie. Odgarnął mocno już rozrzedzone włosy na głowie. Podrapał się po swej siwej brodzie. - Co też ta Irtyna szykuje na obiad? - pomyślał. Serwowała ona dość egzotyczne potrawy, kultywując tym samy rodzaj pamięci po swym dawnym kochanku, po Temo. To właśnie on, odkąd zawitał w progi Poledy, miał talent do przyrządzania egzotycznych potraw, nawet z dość banalnych i powszechnym produktów. Umiał on ze zwykłego jajka i odrobiny masła, dodając jedynie odpowiednie przyprawy i czosnek, wyczarować egzotyczny posiłek, który, jak sam mówił kiedyś Irtynie, jadają na śniadanie Tukmaki zamieszkałe na terytorium wschodniej Oforyki. Sama Irtyna jakoś od śmierci Temo nie umiała sobie znaleźć odpowiedniego mężczyzny na męża. Choć przecież miała słuszny posag i wiele już lat minęło. Tak jakby jednak Temo zawładnął jej sercem na stałe. Lecz jej kuchnię Państwo, książę i księżna, cenili sobie dobitnie. Bo, oprócz miejsca na stałe w jej sercu, Temo zostawił Irtynie wiele egzotycznych przepisów kulinarnych. A ona to umiała właściwie wykorzystać. Czym, co książę Kowdlar dawał jej odczuć życzliwym słowem, mocno sobie zaskarbiła sympatię u Państwa. Przy oknie, oparta o ścianę, stała złocona i inkrustowana ulubiona laska księcia Regenta. Miał ich kilka, i każdą mocno zdobioną, lecz tę jedyną właśnie najbardziej lubił. Używał jej zwykle, gdy był tu w swej posiadłości, w Poledzie. Nigdy by mu nie przyszło do głowy, gdy był mężnym rycerzem walczącym dla króla Amargadeusza, że kiedyś to będzie musiał zamiast swej Kapatoki używać laski, po to by się nie przewrócić. Taki to jest jednak okrutny kaprys losu, iż to właśnie jego bogini Chronora wybrała spośród tysięcy rycerzy do tego, by w konsekwencji dożył czasu swego upokarzającego niedołęstwa. Był do tego przekonany wielce, iż lepiej to zginąć na polu bitwy, nawet w wygranej batalii, niż żyć niby kaleka bez nogi i ręki. Bo tak to się teraz po prawdzie czuł. Przecież to ani nad nogami, ani rękoma nie mógł w pełni zapanować.

Na ścieżce, na wprost okna gabinetu księcia, pojawiła się kolejna postać. To Tobi, ogrodnik, szedł po ścieżce pałacowej. A śpieszył się przy tym najwyraźniej, i chyba miał coś w czubie, bo lekko powłóczył prawą nogą.

Kowdlar się trochę zdenerwował. Nie pozwalał bowiem służbie pić wina i napitków. Nawet to pospolitego piwa nie mogli kosztować. Przynajmniej gdy to książę Regent nawiedzał Poledę. - Już ja sobie z nim porozmawiam – Kowdlar pomyślał. Lecz oto jego uwagę zajęło coś innego. Jakaś klacz, a za nią źrebię, przemknęła w oddali. Gdzieś tak na wysokości jeziora, po łące. I to właśnie przykuło teraz uwagę Kowdlara. Gdy zaś się wszystko uspokoiło, nie było już na ścieżce pałacowej Tobiego.

Kowdlar pomału i z trudnością przysłonił okiennicę. Wsparty o laskę podszedł do swego biurka. Plik pergaminowych kartek leżał tam rozłożony. To wszystko to były sprawy królestwa. Kowdlar miał w zwyczaju, że ważne sprawy zabierał zawsze z Wendy do Poledy. - Cóż to? - Kowdlar dojrzał niespodziewanie, że była tam, wśród tych papierów, jakaś karta nie rozpieczętowana. Szybko rozpoznał, iż to był list z gabinetu szambelana. Nieśpiesznie wziął list i rozerwał pieczęcie.

Do Jego Wysokości Księcia Regenta.

Wasza Wysokość! Pozwalam sobie, Panie, pisać ten list z upoważnienia Presurta Olanda oraz z mojej woli. Panie, bezpieczeństwo księcia delfina Orotoga, tym samym porządek w królestwie Ulandii, jest mocno zagrożone. Niech naszą, to jest moją i barona Olanda, tajemnicą pozostanie, skąd mamy to przeświadczenie. Wiemy, że jesteś, Panie, gorącym orędownikiem nowego króla Orotoga. Tym bardziej więc celowym nam się wydaje kierować te słowa właśnie do Ciebie, Wasza Wysokość. Pismo to przesyłam przez zaufanego gońca, nie muszę się więc kryć za żadnymi aluzjami i niedomówieniami. Oto my, ja-szambelan Obik- oraz Presurt Oland, powołaliśmy właśnie tajne Bractwo, którego zadaniem ma być czuwanie nad bezpieczeństwem młodego, już niedługo, króla. Tak to, by nic nie zakłóciło rządów młodego Orotoga. Do Bractwa naszego mamy w zamiarze powoływać tylko tych, co w pełni oddanie będą służyć Orotogowi, bez względu na konsekwencje i zagrożenia. Oto, jak pisałem, Orotogowi zagrażają potężne siły. Wprzód jako przeciwnika króla, piszę to bez ogródek, widzieliśmy Mistrza Kapę. Lecz po jego rejteradzie i po jego odstąpieniu zagrożenie nie wydaje się nic mniejsze. Oto młody wiek króla sprawia, że należy nad nim czuwać i go mocno wspierać. Piszę to do Ciebie, Wasza Wysokość, lecz zważ, iż nasze zamiary ujawnimy także królowi Orotogowi osobiście tuż po koronacji. Nie jest więc to nasze zgromadzenie i Bractwo czymś, o czy nie będzie wiedział nasz przyszły monarcha. Jednak, wiedząc, iż to jeszcze ty formalnie sprawujesz rządy w Ulandii, kieruję więc to pismo prosto do Ciebie, Panie. I jedynie tę prośbę mamy do Cię, byś zachował treść tego pisma tylko dla siebie. Bractwo to bowiem powinno być nieznanie ewentualnym wrogom króla Orotoga a tym samym wrogom Ulandii. Jeśli jest to twoją wolą, Panie, by spotkać się z nami i to jeszcze przed koronacją Orotoga, to jesteśmy, ja i Presurt, do twojej dyspozycji. Choć wielcem chory, przyjmę Cię, Wasza Wysokość, z należytych honorami. Ufam także, że przy moim boku zobaczysz Presurta Olanda. Mało jednak czasu zostało do koronacji. Pozdrawiam Cię, Panie, i twą Szlachetną Małżonkę, Księżnę Tebornę.

Twój uniżony sługa, szambelan Obik.

Już stragany sprzed zamku usunięto. Niewolnicy posprzątaali gruntownie drogę, można rzec : trakt królewski, między świątynią Koboka a Zamkiem. Atagr szedł nieśpiesznie. Właściwie to on robił obchód na prośbę Presurta Olanda. Wydawało się, że wszystko jest zapięte na ostatni guzik. Jeszcze pełniący funkcję Regenta, książę Kowdlar, zarządził, iż uczta odbędzie się w ogrodach królewskich. Właśnie tam, gdzie teraz zmierzał Atagr. Dziwne, ale tylko Fluksja przysłała na uroczystość oficjalną delegację na czele z księciem Hyre. Lecz i ona była tylko symbolicznie reprezentowana. Tylko w osobie Hyra, elektana Fluksji, drugim posłem był baron Kase.

Nagle do idącego nieśpiesznie Atagra podbiegł goniec królewski, który bez wstępów krzyknął mu prosto w twarz:

- Panie, Jego Królewska Mość, książę Orotog oczekuję na Was.

Po czym, nie czekając nawet na odpowiedź, odbiegł pośpiesznie, tak jakby miał jeszcze jakąś inną misję i mu było śpieszno.

Było nie było, Atagr musiał więc zmienić plany. Lecz równie powoli, nie śpiesząc się, zmienił drogę, kierując się tym razem prosto do Zamku. To było raptem kilkaset łokci w linii prostej. Przed wejściem stała grupka gwardian oraz kilku służących. Coś tam do siebie gadali, nie kryjąc się przy tym jakoś specjalnie. Ukłonili się tylko księciu Atagrowi, gdy ten dochodził, i ustąpili drogę.

- Jak tam, coś się stało? Nad czym tak dywagujecie? - Atagr krzyknął do nich, wchodząc do środka Zamku. Odpowiedziała mu tylko cisza.

Nie zrażony tym poszedł swoją drogą.

Przed komnatą królewicza stało wyprężonych na baczność dwóch strażników. Atagr krzyknął, by go zaanonsowano Orotogowi.

- Jego Królewska Mość czeka już na Was, Wasza Miłość. - usłyszał od jednego z nich.

Wszedł więc do komnaty. Ujrzał, że delfin pochylony nad jakimiś papierami, dyskutuje równocześnie z Presurtem Olandem.

- No cóż ... Szkoda, a tak dobrze służył memu ojcu ... - Atagr dosłyszał, jak książę mówi do Olanda.
- Wasza Królewska Mość, wzywałś mnie Panie – niemal krzyknął.

Orotog na to odwrócił się do Aragra.

- Jesteś! To dobrze. Wzywałem Cię. Słuchaj! Mamy na sam początek mego władania fatalną wróżbę, niby omen. Oto Chronora przesyła klepsydrę życia szambelana Obika.
- Co? Kiedy? - W Atagra niby raził grom. Był szczerze zdumiony.
- Umarł dwie godziny temu? Jak to było? Ty wiesz? - Orotog zwrócił się wprost do Olanda.
- Serce, nie wytrzymało serce – powiedział powoli Oland.
- Widzisz więc, Atagr, co to za kaprys losu lub, inni powiedzą, igraszki bogów z nami. Oto najwierniejszy sługa mego ojca, króla Amargadeusza, umarł tak jak i on również na serce.
- Nawet Efsyre nie pomogła – rzucił nagle Oland.
- Co za Efsyre? - Atagr nie zrozumiał.
- Aa... - rzekł Orotog. - To taka niewolnica. Mniejsza o nią. Obik już leży na marach. Lecz to nie wpłynie ni jak na jutrzejszą koronację. Widzę cię, Atagr, w pierwszym rzędzie wśród zaproszonych notabli. Ciebie i twego ojca, księcia Kowdlara.
- Wielki to zaszczyt dla nas, Miłościwy Panie.
- Olandzie – Orotog zwrócił się do Presurta. - Dopilnuj, by jeszcze dzisiejszej nocy spopielono ciało Obika. Nie chcę, by jutro, gdy zaczną się uroczystości, jakiś cień śmierci unosił się tu, w Zamku Królewskim. Czy on miał jakiś krewnych?
- Nie wiem, Panie. Lecz popytam. Oczywiście stanie się według twej woli i jeszcze dziś zapłonie stos pogrzebowy.
- No, dobrze, Olandzie. To dobrze. Jeśli nie ma krewnych, jego majątek przejmie skarbiec królewski. Będzie to jedna z pierwszych decyzji moich, już jako nowego monarchy.

Na te słowa królewicza i Oland, i Atagr pochyłili z szacunkiem głowy. Orotog wziął do ręki jakąś kartkę papirusu.

- Mam już spisany plan na pierwsze lata mego panowania. - powiedział.- Mówię to Wam, bo mam do Was zaufanie. Będziecie moimi pierwszymi sługami. Jeśli macie przeciw, to mówcie teraz. - Orotog wejrzał na nich niczym wilk na młodą sarnę.
- Wielki to dla mnie zaszczyt – rzekł szybko Oland.
- To wielka łaska dla mnie – zawtórował mu Atagr.
- No, i dobrze. - rzekł rażno Orotog. - Na początek będzie dużo roboty, bo, nie obraź się Atagr, twój szanowny ojciec zaniedbał ostatnimi laty królestwo.
- Stary on, Wasza Królewska Mość, stary i stąd to – powiedział Atagr.
- Ja wiem, i dlatego nie mam do niego żadnych żalów i pretensji. Lecz my będziemy się na początek musieli zmierzyć z tym całym marazmem. To nie

będzie łatwe. Będę od Was wymagał znacznie więcej, niż od pozostałych notabli. Przygotujcie się na to. To Wasz obowiązek. Lecz jeśli uważacie, że nie podółajcie, to teraz jest ostatni moment, by mi to zakomunikować. Więc jak będzie?

Odpowiedzią była znacząca cisza.

- Dobrze więc, przyjmuję więc tę ciszę za znak zgody i wasz akces. -Orotog, było to dobrze widać, był kontent z tej postawy Olanda i Atagra.- Pierwsze, co zrobimy, to oddamy Wyspy Gnomów ich dawnym włodarzom, czyli samym gnomom. Wycofamy się stamtąd. Ta kolonia kosztuje nas bowiem więcej, niż sama przynosi korzyści. Niech oni się tam sami rządzą w tym ich Kopcu Woli.

Orotog odłożył papiirusy. Machnął ręką na Atagra, by ten przybliżył się jeszcze:

- Jak tam z twoim ojcem? Ma matka, królowa Sylanda, mówiła mi, że w samej rzeczy ma już wszystkiego dość.
- Tak, Wasza Królewska Mość. Czeka jedynie jeszcze na swego wnuka, a potem, rzekł mi, że powierzy swe życie bogini Tanade.
- Czyli będzie już czekał tylko na śmierć, popraw mnie, jeśli się mylę. - rzekł Orotog.
- Tak, Panie, taka to już jest jego wola. Ojciec rzekł mi kiedyś, gdy był na rauszu, więc mówił wtedy do bólu szczerze, że on wszystkiego w życiu skosztował. I uważa to raczej za dopust bogów, niżli jakiś przywilej. Był i na dnie, ledwo i jemu i baronowi Elubedzie brakowało na wypitek w podrzędnej karczmie, umierać zaś będzie jako najbogatszy, oczywiście zaraz po tobie, Miłościwy Panie, obywatel Ulandii. Miał i kobiety, branki, niewolnice, lecz w konsekwencji wybrał życie u boku mej matki. To on był jednym z najpotężniejszych miotaczy. To przecież on to w bitwie na Wyspach Gnomów ściał głowę gubertunowi Tukmaków, czym walnie przyczynił się do zwycięstwa króla Amargadeusza.
- Wiem, wiem – Orotog chwycił się za podbródek– pamiętam, pozostanie to już zapisane na zawsze w dziejach królestwa. Lecz te jego zasługi zostały wszak mocno zapłacone wolą mego ojca. Jest wszak drugą osobą w królestwie.
- Lecz, Miłościwy Panie, gdy patrzę na niego, pozwól na odrobinę szczerości, to myślę sobie: i co mu to w konsekwencji dało? Na pewno nie przyniosło szczęścia.
- Książę, pozwól, że się wtrączę – rzekł nagle, dotąd milczący w koncie komnaty, Oland. - Jest powiedziane i głoszone przez mądrych ludzi, na przykład tak uczył Cygan Dziad, że człowiek nigdy nie osiągnie szczęścia w swym żywocie. Najważniejsze w życiu człowieka, według Cygana Dziada, jest to, by

zostawić coś potomnym po sobie. Jakąś naukę. Szczęście zaś zawsze trwa krótko, może moment, może dwa. Nie można dążyć do szczęścia, bo można go nawet nie zauważyć przeżywając go. Bo cóż to jest szczęście? Wasza Królewska Mość. Szczęście to wszak dobry posiłek, w chłodne noce ciepła pierzyna. Małżonek do którego można zagaić późną nocą. Radość z jaką nasz pies na wita, gdy wracamy do domu. To jest właśnie szczęście.

- Hm ... - Orotog na chwilę się zadumał. - Powiedz mi, Olandzie, czy moje szczęście jest inne, niż szczęście kowala co podkuwa królewskie wierzchowce?
- Panie, według mnie, właśnie i twoje i kowala szczęście jest takie samo. Nawet choć przepaść dzieli Was, Panie, od doli kowala. I on ma wszak psa, on ma żonę, dziadki, on ma pierzynę, i on, choć na pewno rzadziej, też jada czasami kuraka z różną.

Padął drobny deszczyk. Lamartowi zrobiło się zimno. Wychodząc z domu, wziął tylko lekki kopyt, rodzaj peleryny na plecy. Bardzo możliwe więc, iż jutrzejsza ceremonia koronacji Orotoga odbędzie się w strugach ulewnego deszczu. Lecz Lamart wcale się tym nie przejmował. Właściwie myślał tylko o jednym. Oto wczoraj odczytał w *Księdze Jutra* coś, co mocno wzburzyło mu umysł. Jeden fragment był znamieny, a mówił o tym, iż rok Lwa będzie tym momentem, odkąd zacznie się proces zmiany i metamorfozy całego świata. Nie minie zaś jeden lub dwa dekamby od tego roku, a świat cały zanurzy się w chaosie. Upadną miasta, upadną królestwa. Ludzie wyniszczą się zaczął nawzajem. To Lamarta tak wzburzyło, iż resztę nocy, przy lampce oliwnej, spędził na przetłumaczeniu tej części księgi, i zapisaniu to mową ludzką na karcie papirusu. I teraz właśnie szedł z tym prosto do rektera Ereja. Chciał mu to pokazać. Być może Erej wiedział już o tym. Jeśli miał dojście do *Księgi Jutra*, to najpewniej już to czytał. Bo Lamart wiedział, iż Erej zna doskonale język elfów. Szedł więc tak mocno zamyślony i mijał innych Wendyjczyków. Patrzył tylko, by z kimś się nie zderzyć. Ludzie szli z i do Solnego Targu. Nieśli przy tym produkty, którymi mieli, przynajmniej niektórzy z nich, zamiar tam handlować. Dziś bowiem był dobry dzień na handel. Z racji jutrzejszej koronacji do Wendy przyjechało wielu z okolicznych stron. Niektórzy nawet z portu Ulende. W tym mijanym tłumie Lamart dojrzał nawet kilku ciemnoskórych, którzy przybyli tu do Wendy pewnie prosto z Oforyki.

- Mam zamiar wszystko,co tylko się da, zmienić na lepsze. Rozumiecie na lepsze – mówił z pasją Orotog. A ci dwoje go słuchali i tylko potakiwali głowami. - A dużo tego, zaprawdę dużo.
- Panie, pozwól, iż powiem, że masz na to długie lata rządzenia. Może, Miłościwy Panie, nie wszystko należy zmieniać tak od razu. - rzekł niepewnie Oland.
- Masz rację, baronie, zupełnie się z tobą zgadzam. Lecz zważ, iż szybkie zmiany pozwolą nam prędzej żyć już w lepszym królestwie. Czyż nie tak, Atagrze? Po oczekiwanych zmianach na lepsze i życie się wyda nam wszystkim, nam Ulandczykom, lepsze. Słuchajcie więc, powiem wam co zaplanowałem na teraz. Tylko nikomu pary z ust. Oto wybudujemy zigguratę, więzę wielką aż do nieba.
- Po co, Panie? - wyrwało się Atagrowi.
- Po to, iż będzie to wyraz mej potęgi i mocy. Tego, że nic mnie nie jest w stanie powstrzymać, gdy czegoś zechcę. - Na te słowa królewicza oboje, i Oland, i Atagr poczerwienieli na licach z emocji. Lecz chyba brak im było obu odwagi, by zaprotestować – Będzie to wielka budowla, największa, jaką dotąd ludzie zbudowali. Mówisz Atagrze: po co? Po to, mój drogi, iż będę mógł wejść na jej szczyt i dosięgnąć ręką Słońca i Księżycy. Ach... Czyż to nie godny zamysł potomka boga Re? No powiedzcie sami – Atagr aż cały palił się do tego pomysłu. - Gdy będę tam na szczycie stał ...

Koniec.

Karol Kolmo